MAREK STELAR

PRZEGRANA

Komisarz Banach zdecydowanie nie ma lekko w życiu, ale dla nas, czytelników, jest to akurat bardzo dobra wiadomość, bo DZIEJE SIĘ!

PigOut

FILIA

MAREK STELAR

PRZEGRANA

FILIA

NA SAMYM DNIE

Iwona Banach zgniotła niedopałek o dno salaterki, czując ciepło żaru na palcach. Nie paliła od czasów liceum, po prostu kilka dni temu coś ją podkusiło, poszła do „Stokrotki" i kupiła paczkę LM-ów, a teraz kolejna paczka była prawie pusta. Kupka kilkunastu innych kiepów, które były już w miseczce, rozsunęła się na boki, a dwa wypadły na zewnątrz. Było ich tam tyle, bo Iwonie nawet się nie chciało wstać i opróżnić naczynia, choćby po to, żeby smród nie roznosił się po pokoju. Ale smród jej nie obchodził, zresztą nie obchodziło jej już niemal nic. Przestała nawet czytać i oglądać Netflixa. Myć się też przestała.

Tak było od kilku dni, odkąd wróciła z Warszawy.

Sprawa Klubu 526 nie zakończyła się wraz z zabiciem ich założycieli i spaleniem przez „Matta" Grzelińskiego willi, w której klub się mieścił. Ojciec i syn, dwóch zwyrodnialców, którzy ze swej chorej pasji zrobili dochodowy interes, nie żyli, ale może byli inni, którzy w tym uczestniczyli. Nie sądziła, żeby Klub wznowił działalność, choć niczego nie należało wykluczać: może było inne miejsce i po ogarnięciu się z pogromu, jaki im razem z Grzelińskim zorganizowali, pozostali wrócą do sprawy. I znów będą ginąć młodzi ludzie…

Kiedy Iwona sięgała po kolejnego papierosa, zadzwonił telefon leżący na stoliku obok popielniczki. Odruchowo zerknęła i zobaczyła, że to Jasiek, góral z Kościeliska, ich sąsiad. Stasinka, mały domek na skraju wsi, była ich ostoją; jej i Krzyśka, przynajmniej do chwili, gdy Krzysztof odszedł z jej życia, praktycznie w tym samym momencie, w którym wypieprzyli ją z policji.

Odebrała wbrew sobie, wyłącznie z szacunku, jaki żywiła do tego człowieka.

– Halo, Jaśku? Przepraszam, ale nie jestem za bardzo w nastroju i…

– Dzień dobry, ciociu, Jagoda z tej strony.

Jagoda była córką Jaśka. Iwona znała ją od maleńkości, Jagódka nazywała ich ciocią i wujkiem. Nie widziała jej od ośmiu lat, od śmierci Michasia, po której pojechała tam tylko raz i nie była w stanie przestąpić

progu chaty, bo tam właśnie umarł ich siedmiomiesięczny synek. A teraz, kiedy usłyszała Jagodę w telefonie, serce jej zamarło. Wiedziała, po co dzwoni. Jasiek zmagał się z nowotworem wątroby i spodziewała się najgorszej wieści. Zdjęła nogi z kanapy i usiadła prosto, przyciskając telefon do ucha i zapominając o papierosie.

Nie pomyliła się.

– Tato miał zawał. – Jagoda zaczęła płakać. – Był bardzo osłabiony chorobą i po prostu nie dał rady. Przynajmniej się nie męczył…

Iwona nawet się cieszyła, że dziewczyna to powiedziała. Też była tego zdania, ale nie zawsze wszystko można powiedzieć komuś, kto właśnie stracił bliską osobę.

– Przykro mi, kochanie, tak bardzo mi przykro. – Zakręciło jej się w głowie, może zbyt gwałtownie wstała, a może zbyt dużo fajek wypaliła w ciągu ostatnich kilku godzin. – Nie wiem, co powiedzieć. To był wspaniały człowiek…

Czuła się głupio, że wygaduje frazesy, ale taka była prawda. Jasiek Wawrytko był w porządku. I chyba Jagoda to wiedziała.

– To stało się wczoraj, w szpitalu w Zakopanem. Przyjechałam od razu z Krakowa z mamą, zajmujemy się wszystkim.

Jasiek był rozwiedziony, Krystyna z córką mieszkały w Krakowie, gdzie Jagoda studiowała medycynę.

– Kiedy pogrzeb? – zapytała słabo.

– Przyjedziesz?

– Oczywiście. – W jej głosie pojawiła się niespodziewanie jakaś moc. – Powiedz tylko kiedy.

– Pojutrze. U nas, w Kościelisku.

– Będę, kochanie. Obiecuję, że przyjadę.

– Będzie miał góralski. – Jagoda pociągnęła nosem. – Tak jak zawsze chciał.

– To dobrze. – Westchnęła. – To dobrze…

Telefon od Jagody pozwolił Iwonie wziąć się jakoś w garść i ogarnąć. Nie wychodziła spod prysznica przez dwadzieścia minut. Fajki zgniotła i wyrzuciła do śmietnika, ale w ostatniej chwili wyciągnęła z paczki jednego papierosa i odłożyła go na okap na czarną godzinę. Po wypaleniu kilku paczek przez ostatnie dni miała wrażenie, że zaczęła się uzależniać. Potem zjadła wreszcie coś porządnego i poszła się spakować. Torba, w której

trzymała komplet ubrań i kosmetyków na kilka dni poza domem i którą woziła na eskapady, wciąż leżała w kącie dużego pokoju. Iwona postała nad nią chwilę, wpatrując się bezmyślnie w podłogę. Ta torba podróżna była jak wspomnienie tego, co Iwona przeżyła jako policyjna wtyczka przez kilka ostatnich tygodni, kiedy wrzucona w bagno pływała w nim, usiłując dotrzeć do jądra ciemności, do szefostwa klubu, w którym wynaturzone sesje erotyczne kończyły się śmiercią dziewcząt i chłopców traktowanych jak seksualni niewolnicy. Nagle Iwona z wściekłością kopnęła torbę, aż ta poleciała i odbiła się od ściany. Odetchnęła głęboko, potem schyliła się, rozpięła ją i wysypała na podłogę ciuchy, które były w środku. Musiała je uprać, choć najchętniej spaliłaby wszystko, co wypadło z torby, tylko że musiała w czymś chodzić, a pieniądze powoli się kończyły.

Iwona była nie tyle w dołku, ile na samym dnie – finansowym i psychicznym.

Jadąc następnego dnia do Kościeliska samochodem kupionym za krwawe pieniądze otrzymane od Klubu, zastanawiała się, co dalej, choć głównie myślała o Jaśku i Jagodzie. Potem jej myśli podążyły w inną stronę. Może na pogrzebie Jaśka pojawi się Krzysiek? Może jakimś cudem dotrze do niego smutna wiadomość i przyjedzie pożegnać druha? „Kocham. I przepraszam". Te słowa napisane na kartce, którą znalazła w domu po powrocie z tragicznej akcji w Łodzi, błyskały jej co jakiś czas przed oczami. Czym były? Pożegnaniem na zawsze? Tłumaczeniem? Tym i tym?

Kiedy minęła Katowice, jej telefon zadzwonił. Jechała lewym pasem, wyprzedzając przypominającą pociąg kawalkadę tirów. Zerknęła na wyświetlacz komórki leżącej w przegródce obok dźwigni zmiany biegów i zobaczyła na nim nie imię i nazwisko, tylko numer. Wróciła wzrokiem na drogę, wzięła telefon do ręki, dotknęła zielonej ikonki i przyłożyła go do ucha.

– Halo?

– To ja…

Odruchowo zahamowała, wkładając w to niemal całą siłę. Auto lekko zatańczyło, więc chwyciła mocniej kierownicę, odpuściła hamulec i zaczęła walczyć z prawami fizyki. Udało jej się. Z tyłu rozległo się wściekłe trąbienie, w lusterku zamigotały błyski długich świateł samochodu jadącego za nią.

– Krzysiek – wyszeptała do telefonu bez tchu.

Wrzuciła kierunkowskaz i zmieniła pas, wpychając się przed tira. Teraz usłyszała buczenie, więc zjechała jeszcze bardziej, na pas awaryjny, i powoli wyhamowała, aż wreszcie się zatrzymała.

– Dlaczego? – zapytała tylko. – Kim ona jest?

– Kimś bliskim.

– Tak bliskim jak ja?

– To nie tak…

– A jak?

– Zrobiłem coś bardzo złego i teraz muszę to naprawić. Na tyle, na ile mogę.

Zamilkł. Iwona słyszała jego oddech. Był szybki, niemal spazmatyczny. Krzysiek sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje.

– Krzysiek? – prawie krzyknęła.

– Przepraszam cię, po prostu muszę – wyszeptał, a każde słowo brzmiało coraz ciszej, jakby oddalał telefon od twarzy.

– Gdzie jesteś? – zawołała. – Co się dzieje? Słyszysz mnie? Krzysiek!

Ale odpowiedziała jej tylko cisza.

Iwona siedziała z otwartymi ustami wpatrzona w ciemniejący ekran telefonu, gwałtowne podmuchy powietrza wzbudzane przez mijające ją samochody uderzały z hukiem w szyby, kołysząc jej autem, a ona miała w głowie kompletną pustkę.

SŁONECKO JUZ ZASŁO

Pogrzeb Jaśka Wawrytki rozpoczął się punktualnie. Dobrodziej prowadzący ceremonię mówił gwarą. Iwona nie pchała się w pobliże mogiły, tylko stała w tłumie z tyłu, patrząc na plecy ubranych w serdaki górali i na ich głowy w podhalańskich kłobukach. Słuchała kapeli i rzewnego zaśpiewu dziewczyn, pieśń *Słonecko juz zasło* unosiła się nad cmentarzem i ulatywała w niebo, a Iwona zastanawiała się, czy Jasiek faktycznie tam jest razem z innymi i czy wszyscy oni patrzą na dół, na nich stojących nad otwartym grobem i trumną. A może patrzą jeszcze głębiej, na samo dno piekielnej czeluści, gdzie stado diasków znęca się nad Golczewskim i Chyłą, odpłacając im pięknym za nadobne. A może rację miał Golum, który swoim ciasnym umysłem podawał w wątpliwość ustalony od tysiącleci porządek: może tam, po drugiej stronie, nie ma ani nagrody, ani kary, bo po prostu nie ma niczego? Ani nikogo?

Kapela umilkła, dziewczyny też, pieśń jeszcze przez chwilę brzmiała tylko w umyśle Iwony. Tłumek zafalował, ruszył powolutku w stronę grobu i wszyscy wyciągnęli znicze. Iwona stanęła na palcach i odruchowo zaczęła wypatrywać znajomych, falujących, lekko przyprószonych siwizną włosów. Ściskając znicz, ruszyła razem z tłumkiem. Kiedy dotarła do grobu rodzinnego Jaśka kilka minut później, zapomniała o Krzyśku. Nad trumną stała Jagoda i jej matka. Krystynę znała słabo, Wawrytkowie rozwiedli się dawno temu, wyjechała do Krakowa, gdzie znalazła nowego partnera, a Jagoda została z ojcem aż do momentu, w którym poszła do liceum. Dostała się do elitarnej „piątki", potem na medycynę na UJ-ocie, ale niemal w każdy weekend i na część wakacji wracała do Kościeliska. Miała góralską duszę i to Iwona w niej uwielbiała.

Postawiła znicz przy grobie, zapaliła go, a potem powoli podeszła do kobiet. Krystynę przytuliła nieco zachowawczo, za to Jagodę ściskała ponad pół minuty, szepcząc jej do ucha słowa pocieszenia, najlepsze, na jakie było ją stać. Iwona żałowała, że przez tyle lat nie przyjeżdżała do Kościeliska. Może gdyby postarała się wcześniej przełamać przed wejściem do Stasinki, zdusić w sobie ten irracjonalny żal niepozwalający jej na przejście przez

próg, wszystko wyglądałoby inaczej. Towarzyszyłaby Jagodzie w jej drodze przez młodość, cieszyłaby się jej sukcesami, o których tylko słyszała od Krzyśka albo od niej, ale przez telefon? I może wreszcie Krzysiek nie znalazłby sobie nowej kobiety, o co go podejrzewała? Iwona była dumna z Jagody jak z własnej córki. Na koniec zbliżyła usta jeszcze bardziej do ucha Jagody i wyszeptała:

– Zostań kimś wielkim, kochanie. Wynajdź lek na raka albo na alzheimera. I wracaj tutaj, kiedy tylko znajdziesz chwilę. Nie opuszczaj gór, tak jak ja.

Jagoda zapłakana kiwała głową, przytulając ją mocno i gorąco.

Iwona nie chciała zostać na stypie, na którą ją zaprosiły. Przeprosiła Jagodę i Krystynę, tłumacząc się złym stanem psychicznym po odejściu Krzyśka. Nie naciskały. Z Jagodą Iwona miała ten szczególny rodzaj relacji, której nie zepsuje towarzyski nietakt spowodowany względami osobistymi. Kiedy wszyscy się rozeszli, ruszyła ku wyjściu z cmentarza. Dotarła do samochodu i pojechała w stronę Górkówki. Miała nocować w domu Jaśka, ale chciała poczekać, aż Jagoda z Krystyną wrócą ze stypy. To miał być smutny wieczór, a w oczekiwaniu na jego nadejście Iwona postanowiła odwiedzić Stasinkę.

Przypomniała sobie swoją ostatnią wizytę, spontaniczną, bezowocną, i przy okazji rozmowę z Jaśkiem. Pomyślała, że nic nie dzieje się przypadkiem, bo było to ostatnie z nim spotkanie. Znalazła też wtedy w Stasince ślady czyjejś bytności, a Jasiek opowiedział jej, że widział tu raz Krzyśka z jakąś kobietą o długich, czarnych włosach. Czy Krzysiek tu był czy bywał? A jeśli tak, to po co? Czy jeśli ona wróci do Szczecina, on pojawi się tu znów, a ona nie będzie o tym wiedzieć? Te wszystkie pytania Iwona zadawała sobie, stojąc na środku głównej izby Stasinki. Zerknęła przez niewielkie, zakurzone okno na stojący w oddali dom Jaśka Wawrytki i pomyślała smutno, że nie będzie już miała kogo o to zapytać.

BRUŚ

Podinspektor Wojtczak, jej były szef, dzwonił już kilka razy w ciągu ostatnich dni. Kiedy zadzwonił po raz kolejny, Iwona wreszcie odebrała, czując, że to nie jest dobry pomysł, bo podejrzewała, z jakiego powodu dzwoni. Doszła jednak do wniosku, że Wojtczak jest ostatnią osobą, która zasłużyła na nieuprzejme traktowanie, a nieodbieraniem dała mu już do zrozumienia, że mimo wszystko nie ma ochoty na rozmowę. Miała nadzieję, że weźmie to pod uwagę.

– Cześć, Roman.

– Cześć. Dziękuję, że wreszcie odebrałaś.

– A gdybym dalej nie odbierała? – zainteresowała się.

– Przyjechałbym i warował pod twoimi drzwiami jak porzucony kochanek. – Świst wciąganego gwałtownie powietrza był wyraźnym sygnałem, że Wojtczak za późno uświadomił sobie popełniony nietakt. – Przepraszam…

– Nie ma sprawy.

– Posłuchaj… Wiem, że jestem upierdliwy, Iwona, ale sprawa, z jaką dzwonię, jest bardzo poważna.

– Też mam swoje poważne sprawy. – Wzruszyła ramionami. – Może nawet jeszcze poważniejsze niż wasze?

– Rozumiem, wszystko rozumiem… – mitygował się, a Iwona nie wyjaśniła, że tylko mu się tak wydaje. – Ale gdybym mógł cię prosić o spotkanie z pewnym człowiekiem…

– Z Warszawy. – Nie zapytała, tylko stwierdziła.

– Z Warszawy – potwierdził Wojtczak, lekko stropiony. – Z CBŚP.

– Jest teraz obok ciebie?

– Tak.

Iwona milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy odwlekanie tego ma sens. Oto pojawiła się kolejna konsekwencja tego, co zrobiła, choć nie była temu winna i nie ona powinna je ponosić. I nagle doszła do wniosku, że dlaczego niby ma być z tym wszystkim sama? Grzeliński wpieprzył ją w niewyobrażalne kłopoty i czy miało znaczenie, że chodziło o ratowanie ludzi? Oszukał ją. I nie chodziło nawet o nielegalność całej operacji

infiltracyjnej ani o to, że zabiła kilka osób, które na tę śmierć absolutnie zasługiwały. Chodziło wyłączne o to, że była marionetką, a teraz została sama bez środków do życia i perspektyw. Wyjścia miała dwa: albo się poddać, albo walczyć o przyszłość. Stoczyć się na dno, a w zasadzie zostać na nim, bo tam właśnie była, albo próbować wydostać się na powierzchnię. Zostanie na dnie równało się śmierci i była tego świadoma. Wypłynięcie na powierzchnię było szansą i dopiero potem mogła zdecydować, co dalej. Na spokojnie, na trzeźwo, na chłodno.

– Przyjedźcie. – Westchnęła. – Ale ostrzegam: nie jestem w najlepszej formie i nie chce mi się sprzątać. Ani nigdzie chodzić, zwłaszcza do Fabryki.

– Jasne. – Wojtczak chrząknął, a z tła dobiegły ją nagle czyjeś niewyraźne słowa. – Dam ci go na chwilę do telefonu, dobra?

– Daj.

Po kilku sekundach w komórce rozległ się głos, który już parę dni temu słyszała, również przez telefon. Wtedy była to pierwsza, nieudana próba kontaktu z nią. Nie wiedziała jeszcze, czy ta druga będzie udana, czy nie. To, że zgodziła się, żeby do niej przyjechali, jeszcze niczego nie oznaczało, bo zawsze mogła spuścić ich ze schodów, oczywiście w przenośni. Ale widać było, że gościowi zależy na spotkaniu. Przyjechał ponownie do Szczecina, nie mając pojęcia, czy mu się uda, no chyba że po prostu załatwiał tu jakąś służbową sprawę. I tak jej to nie interesowało.

– Dzień dobry, pani Iwono. Jacek Bruś z tej strony.

A więc pan zastępca komendanta Centralnego Biura Śledczego pamiętał, żeby nie tytułować jej komisarzem.

– Dzień dobry – odpowiedziała obojętnie.

– Dziękuję, że się pani zgodziła na wizytę. Postaram się załatwić sprawę szybko.

– Doceniam. – Iwona uśmiechnęła się lekko do siebie.

– Zatem do zobaczenia.

– Do widzenia. – Rozłączyła się i zaległa na kanapie w oczekiwaniu na niespodziewanych gości.

Dawała im kwadrans do dwudziestu minut. Kiedy usłyszała dzwonek, zwlekła się z kanapy i poszła otworzyć. Za drzwiami stał barczysty mężczyzna. Miał na oko nieco ponad pięćdziesiąt lat i był ogolony na łyso, choć włosy już odrastały i miały taką samą długość jak lekki zarost. Ciemne oczy bystro patrzyły spod krzaczastych brwi, a mięsiste usta rozciągały się

w lekkim półuśmiechu. Reszty nie zdążyła ocenić, bo miał na sobie zapiętą pod szyję zamszową kurtkę.

– A gdzie Roman? – zapytała, odruchowo wyglądając na klatkę schodową.

– Przyjechałem sam – odparł. – Nie ma potrzeby, żeby pan inspektor Wojtczak był świadkiem tej rozmowy.

Nie dyskutowała, tylko odsunęła się, wpuszczając przybysza do środka.

– Jacek Bruś – przedstawił się, wyciągając do Iwony rękę.

Podała mu swoją; jego uścisk był mocny, męski, ale nie do przesady. Wiele razy spotykała się z niedźwiedzimi uściskami mężczyzn, którzy w ten zabawny sposób próbowali pokazać jej może nie tyle przewagę, ile swoją atrakcyjność.

– Zapraszam. – Zamknęła drzwi i nie czekając na gościa, ruszyła w głąb mieszkania.

Nie zaproponowała mu kawy ani niczego innego do picia. Miała w dupie uprzejmości, chciała tylko, żeby jak najszybciej sobie poszedł. Bruś wszedł za nią do pokoju, rozejrzał się po nim pobieżnie, a potem podszedł do okna i popatrzył przez nie.

– Ładnie tu macie w tym Szczecinie, tak zielono – zauważył, odsuwając firankę i tocząc wzrokiem po koronach drzew w parku Chopina.

Iwona nie zareagowała, tylko zsunęła klapki i usiadła na kanapie, podkurczając nogi pod siebie.

– Co to za wieża, tam w lesie? – Gość wskazał na budowlę wyłaniającą się zza drzew.

– To park, a nie las. Dawna wieża ciśnień przerobiona na dom mieszkalny.

– Fajnie.

– Jest na sprzedaż, gdyby pan reflektował.

Bruś pokiwał niezobowiązująco głową, wciąż wpatrzony w widok za oknem.

– Mamy już za sobą uprzejmości i przejdziemy do sedna? – zapytała prosto z mostu.

– Jasne. – Odwrócił się od okna i uśmiechnął szeroko. – Z kupnem jeszcze się wstrzymam. Muszę się zastanowić.

– Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć? – zapytała, kończąc definitywnie mało zabawne pogaduchy, mające zapewne stanowić wstęp do właściwej rozmowy. – Akurat ze mną?

– Chciałem zapytać, czy ma pani coś wspólnego z czymś o nazwie Klub 526.

Podwinęła ukryte za udami palce stóp. Na tyle mogła sobie pozwolić.

– Nie mam nic wspólnego z…

Powiedziała to odrobinę za mocno i niepotrzebnie urwała, nie kończąc. Dla Brusia był to chyba jasny sygnał i Iwona to wiedziała. Ale było już za późno, mleko się rozlało.

– Ale wie pani, o czym mówię, prawda?

Nie odpowiedziała. Czekała.

– Powodem mojej wizyty u pani jest ten Klub, a w zasadzie działania inspektora Grzelińskiego, jakie podjął w jego sprawie. Te działania, o których wiemy, i te, o których nie mamy pojęcia, ale sądzimy, że jest ktoś poza nim, kto o nich wie. Na przykład pani.

Iwona starała się z całych sił, żeby jej twarz nie zdradzała niczego. Absolutnie niczego.

– Co ja mogę mieć z tym wspólnego? – zapytała, wzruszając ramionami. – Widziałam się z nim tylko raz, kiedy został twarzą systemu i karzącą ręką sprawiedliwości, czy raczej niesprawiedliwości, oznajmiając mi, że zostałam dyscyplinarnie usunięta z szeregów policji.

Kiedy się kłamie, jak najwięcej elementów musi być zgodnych z prawdą, żeby stworzyć pozory prawdomówności. Kilka prawdziwych szczegółów nada je kłamstwu i Iwona postanowiła kurczowo trzymać się tej zasady. Jak na razie to, co powiedziała, było półprawdą, bo widziała się z Grzelińskim dwa razy: raz wtedy i drugi w willi Klubu 526. Rozmów telefonicznych nie liczyła.

– No właśnie. Nie zdziwiło to pani? Taka nietypowa forma?

– Pyta pan poważnie? – zaatakowała. – W policji dzieje się tyle dziwnych rzeczy, nad którymi lepiej się nie zastanawiać, żeby nie narobić sobie kłopotów, a pan pyta, czy dziwiło mnie, że przyjeżdża ktoś z Warszawy, żeby mnie wypieprzyć z powodu sprawy, o której huczy cała Polska? To akurat była najmniej zastanawiająca rzecz, jaką widziałam w policji przez piętnaście lat pracy. – Urwała na chwilę, sprawdzając, czy przekonała Brusia, a potem zapytała niewinnie: – A co, chce mi pan powiedzieć, że coś było nie tak?

– Pobiła go pani przy wyjściu? – Uniknął odpowiedzi.

– To za dużo powiedziane. Uderzyłam go, raz. Nie zachowywał się ładnie przez całe spotkanie, aż się doprosił. Możliwe, że moja reakcja była przesadzona, ale sam pan rozumie, sporo przeżyłam tamtego dnia. No dobrze, więc co z tym klubem?

Bruś spojrzał na nią zagadkowo.

– Sam chciałbym to wiedzieć. Powiem pani, jak ja to widzę. Od początku. Jakiś czas temu dotarły do nas, do Biura, sygnały o działalności pewnej grupy przestępczej, najpierw miał to być handel żywym towarem, młodymi i bardzo młodymi ludźmi obojga płci, potem okazało się, że w grę wchodzi stręczycielstwo i organizowanie seansów erotycznych z młodocianymi. Wyjątkowo ostrych seansów. Pojawiły się pogłoski, że część z nich kończyła się śmiercią ofiary. Zlecono analizy, jednak poszlaki były zbyt słabe, żeby przedsięwziąć cokolwiek. Grzeliński miał się temu przypatrywać, trzymać rękę na pulsie. Na którejś z narad padł pomysł próby infiltracji z użyciem atrakcyjnej funkcjonariuszki, jednak uznano go za zbyt niebezpieczny…

– Od kiedy praca w policji należy do bezpiecznych? – rzuciła kąśliwie.

– Zgadza się, ale przede wszystkim chodziło o to, że był nierealny. Potem wszystko ucichło, urwał się jakiś kontakt z półświatka, który nadał niejako bieg sprawie. Sprawa została odłożona na półkę, do czasu uzyskania kolejnych informacji. I kilkanaście dni temu nagle mamy zabójstwo rodziny potentatów branży drobiarskiej, ojca i syna, rozstrzelanych jak na egzekucji, plus dwa dodatkowe trupy, wszystkie w spalonej willi, której pożar był efektem eksplozji materiałów wybuchowych. Tego samego dnia nieco wcześniej płonie duża ferma w Falentach, której współwłaścicielem była jedna z ofiar. Jej wspólnik nie ma pojęcia, co mogło się wydarzyć, wszyscy są w szoku, a ów wspólnik w największym.

– Porachunki mafijne?

Bruś uniósł brwi.

– Też bym tak pomyślał w pierwszej chwili, tylko że było kilka dodatkowych rzeczy, które kazały się zastanowić nad sprawą głębiej. Pierwsza to ta, że Grzeliński zaproponował wtedy konkretną osobę, którą można by wyznaczyć do zadania infiltracji owej grupy. Tak, chodzi o panią.

– Nie rozumiem? Skąd mnie znał? – zapytała zaskoczona, a potem sama sobie odpowiedziała: – No tak, akcja w Łodzi…

– Ta narada odbyła się dużo wcześniej niż nieudana akcja zatrzymania tamtego człowieka, w której zginął pani kolega z zespołu.

Iwona zacisnęła zęby.

– No i?

– A potem nagle była ta Łódź, później otrzymałem informację, że Grzeliński był w tutejszej komendzie wojewódzkiej i rozmawiał z panią. A kiedy zdarzyła się ta historia z willą i trupami… Cóż, postanowiłem pogrzebać w tym trochę. Jeden ze zidentyfikowanych trupów to niejaki Arkadiusz Kurzaj. Facet był ze Szczecina. To po pierwsze. Po drugie, ferma, o której mówiłem, znajduje się w Falentach. A pani również tam była kilkukrotnie w ostatnim czasie, prawda?

Nie pytała, skąd wie, skoro twierdził, że grzebał w sprawie. Dowód tego, o czym mówił, leżał na stoliku, rozmawiała przez niego z Brusiem nieco ponad pół godziny temu. Zabierając ze sobą wszędzie własny telefon, nie zastanawiała się nad tym, że będzie jej tropem, bo to nie miało znaczenia, a w każdym razie miało nie mieć. Okazało się, że życie napisało własny scenariusz.

– Inspektor Grzeliński zniknął, nie zostawiając po sobie żadnych śladów – kontynuował Bruś. – I zdaje się, że to samo stało się z pani partnerem. Nie bardzo wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale to wystarczająco dużo wspólnych mianowników, żeby sądzić, że coś jest na rzeczy, jak pani sądzi?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest Matt – powiedziała drewnianym głosem, zanim uświadomiła sobie, co mówi.

Bruś pokiwał głową.

– Wie pani, zawsze uważałem inspektora Grzelińskiego za, rzekłbym, dość oryginalnego w obyciu. Znaliśmy się kilka ładnych lat, może to nie była przyjaźń, bo z tego, co wiem, nie miał zbyt wielu przyjaciół i ogólnie uważam, że dość trudno byłoby się z nim zaprzyjaźnić, ale zdążyliśmy się poznać dość dobrze. Tak myślę. Wypiliśmy razem sporo alkoholu przy różnych okazjach i to też zawsze jest sposobność, żeby kogoś bliżej poznać. Ale przez kilka lat znajomości z nim może kilkanaście razy powiedziałem do niego „Matt”. A pani, proszę mi przypomnieć, jeśli się mylę, widziała się z nim raz, w dodatku pobiła go wtedy, tak?

Straciła czujność. Mogła to składać na karb zmęczenia, stresu, wszystkiego, ale to nie powinno było się zdarzyć.

– Będziemy się dalej bawić w kotka i myszkę czy pogadamy normalnie? – zapytał Bruś, kiedy wciąż milczała.

Zadał to pytanie zwyczajnym tonem, bez cienia tryumfu w głosie.

– Sprawa klubu jest zakończona – powiedziała, czując potworne zmęczenie. – Winni nie żyją, tożsamości, a nawet liczby ofiar jego działalności nie da się ustalić. Tyle mogę panu powiedzieć.

– Czy to Grzeliński wymierzył sprawiedliwość?

Pokiwała w milczeniu głową, nie patrząc na Brusia. Ten westchnął tylko. Też wyglądał na zmęczonego. Nabrał nagle powietrza w płuca, zrobił głośny wydech i powiedział:

– No to wygląda na to, że wymierza ją dalej…

SĘDZIA I KAT

– Słucham? – Iwona nie wierzyła własnym uszom.

Bruś uśmiechnął się lekko, widząc jej minę.

– Widzi pani, ilekroć poruszaliśmy u nas w biurze temat Klubu 526, odnosiłem wrażenie, że inspektor Grzeliński jest z jakichś powodów bardzo emocjonalnie w to zaangażowany. Naciskał. Mocno. Przyznam, że w pewnym momencie przestałem mu nawet wierzyć: w te domysły, które przedstawiał jako fakty. Ale to nie były fakty ani tym bardziej dowody. Starał się przedstawiać te pogłoski w taki sposób, żebyśmy mieli wrażenie, że to pewne i sprawdzone informacje. Z drugiej strony, bardzo łatwo się pogodził z odłożeniem tej sprawy i nie wracał do tego więcej. I teraz już chyba wiem dlaczego, przynajmniej częściowo. Z jakichś powodów wziął sprawy w swoje ręce. Został sędzią i katem w jednym. Jego pierwsza, a przynajmniej pierwsza znana nam, ofiara to Zbigniew Kordula, biznesmen branży uwaga: drobiarskiej oraz mięsnej, z Lublina. Zginął we własnym samochodzie od bomby domowej roboty. Ładunek nie był silny, został odpalony zdalnie, być może Grzeliński chciał się upewnić, że do auta wsiadła właściwa osoba…

– I że wsiadła do niego sama.

– Sugeruje pani, że nie chciał, żeby ucierpiał ktoś niewinny?

– Właśnie.

– Tak, to logiczne. Ilość materiału wybuchowego użytego do sporządzenia ładunku też była nieduża.

– Ale wystarczyła. Wolał, żeby w razie czego cel przeżył, niż miałby ryzykować zranienie osób postronnych. Bo zawsze przecież można później poprawić, prawda?

Bruś patrzył na nią.

– Następna ofiara, którą wiążę z tą sprawą, to Jakub Gąsienica. Deweloper z Zakopanego, znany z dość swobodnego podejścia do kwestii krajobrazowych. Stawia, czy też raczej stawiał, osiedla i apartamentowce w różnych miejscach Podhala, detal architektoniczny i nawiązywanie do tradycyjnej zabudowy nie były jego domeną, co mają mu za złe okoliczni

mieszkańcy. Krótka seria z broni automatycznej w korpus, z zaskoczenia, kiedy wieczorem wracał ze spaceru z psem do swojego domu w Kościelisku. Zmarł kilka godzin później w szpitalu. Niedaleko miejsca zbrodni znaleziono pusty magazynek od karabinka Heckler&Koch, takiego samego, z jakiego zastrzelono Gąsienicę. Były na nim odciski palców inspektora Grzelińskiego, ale o tym nie wie praktycznie nikt poza ścisłym kierownictwem CBŚP. Wykorzystujemy fakt, że prokuratura zleciła policji wykonanie wielu czynności. – Bruś westchnął, sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon. – Pokażę pani coś. W internecie pojawiło się kilka filmików z momentów zamachów, przeważnie z daleka i bardzo słabej jakości. To nagrania z okolicznych kamer bezpieczeństwa, dziś ma je prawie każdy.

– Od dawna nie zaglądałam do internetu – mruknęła Iwona. – Telewizji też nie oglądam.

Nawet nie wiedziała, że coś takiego się zdarzyło. Bruś chrząknął.

– Te najlepsze, mam na myśli najlepszą jakość, zostały przejrzane przez naszych speców od monitoringów miejskich, to ludzie z doświadczeniem, którzy zauważą wszystko. Pierwszy jest z domu sąsiada Korduli. – Podstawił jej telefon przed oczy, na ekranie był pierwszy kadr.

Dotknął trójkącika i filmik ruszył.

Na początku nic się nie działo. Przed kutym ogrodzeniem, za którym widać było białą willę w nowobogackim stylu, stało białe volvo XC90. Zapadał zmierzch, na elewacji domu pojawiły się już żółte placki światła rzucanego przez downlighty zainstalowane pod okapem. Nagle przy furtce ktoś się zmaterializował, otworzył ją i wyszedł na uliczkę. Mężczyzna w białej koszuli trzymający przy uchu telefon skierował się w stronę samochodu i wsiadł do niego, a Iwonie mocniej zabiło serce; wiedziała, co zaraz nastąpi, a patrzenie na takie rzeczy nigdy nie było miłe. Jeszcze przez chwilę nic się nie działo, a potem nastąpiła eksplozja. Nie było kuli ognia wysokiej na trzydzieści metrów. Samochód nagle podskoczył, a przez roztrzaskane energią wybuchu szyby wydostał się gwałtownie brudnoszary dym. Kiedy wiatr go rozwiał, Iwona zobaczyła skuloną na siedzeniu zakrwawioną postać.

– Ładunek był pod siedzeniem kierowcy – mruknął Bruś. – Facet nie miał szans.

– Pod siedzeniem, a nie w jakimś miejscu dostępnym z zewnątrz – mruknęła Iwona.

– Dokładnie. To też o czymś świadczy, prawda?

– To volvo? – Iwona pokazała palcem samochód zaparkowany nieopodal.

– Tak, brawo, też zwróciło naszą uwagę. Przyjechało godzinę przed wybuchem i nikt z niego nie wysiadł. Volvo, to należące do Korduli, XC90, było już zaparkowane przed domem i nikt się do niego nie zbliżał w tym czasie, więc ładunek musiał być zainstalowany wcześniej. To auto odjechało tuż po wybuchu, ale było zbyt ciemno, a ono stało zbyt daleko, żeby odczytać numery. Próbowali prześledzić jego trasę przed zamachem i później na zapisach z monitoringu miejskiego, ale nic z tego nie wyszło. Pewnie jechał opłotkami.

Iwona milczała. Z willi na Śmiałej Grzeliński odjechał z kimś land roverem, ale to przecież nie musiał być jedyny samochód używany przez Matta. Nie powiedziała tego Brusiowi, który tymczasem włączył drugi filmik.

– Zakopane. Gąsienica. Kamera była sto metrów dalej, więc niestety niewiele widać, ale to jedyny dostępny zapis.

Zobaczyła czarno-biały obraz perspektywy ciemnej, wąskiej uliczki, oświetlonej nikłym światłem z rzadka rozstawionych latarni. Wyglądała jak wąwóz o ścianach z gęstych żywopłotów zasłaniających domy. W oddali widać było samotną postać z psem. Nagle pojawiła się druga i ta pierwsza po chwili upadła. Spanikowany pies rzucił się do ucieczki, jego sylwetka zaczęła się powiększać i po chwili Iwona zobaczyła jasnego golden retrievera. Jego oczy świeciły blaskiem odbitej od siatkówki podczerwieni, emitowanej przez reflektor kamery przełączonej w tryb nocny, i po chwili zwierzę i ciągnąca się za nim długa smycz zniknęły z kadru. Kiedy Iwona wróciła wzrokiem do Gąsienicy, napastnika też już nie było.

Coś nie dawało jej spokoju. Miała dziwne wrażenie, że jakiś szczegół umknął jej uwadze, ale nie miała pojęcia jaki.

– Tu nie mamy praktycznie nic. – Bruś westchnął z wyraźnym rozczarowaniem i schował telefon. – A więc widzi pani, taki dziwny zbieg okoliczności: w krótkim czasie ginie w zamachach dwóch bardzo bogatych ludzi. Od momentu pożaru w willi do pierwszego zabójstwa minęły niecałe siedemdziesiąt dwie godziny. To niedługo, prawda? A zaraz potem następne. To wszystko idzie bardzo szybko, jakby się spieszył.

– Może wie, że depczecie mu po piętach?

– Jeszcze nie depczemy. Po to dopiero jestem u pani: żebyśmy zaczęli.

Iwona myślała intensywnie. To miało sens. Kordula, z racji prowadzonego biznesu, mógł być prawdopodobnie znajomym Chyły i Golczewskiego. Deweloper z Kościeliska mógł z kolei być powiązany z nimi towarzysko, na przykład jako sąsiad, skoro Golczewski miał w Kościelisku nieruchomość. Iwona słyszała o Gąsienicy wielokrotnie jeszcze w czasach, gdy bywała w Tatrach. Prawdopodobnie obaj, Kordula i Gąsienica, byli klientami Klubu, bo dwaj zwyrodnialcy im ufali.

– Nie przyszedłem tylko po to, żeby zapytać, co pani wie o tej sprawie i jak mocno była pani w nią zaangażowana. Przyszedłem również, a może nawet przede wszystkim po to, żeby poprosić panią o pomoc w ujęciu Grzelińskiego.

Gdy wybrzmiało echo słów Brusia, patrzyli na siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę. Iwona zwilżyła usta końcem języka. Postanowiła dać coś Brusiowi na odczepnego, choć kwestię pomocy chciała na razie zostawić na później.

– Grzeliński przyjechał do Szczecina, żeby osobiście przekazać mi informację o zwolnieniu dyscyplinarnym z powodu nieudanej akcji zatrzymania pewnego człowieka w Łodzi – zaczęła powoli. – Byłam szefem grupy realizacyjnej, która miała go zatrzymać i przewieźć do prokuratury w Gdańsku. To jakiś księgowy, miał być zatrzymany za machloje z fakturami. Zaczął do nas strzelać, ja go zabiłam, ale z jego ręki zginął mój kolega.

– Zgadza się, to wszystko wiem. – Bruś skinął głową.

– Matt zaproponował mi tuż po wyjściu z komendy udział w akcji infiltracyjnej, niejawnej i mówię tu o daleko posuniętych środkach ostrożności ze względu na prawdopodobny udział w procederze wysoko postawionych osób. Dałam się przekonać, bo wciąż, mimo zwolnienia, czułam się policjantką, a chodziło o życie dzieci. – Spojrzała mu w oczy. – Dzieci, rozumie pan? Twierdził, że stoi na czele specjalnie powołanej w kierownictwie CBŚ nieformalnej grupy realizującej to zadanie. Zostałam zwerbowana jako kobieta i była policjantka przez tych ludzi, których usiłował dopaść…

– Przypadkowo? – wtrącił się Bruś.

Pokręciła głową.

– Miał informacje, że będą szukać kogoś o takich warunkach i predyspozycjach gdzieś w zachodniej Polsce, najprawdopodobniej w Szczecinie. Rozkręcali interes i w grę wchodzili klienci z Niemiec. I tak się stało, choć na początku nie mieliśmy pojęcia, czy to na pewno będę ja. Jednak przyszli właśnie do mnie. Miałam za zadanie transportować tych klientów do Falent, gdzie byli przejmowani przez kogoś od nich i przewożeni dalej, już bezpośrednio do Klubu, wtedy jeszcze nie znaliśmy jego lokalizacji ani nie wiedzieliśmy, kto jest organizatorem. Miałam też wyszukiwać dziewczyny o wyglądzie zgodnym z życzeniem klientów oraz te, które wyrażały dobrowolną zgodę na takie spotkania. – Mówiła to beznamiętnym tonem, choć w środku niemal się gotowała. – Moim współpracownikiem był jeden z ludzi znalezionych w willi, Kurzaj. – Zamknęła na chwilę oczy, ale otworzyła je natychmiast, kiedy pod powiekami pojawił się widok umierającego Kury. – Wszystko to, co mówił Matt na naradach, potwierdziło się. Ofiary były zabijane przez klientów podczas zabaw… – to słowo ledwo przeszło jej przez gardło – …lub po wszystkim przez Chyłę i Golczewskiego, a następnie pozbywano się ciał. Kiedy dotarłam do ludzi odpowiedzialnych za to wszystko, inspektor Grzeliński niespodziewanie zakończył sprawę. Efekty pan zna.

Bruś oddychał szybko przez nos. Rozejrzał się po pokoju i westchnął.

– Nie było żadnej, jak to pani określiła: nieformalnej grupy specjalnej w ścisłym kierownictwie CBŚ, to nierealne – powiedział nagle. – Inspektor Grzeliński jest, czy może raczej był, naczelnikiem Wydziału Analizy Kryminalnej. Nie pełnił w Biurze żadnej innej funkcji poza tą. I przepraszam, że to powiem, ale trochę się dziwię pani łatwowierności.

Popatrzyła na niego. Też się temu dziwiła od jakiegoś czasu, ale przecież Bruś nie musiał o tym wiedzieć.

– Pan sobie nie zdaje sprawy, w jakiej byłam sytuacji, prawda? – Widziała po jego minie, że właśnie uświadomiła mu pewną rzecz. – Straciłam swoje dawne życie, pracę, partnera, wszystko. Nie ze swojej winy. I oto nagle pojawia się wysoki rangą funkcjonariusz CBŚP, który kreśli mi obraz grupy przestępczej wykazującej się niewyobrażalnym okrucieństwem. Działającej tak dyskretnie, że nie ma możliwości infiltracji zwykłymi metodami przy udziale etatowych gliniarzy. Proponuje mi udział w tej operacji na określonych zasadach, choć nie są do końca legalne. I co z tego, że nielegalne? Nie miałam nic do stracenia, a dużo do zyskania, rozumie pan?

A przede wszystkim, mogłam w ten sposób uratować kilka istnień ludzkich. Zostałam faktycznie zatrudniona przez Klub 526 i każde zdarzenie, które potem nastąpiło, potwierdzało to, co mówił. Każde! Jak miałam go sprawdzić? Zadzwonić do pana? Do komendanta? Zażądać jakiegoś pisma?

Bruś patrzył na nią zamyślony.

– Wspomniał pan, że Grzeliński miał trzymać rękę na pulsie – rzuciła gorzkim tonem. – Niewątpliwie trzymał. Tylko nikt nie patrzył, co robi drugą.

– Podejrzewałaby pani, że wysoki rangą funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego może za plecami przełożonych przeprowadzić taką akcję? Bo ja nie.

– To teraz sam pan wyjaśnił sobie wątpliwości dotyczące mojej łatwowierności, prawda? – Popatrzyła na niego spod uniesionych wysoko brwi.

Chrząknął, lekko zmieszany.

– Pytanie, kto jeszcze za tym stał oprócz pani – zmienił temat.

– Ja za tym nie stałam – warknęła.

– Wie pani, o czym mówię. – Zniecierpliwił się lekko. – Trudno zorganizować coś takiego w pojedynkę. On miał wiedzę, kontakty, ale to nie wszystko. Normalnie pracował, przychodził do roboty. Nie da rady się rozdwoić, prawda?

Iwona pomyślała nagle o samochodzie odjeżdżającym tej nocy sprzed willi na Śmiałej. Kto go prowadził?

– Musimy go znaleźć, zanim sprawa się rozniesie – oświadczył Bruś, zakładając ręce na piersi, jakby podświadomie bronił się przed czymś.

– A więc chodzi o politykę? – Zdziwił ją tym stwierdzeniem.

– Nie… Nie tylko. Nie przede wszystkim, no. – Skrzywił się. – Musimy go powstrzymać, zanim to wszystko wymknie się spod kontroli.

– Nikt nie ma nad tym kontroli. Ani nad nim.

– To prawda – przyznał. – Musimy go powstrzymać i znaleźć dowody na działalność Klubu. Załatwić to zgodnie z prawem, do cholery, nie żyjemy przecież w Azji!

Iwona prychnęła lekceważąco.

– Nie ma żadnych dowodów, rozumie pan? Już oni się o to postarali. Byli chorobliwie ostrożni, zacierali wszystkie ślady. Nie udowodnilibyście im niczego! Ciała ofiar były palone w spalarni odpadów na fermie w Falentach.

Samochody, którymi transportowano klientów i zwłoki, były rejestrowane na słupy. Ci, którzy wiedzieli za dużo i chlapali jęzorem, też byli eliminowani. Wszystko odbywało się w ścisłej tajemnicy i praktycznie z zachowaniem zasad konspiracji, albo jak w dobrze zorganizowanej siatce terrorystycznej! – niemal krzyczała. – Dlatego Matt to robi. Bo wie, że bez tego nikomu nic byście nie zrobili. Ani wy, ani nikt inny.

– Wysadzając willę w powietrze i paląc ją doszczętnie, sam zatarł sporo śladów, prawda? Zrobił to raczej świadomie, nie podejrzewam go o głupotę. A my mamy możliwości, żeby jakieś ślady znaleźć, pani Iwono. Grzeliński działał sam, mam na myśli samowolnie. Nawet jeśli korzystał z policyjnych baz danych, systemów czy wykorzystywał swoje kontakty i wymuszał przysługi od jakichś jednostek policji, żeby uzyskać informacje, dzięki którym trafiliście na trop tych wykolejeńców, to robił to siłą rzeczy w ograniczonym zakresie. My mamy do dyspozycji cały aparat. Poza tym pojawia się pewne pytanie…

– Skąd wie, kogo ukarać.

– Właśnie.

– Kiedy widziałam go po raz ostatni, z daleka, tam, koło willi, miał coś pod pachą. To był chyba laptop. Zabrał go z willi na Śmiałej, może należał do Chyły albo Golczewskiego i było na nim coś, co pozwoliło mu zidentyfikować bywalców Klubu.

Bruś rozłożył ręce.

– No to mamy prawdopodobną odpowiedź.

Iwona nieświadomie zacisnęła pięści, myśląc o ostatnich ofiarach Matta, najprawdopodobniej klientach Klubu 526. Jeśli zabijał tych ludzi, a nie szantażował, to oznaczało, że nie kierował się jak w pewnej chwili podejrzewała chęcią zysku, a jedynie zemsty. To ją w jakiś sposób pocieszało. Nie usprawiedliwiało Grzelińskiego, bo nie chodziło teraz o te kategorie, ale niewątpliwie czuła się z tą świadomością o wiele lepiej.

– Pomoże nam pani?

– Nie – odparła zdecydowanie.

– Dlaczego?

– Bo nie wdeptuje się dwa razy w to samo gówno.

– Rozumiem w przypadku wniknięcia w strukturę grupy przestępczej, ale tu już raczej nie będzie pani grozić niebezpieczeństwo?

– Nie? – Roześmiała się. – A jeśli bywalcami tego pieprzonego klubu byli ludzie zaprzyjaźnieni z ministrami, komendantami, biskupami, a może nawet wśród nich byli ludzie ze świecznika? Co wtedy? Czy jest na to pan gotowy? A komendant CBŚP? On też będzie taki chętny do wyjaśnienia tej sprawy, jeśli okaże się, że jest w to zamieszany ktoś bardzo, bardzo, bardzo, kurwa, ważny?

– To może umówmy się tak, że dopiero kiedy okaże się, że coś takiego nastąpiło, będziemy myśleć, co dalej.

Popatrzyła na niego jak na niesforne dziecko. Miała ochotę się roześmiać.

– Nad niczym nie będziemy musieli myśleć, panie inspektorze. To, że sprawę firmuje tym razem sam zastępca komendanta CBŚP, nie ma nic do rzeczy, bo zostanie ucięta, a ja znowu zostanę na lodzie. Albo pod nim. I pan być może też. Podobno opłata za usługę była słona, zdaję sobie sprawę, ile zarabia minister, ale ministrem się bywa i często są to ludzie, którzy pracowali wcześniej na wysokich stanowiskach w wielkich korporacjach i dorobili się sporych majątków. Bycie zboczeńcem nie jest właściwe dla społecznych dołów, prawda? Tylko nie każdego po prostu stać na to, żeby te najbardziej chore fantazje wcielać w życie. Co pan na to?

– Giną ludzie. Nawet jeśli dopuścili się zbrodni zabójstwa, nikt nie ma prawa brać sprawiedliwości w swoje ręce. Od tego jest państwo, a nie samotny mściciel.

– Nie jest samotny – zauważyła.

– No tak, już to ustaliśmy: są podstawy sądzić, że nie jest.

– W końcu ktoś dostarczył mu broń i materiały wybuchowe.

Inspektor uśmiechnął się smutno.

– Tak, choć niekoniecznie ten ktoś musi mu pomagać w tej wendecie.

– A co, była jakaś kradzież w policyjnym magazynie? – Iwona uniosła brwi.

– Nie. Ale widzi pani, Grzeliński był przez wiele lat przykrywkowcem. Miał sporo kontaktów w przestępczym świecie i niewykluczone, że je po prostu odświeżył.

– Odświeżył, mówi pan. – W głosie Iwony był sarkazm.

– Ano, odświeżył… Dokonano analizy i porównania pocisków wyjętych z ciała Gąsienicy w systemie ARSENAŁ. Tej broni użyto prawie dwadzieścia lat temu podczas napadu na kantor w Chorzowie. Zginął wtedy właściciel kantoru i jego syn. Nie twierdzę oczywiście, że to inspektor

Grzeliński dokonał tego napadu, ale skądś wziął tę broń teraz, prawda? – Bruś zmarszczył brwi i lekko przekręcił głowę, zmieniając nagle temat. – Wracając do kwestii samotności: wie pani, że on wychował się w domu dziecka?

Iwona zdrętwiała, starając się równocześnie, żeby tego nie było po niej widać. Uspokoiła oddech i w miarę normalnie wróciła do kwestii, którą roztrząsali.

– Też jeszcze niedawno sądziłam, że to powołane do tego organy powinny ścigać zabójców, zwłaszcza takich zabójców, z jakimi mieliśmy do czynienia, wie pan? Ale ktoś mi wytłumaczył pewne niuanse. Można nawet powiedzieć, że częściowo mnie przekonał.

– Chce pani powiedzieć, że popiera działania Grzelińskiego? W takim razie moja wizyta tutaj jest chyba bez sensu? – Bruś patrzył na nią wyczekująco.

Potrzymała go jeszcze chwilę w niepewności. Tyle jej z tego wszystkiego.

– Moje poglądy nie mają tu nic do rzeczy – powiedziała spokojnie. – I zmieniłam zdanie. Pomogę wam, ale mam warunek. Przywrócicie mnie do służby. Nie wiem, jak pan to załatwi. Skuteczne odwołanie, potraktowanie mojego zwolnienia jako element przykrywki operacji specjalnej, nie interesuje mnie to. Mam być znowu pełnoprawnym funkcjonariuszem policji, ze wszelkimi właściwymi uprawnieniami. Chcę mieć pewność, że tym razem wszystko jest legalnie i zgodnie z prawem.

Była świadoma złudności tego, czego zażądała. Prawo jest elastyczne i wszystko zależy nawet nie tyle od tego, kto je stanowi, ile od tego, kto je interpretuje. Zwykle wystarczy zmiana opcji politycznej u steru władzy. Bruś też musiał być tego świadomy, pewnie nawet bardziej niż ona.

– Dość niespodziewana zmiana stanowiska. – Zmarszczył brwi i przejechał dłonią po łysej głowie. – Nie mówię, że się nie cieszę, ale jestem trochę zaskoczony.

– Zgadza się – przyznała po chwili bez cienia żenady. – Bo doszłam do wniosku, że jest pewien powód. A właściwie dwa.

– Tak?

– Po pierwsze, ciekawość. Chcę wiedzieć, dlaczego Matt to zrobił. Takie rzeczy dzieją się wszędzie i ciągle, na mniejszą i na większą skalę: mówię o prostytucji, stręczycielstwie, handlu żywym towarem i tego typu praktykach. Świat jest pełen skurwysynów i popaprańców. A on zajął się

akurat tą sprawą i poświęcił jej wszystko: karierę, a nawet życie, bo kiedy wpadnie, spędzi jego resztę w więzieniu.

– A po drugie?

– Muszę z czegoś żyć, prawda? – Spojrzała na niego z kpiną.

– No tak. – Westchnął. – Rozumiem… W takim razie ostatnia sprawa, bardzo ważna.

– Tak?

– Wiemy o tym tylko my. – Jego wzrok był nieruchomy, twarz stężała w dziwnym grymasie. – Oficjalnie nie ma sprawy inspektora Grzelińskiego, to znaczy nie jest łączony ze zdarzeniami w willi na Śmiałej, bo w tej sprawie toczy się oczywiście śledztwo. Nie jest również oficjalnie poszukiwany, bo nikt nie zgłosił formalnie jego zaginięcia. Nie stawia się do pracy, tu i ówdzie pojawiają się pytania, ale nie ma to związku z Klubem.

Iwonie brzmiało to wszystko znajomo. A nawet nie brzmiało, tylko śmierdziało. Znów ktoś prosił ją o zrobienie czegoś nie do końca legalnego. Nie uważała się za głupią, ale nawet dla niej samej podjęta właśnie decyzja była idiotyczna, zważywszy na to, co wydarzyło się poprzednio, kiedy na coś takiego poszła.

– Jeśli wyjdzie na jaw, że ta sprawa była prowadzona poza jakimkolwiek trybem, poniesie pan bolesne konsekwencje.

Bruś wzruszył ramionami, a na jego twarzy malował się stoicki spokój, jakby pogodził się już ze wszystkim.

– Cokolwiek się wydarzy i tak polecę ze stołka za to, że dopuściłem do tego, żeby Grzeliński zajął się sprawą na własną rękę. Z jednej strony wolałbym, żeby to stało się jak najpóźniej, z drugiej – im później go złapiemy, tym więcej ludzi zginie. Sama pani widzi, że jestem rozdarty. Chodzi teraz o minimalizację strat, zarówno w ludziach, jak i w wizerunku policji. Może wciąż jeszcze mam jakieś ideały, a może jestem po prostu głupi, że pozwolę sobie na szczerość. – Uśmiechnął się lekko do Iwony. – Ale ja już i tak planowałem odejście na emeryturę. Ile można babrać się w tym gównie?

Wrócił do okna i znów zapatrzył się na wieżę ciśnień, która została czyimś domem. Iwona patrzyła na jego sylwetkę widoczną na tle jasnego prostokąta i myślami była już zupełnie gdzie indziej.

Jeszcze z jednego powodu zdecydowała się znów zanurzyć w tym szambie, choć przecież dopiero co się z niego wynurzyła. Ważniejszy nawet niż

zabezpieczenie materialne i chęć dowiedzenia się, dlaczego Matt zrobił i wciąż robił to, co robił. Oszukiwał i zabijał.

Sędzia i kat w jednym.

Zniknięcie jej partnera zbiegło się z nieudanym zatrzymaniem w Łodzi i Iwona wciąż sądziła, że to nie może być przypadek i że Grzeliński może mieć z tym coś wspólnego. A Bruś oferował jej właśnie okazję w pełni legalnego dotarcia do prawdy. Postanowiła z niej skorzystać, a następnie szybko sprawdzić, w którym domu dziecka wychowywał się Matt.

Miała graniczące z pewnością przeczucie, że w tym samym co Krzysiek.

Gdziekolwiek to było.

GEJ

Adres zamieszkania Grzelińskiego Iwona dostała od komisarza Marcina Giluka z CBŚP, który na polecenie Brusia miał być kimś w rodzaju jej zdalnego asystenta. Miała dzwonić do niego za każdym razem, kiedy będzie potrzebowała jakiejś informacji. Podejrzewała, że każda prośba o taką będzie konsultowana z Brusiem, który ewentualnie wyrazi zgodę na jej podanie bądź nie. Iwona przyrzekła sobie, że jeśli zajdzie taka sytuacja, w której zastępca komendanta nie zgodzi się na ujawnienie potrzebnej jej do śledztwa informacji, postawi sprawę jasno. Zagrozi, że odejdzie i powie to tylko raz, a jeśli sytuacja się powtórzy, po prostu zrobi to, już bez ostrzeżenia. Giluk nie miał pojęcia o podejrzeniach wobec Grzelińskiego, Bruś wyznaczył go po prostu do koordynacji standardowych poszukiwań osób zaginionych prowadzonych przez jednostki policji.

Wszczęto też postępowanie mające na celu przywrócenie jej w szeregi policji, co ją bardzo cieszyło. Nie sądziła, żeby mogli wywinąć jej jakiś numer, choć ostatnie kilka miesięcy nauczyło ją, że spodziewać się należy wszystkiego, a już z pewnością tego, co najgorsze. Miała być funkcjonariuszem Centralnego Biura Śledczego Policji, a formalnie etat miała dostać w Zarządzie CBŚP w Szczecinie. Przyszłość zaczęła się powoli klarować, choć wciąż jeszcze było zbyt wiele niewiadomych, żeby Iwona mogła się tym cieszyć.

Matt mieszkał na Solcu, w bloku tak podobnym do tego, w którym mieszkała ona, że aż się zdziwiła. Jeszcze przez chwilę czekała na ślusarza i patrol policji, który miał asystować przy wejściu do jego mieszkania. Podobno Grzeliński miał jakąś daleką krewną w Sochaczewie, jednak nikt w Biurze nie znał szczegółów i było wątpliwe, żeby miała zapasowe klucze. Ślusarz przyjechał pierwszy, potem zjawiło się dwoje funkcjonariuszy. Ich obecność była formalnością i miała zapobiec wyłącznie podejrzeniom o włamanie, jednak i tak było pewne, że policyjna plomba, którą Iwona miała później założyć, wzbudzi sensację w całym bloku, a może nawet i na całym osiedlu. Sprawa zamka została załatwiona szybko, policjanci i ślusarz zniknęli i Iwona została w mieszkaniu sama.

Było niewielkie, urządzone po męsku i choć czyste, widać było, że kobiety tu nie zaglądają, a jeśli nawet, to rzadko i nie na długo. I z niemal całą pewnością żadna nie mieszkała tu na stałe, Iwona wiedziałaby to nawet wtedy, gdyby Bruś nie powiedział jej, że Matt nie jest żonaty. Brakowało ciepłych akcentów – zamiast firan i zasłon ciemne rolety, żadnych kwiatów, nawet doniczkowych, żadnych rodzinnych zdjęć w fikuśnych ramkach, dywanów czy wykładzin, niczego, co utrudniałoby utrzymanie czystości czy nadawałoby wnętrzu cieplejszy charakter. Na regale z książkami nie znalazła żadnej pozycji literatury obyczajowej czy psychologicznej, a jedynie same książki historyczne o dość szerokim spektrum: od władców starożytności po historię współczesnej broni strzeleckiej. Na jednej ze ścian wisiał wielki, oprawiony w dyskretną aluminiową ramkę plakat z motocyklem. Nowoczesny Harley-Davidson Sportster i stary, wojskowy WLA stały naprzeciw siebie, jakby szykowały się do walki. To była męska jaskinia i to taka, w której przebywanie było koniecznością, a nie przyjemnością. Wyglądała, jakby właściciel tu po prostu sypiał i czasem oglądał telewizję, a nie mieszkał.

Iwona pogładziła palcem brzeg albumu o broni i wspomniała rozmowę z Mattem przy śniadaniu, kiedy tuż po tym, jak wyleciała z policji, zaproponował jej udział w infiltracji Klubu 526. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem broń w łapie, co Matt? – szepnęła do siebie, cytując jego słowa.

Zaczęła rozglądać się dokładniej po mieszkaniu. Nie znalazła żadnego komputera. Telefonu też nie, zresztą Bruś wspominał, że sygnał służbowej komórki zniknął już jakiś czas temu, prywatnej też. W szufladach była bielizna, kilka pasków od spodni, w szafie trochę ubrań. Przypomniała sobie sandały, które nosił, gdy widziała go po raz pierwszy. Grzeliński nie był ikoną stylu, nie gromadził ubrań: czyli albo ich nie potrzebował, albo nie było go na nie stać. To drugie wydało się Iwonie mniej prawdopodobne: zarabiał pewnie sporo nawet jak na warunki warszawskie, niewielkie mieszkanie nie było domem, więc opłaty nie wynosiły tyle, ile w tym drugim przypadku. Pytała Brusia, czy Matt nie miał innego mieszkania czy domu, ale Bruś skwitował to krótko: ten facet nie miał wielu potrzeb.

Przechadzała się powoli po salonie połączonym z aneksem kuchennym, maleńkiej sypialni z podwójnym łóżkiem i łazience, jeszcze mniejszej niż ta w jej mieszkaniu. W tej nie wcisnęłoby się już i wanny, i prysznica. Potem

wróciła do regału z książkami i zaczęła uważnie przyglądać się ich grzbietom. Jedna z nich nie była książką, tylko starym albumem, więc wysunęła go i otworzyła. To był album na zdjęcia, ale panował w nim straszny bałagan. Kilka fotografii wklejono, reszta walała się pomiędzy kartonowymi stronicami upstrzonymi plackami zaschniętego kleju po tych, które zostały oderwane lub odpadły. Zaciekawiona zaczęła w nich przebierać i oglądać wybrane. Kilka było z wczesnego dzieciństwa, jeszcze z początku lat siedemdziesiątych, następne już z późnej młodości, jakby etap pośredni został wymazany lub w ogóle nie został uwieczniony na zdjęciach. Kiedy Iwona wzięła do ręki następne zdjęcie, trzymany na przedramieniu drugiej album zsunął się i gruchnął o podłogę, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Jezus, Maria… – wyszeptała, nieświadomie zasłaniając dłonią usta.

Na zdjęciu byli Matt i Krzysiek. Dużo młodsi, ich włosy były jeszcze całkiem ciemne, twarze nie miały zmarszczek, poza tymi w kącikach zmrużonych od uśmiechu powiek. Pochyleni ku sobie stykali się czołami, patrząc sobie w oczy i trzymając swoje głowy, jakby dociskali je jeszcze do siebie. Uśmiechali się przy tym szeroko. Zdjęcie było czarno-białe, trochę ziarniste i pomijając kontekst, można było uznać je za naprawdę piękne. Iwona nie miała wątpliwości. W ich oczach była czułość.

Tak patrzą na siebie kochankowie.

Musiała usiąść i zrobiła to. Usiadła na podłodze i w milczeniu wpatrywała się w zdjęcie. Poczuła się podwójnie oszukana. Nie tylko odejściem od niej, ale także tym, że jej partner okazał się gejem. Nie miała nic przeciwko osobom homoseksualnym, brzydziła się tylko kłamstwem. Mogła jeszcze zrozumieć, że w związku trwającym kilkanaście lat pojawia się ktoś inny, kto odciąga jedno od drugiego. Nawet jeśli jest tej samej płci. Życie. Ale Krzysztof oszukiwał ją od początku, bo to nie było tak, że doszedł po latach do wniosku, że błądził, a tak naprawdę zawsze interesowali go mężczyźni. Zdjęcie świadczyło o tym dobitnie, skoro zrobiono je przynajmniej ćwierć wieku temu, jeśli nie dawniej.

Czy osoba, którą widział Jasiek w Stasince, na pewno była kobietą, a nie długowłosym mężczyzną? A jeśli tak, to czy to on siedział w samochodzie odjeżdżającym spod willi na Śmiałej?

Naklejając policyjną plombę na drzwi mieszkania Matta, Iwona doszła do smutnego wniosku, że można żyć z kimś pod jednym dachem dwadzieścia

i więcej lat, a i tak nie uda się go dobrze poznać, bo każdy ma swoje tajemnice, którymi nie może się podzielić z innymi, nawet z najbliższymi. Nie może, nie chce albo nie potrafi. Tym samym doszła do kolejnego wniosku, że każdy człowiek naprawdę dobrze, wręcz na wylot, zna tylko jedną osobę. Siebie. Wszyscy pozostali będą zawsze obcymi.

Z Solca Iwona pojechała od razu na ulicę Podchorążych, do siedziby Biura.

Bruś przyjął ją w swoim gabinecie. Na nosie miał okulary i był w mundurze.

– Jadę niedługo na spotkanie do głównej, ale nie w naszej sprawie – wyjaśnił, kiedy policjant, który ją do niego przyprowadził, zniknął za drzwiami. Iwona wzdrygnęła się lekko na ostatnie dwa słowa. – Jak tam wizyta, czy raczej wizytacja? Znalazła pani coś ciekawego?

– Możliwe – mruknęła enigmatycznie. – Ale ogólnie czysto, choć można by wpuścić tam techników, żeby sprawdzili pomieszczenie na obecność śladów materiałów wybuchowych. Gdzieś musiał przygotowywać ładunki; jeśli w mieszkaniu będzie czysto, to znaczy, że miał inny lokal. I trzeba będzie jakoś ustalić gdzie. To tak na szybko. Mam natomiast jedną dziwną rzecz… – Zawiesiła głos.

– No to słucham. – Bruś usiadł za stołem i gestem zaprosił ją, żeby zrobiła to samo.

Usiadła z lekkim wahaniem. Wciąż jeszcze nie mogła otrząsnąć się z szoku.

– Porozmawiajmy jeszcze chwilę o nim, dobrze? – poprosiła cicho.

– Jasne… – zdziwił się lekko.

– Jaki on jest? Jakiego pan go zna?

Oficer zastanowił się przez chwilę, jakby dobierał odpowiednie słowa.

– Przede wszystkim jest dobrym gliniarzem. Pracowitym, pomysłowym, twardym i nieustępliwym, co czasem rodziło konflikty. Personalne – dodał, zerkając na Iwonę znad okularów. – Podawałem pani przykład narad w sprawie Klubu 526. Żyje pracą. Nie wiem, czy ma hobby. Wspominałem, że ma niewielkie potrzeby, i to prawda. Nie dba o strój, jeździ kilkunastoletnim bmw, co jeszcze mogę o nim powiedzieć… No i jest samotny. Z wyboru. Jest samotny i jest samotnikiem. O ile wiem, nie ma przyjaciół, jak pani wspomniałem przy naszym pierwszym spotkaniu. Proszę też pamiętać, gdzie się wychował. Nie jestem specjalistą, ale wydaje mi się, że ludzie dorastający w domach dziecka po rozpoczęciu

samodzielnego życia prezentują dwie postawy. Jedni próbują nadrobić stracone lata i gromadzą dobra; jeśli mają taką możliwość, robią wszystko, żeby na nie zarobić, i dogadzają sobie nimi. Taka rekompensata, którą sami sobie dają. A inni są tak przyzwyczajeni do skromnych warunków, że zadowalają się niezbędnym minimum. I może nawet boją się mieć coś więcej z obawy, że mogą to stracić. Grzeliński to zapewne ten drugi przypadek. – Skrzywił usta.

– Wie pan, że jest gejem? – wypaliła Iwona niespodziewanie.

Bruś zrobił wielkie oczy, a na jego twarzy wykwitł dziwny uśmiech.

– Słucham? – zapytał uprzejmie.

– Jest gejem – powtórzyła.

– To niemożliwe. – Pokręcił głową, a uśmiech zrobił się szeroki, jakby powiedziała coś zabawnego.

– Wszystko jest możliwe, panie komendancie. Przypominam, o kim rozmawiamy. O gliniarzu, który zaczął rozwalać złych gości ołowiem i trotylem, zamiast ich wsadzać za kraty.

Bruś spoważniał.

– Okej. – Spuścił głowę, złączył palce obu dłoni i położył je na blacie. – Musi pani coś wiedzieć o Grzelińskim. Jest samotny, w sensie nie ma żony, to już pani wie. Ale nie wie pani, że to pies na baby. Nie przepuści żadnej. A że jest atrakcyjny, wiele z nich też nie przepuściło takiej okazji.

– Skąd pan to wie? Od niego?

– Niee, był bardzo dyskretny. Wiem to od jego kolegów, no i od kobiet, z którymi sypiał. Może ma bujny temperament seksualny, może sobie coś rekompensuje, nie wiem, nie pytałem go o to. Ale to jest fakt. Grzeliński nie jest gejem. Wspomniałem przed chwilą, że nie ma hobby, ale szczerze mówiąc, mógłbym stwierdzić, że jednak je ma i są nim kobiety.

– Może to zasłona? Rozpuszczanie pogłosek o swoich podbojach w celu ukrycia prawdziwej orientacji? A może jest po prostu biseksualny?

Bruś pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Wie pani, słyszałem kilka razy, jak wypowiadał się o osobach, jak to się teraz mówi: nieheteronormatywnych. Mamy czasy poprawności, ale on się poprawnością nie zawsze przejmował. I znów: nie był wulgarny, ale zdarzyło się, że wypowiadał się o kimś „ten pedzio”, albo używał terminu „gejoza”. Nie wydaje mi się, żeby nawet kryptogej mógł tak mówić o swoich… – Ramiona uniosły mu się lekko i Bruś urwał, nie wiedząc, jak skończyć.

– A jeśli to była przykrywka? – zapytała. – Było trochę przypadków, kiedy osoby publiczne potępiające gejów i lesbijki w czambuł okazywały się homoseksualne, prawda?

Bruś żuł wargę.

– No dobrze, na jakiej podstawie wysunęła pani takie wnioski, jeśli chodzi o Grzelińskiego? – zapytał.

W odpowiedzi Iwona wyciągnęła zdjęcie i położyła je na blacie. Bruś zdjął okulary, przysunął sobie fotografię i zaczął się jej uważnie przyglądać.

– Ciekawe, czy te wszystkie kobiety też obdarzał takimi czułościami – mruknęła kpiąco.

– Gej, mówi pani… – Komendant zaczął pocierać podbródek, a potem wzdychając lekko, odsunął zdjęcie w stronę Iwony i założył z powrotem okulary. – Wydaje mi się, że niekoniecznie ma pani rację.

– Dlaczego?

– Mnie to nie wygląda na czułość, nie w sensie miłosnym.

– A na co to panu wygląda?

– Nie chodziła pani nigdy za rękę z bliską przyjaciółką?

– Nie. – Nie dodała, że nigdy nie miała bliskiej przyjaciółki, a na pewno nie takiej, z którą mogłaby chodzić za rękę.

– Ale widziała pani takie sytuacje? Na mieście, gdziekolwiek?

Potwierdziła niechętnie skinięciem głowy.

– I co, od razu pani pomyślała, że to lesbijki? No właśnie. Trudno, żeby faceci, którzy są bliskimi przyjaciółmi, chodzili, trzymając się za ręce. Wiadomo, mężczyźni niezbyt chętnie okazują uczucia, ale mnie to wygląda po prostu na bliską przyjaźń.

– Wspominał pan, że Grzeliński nie ma przyjaciół.

– Mówiłem, że nie wiem, żeby ich miał. Jest pewna różnica. A takie rzeczy… – wskazał na zdjęcie – widuje się na imprezach, na których jest alkohol. Takie pijackie zbliżenia i wcale nie trzeba być przyjaciółmi, żeby tak się zachowywać po pijaku.

– Nie wyglądają na pijanych.

– Wyciąga pani takie wnioski na podstawie zdjęcia? – Teraz Bruś przyjrzał się jej.

Nie odpowiedziała.

– Ciekawe, kim jest drugi? – zapytał, nie doczekawszy się reakcji.

– Nazywa się Krzysztof Reinert. – Tym razem Iwona odpowiedziała; obojętnie i ze wzrokiem bez wyrazu.

Mina Brusia wyrażała zaskoczenie.

– Skąd pani to wie?

– Bo to mój partner, zaginiony od dwóch miesięcy.

Bruś patrzył na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– O co tu chodzi? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem – odparła zimno Iwona. – Ale mam podejrzenia, że znali się od dawna. Od bardzo dawna. Najprawdopodobniej dorastali w tym samym domu dziecka.

DOM

Iwona skorzystała z tego, że miała Giluka pod ręką i poprosiła komisarza o ustalenie, na przykład w kadrach, gdzie Grzeliński kończył podstawówkę i liceum. Okazało się, że obie w Łobzie, niedaleko Szczecina, co pozwalało przypuszczać, że dom dziecka, w którym Matt się wychowywał, również znajdował się w tym mieście. Resztę sprawdziła sama: placówka wciąż funkcjonowała, więc pozostawało tylko po pierwsze, mieć nadzieję, że to ta sama, a nie nowa stworzona przez władze oświatowe po długiej przerwie, a po drugie – pojechać tam. Telefon, który Iwona wykonała jeszcze z Warszawy, rozwiał wątpliwości dotyczące tej pierwszej kwestii: dom dziecka w Łobzie istniał bez żadnych przerw od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, przechodził tylko, w miarę jak zmieniały się czasy, pod kuratelę coraz to nowych organów samorządowych. Teraz Iwona musiała zrobić tylko to drugie. Zapowiedziała się u dyrektor placówki, ale zanim wyruszyła w drogę, jeszcze przez chwilę pogadała z Gilukiem o Grzelińskim. Giluk nie miał pojęcia, co zrobił Matt, oficjalna wersja była taka, że zniknął. Zniknięcie samo w sobie nie jest wbrew pozorom aż tak dziwne: ludzie miewają różne kłopoty i różne rzeczy im się przytrafiają, problem zaczyna się wtedy, gdy chodzi o człowieka na takim stanowisku i z takim zasobem poufnych danych w głowie.

– Jaki jest jako szef? – zapytała komisarza po prostu.

Giluk, sympatyczny facet po trzydziestce wyglądający jak modelowy ojciec rodziny z reklamy syropów wykrztuśnych, zrobił nieokreśloną minę.

– W porządku. Wiesz, nie ma między nami jakiejś zażyłości, w końcu to szef, ale jest w porządku. Na pewno wymagający, wszystko ma być zrobione na czas i przede wszystkim dobrze. Pracował nad nami, mawiał, że trzeba nas jako zespół dobrze wytrenować i naoliwić, żebyśmy funkcjonowali jak dobra maszyna. Bo to oszczędza czas, no i przyznawał wprost, że wtedy nie musi po nas niczego poprawiać, albo wręcz robić tego sam. Ale nie jest leniwy, o nie. Z kolei kiedy ktoś przychodził do niego z problemem, nie bawił się w tatusia. W pracy się pracuje, problemy zostawia się w domu, taką ma filozofię. Umówmy się, to jest praca bardziej biurowa, ale każdemu

może zachorować dziecko, może zapić poprzedniego dnia i tak dalej. Unikamy takich sytuacji, bo się trochę wkurza na spóźnienia. Ale szanujemy go. No i nie jest karierowiczem. Ma w dupie układy, przynajmniej na tyle, na ile może, wiadomo. Bezkompromisowy. Wiem, że był kiedyś przykrywkowcem, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Gangi samochodowe i te sprawy. Potem poszedł za biurko, ale to doświadczenie dawało o sobie znać w sposobie zarządzania zespołem. Z nim nie było miękkiej gry. Ostatnio był trochę inny. Poluzował nam odrobinę. Brał częściej jakieś krótkie urlopy albo wychodził na miasto. Kto szefowi zabroni, nie? – Uśmiechnął się lekko.

– Podobno lubi kobiety?

– Tak. A kobiety lubią jego. Ale szczegółów ci nie zdradzę, bo ich nie znam. Faceci, co? – Znów się uśmiechnął, tym razem porozumiewawczo.

Iwona nie skwitowała tego ani słowem, ani grymasem, tylko pożegnała się z Gilukiem i wyszła z budynku, nie chcąc tracić więcej czasu. Z siedziby Biura wyjechała z nowiusieńką odznaką, którą Bruś dał jej na koniec spotkania z porozumiewawczym uśmiechem i cichymi słowami: proszę, pani komisarz.

Do Łobza dotarła przed zmrokiem. Kiedy mijała Kalisz Pomorski, zaczął padać deszcz i padał tak, dopóki Iwona nie stanęła przed budynkiem domu dziecka, a wtedy zmienił się w mżawkę, równie wredną i dokuczliwą.

Dom dziecka znajdował się przy ulicy Konopnickiej, naprzeciw siedziby łobeskiego starostwa powiatowego. Był to długi, niewysoki, kryty stromym dachem budynek. Iwona podbiegła do wejścia i zadzwoniła domofonem, a chwilę później była już w mieszczącym się na parterze gabinecie dyrektorki, Jolanty Imielskiej, z którą rozmawiała kilka godzin wcześniej przez telefon.

Imielska była wysoką, krótko ostrzyżoną blondynką mniej więcej w wieku Iwony. Widać było po niej lekkie zdenerwowanie, choć Iwona od razu wyjaśniła, że nie chodzi o żadne śledztwo związane z którymś z wychowanków. Wiedziała, że niektórzy tak mają: choćby byli czyści jak łza, obecność policjanta zawsze będzie ich tremować.

A ona znów była policjantką. Prawie.

Dyrektorka zaproponowała Iwonie herbatę, ale ta odmówiła, wymawiając się pośpiechem i pełnym brzuchem.

– W takim razie słucham panią? – Jej wzrok spoczął na twarzy Iwony.

– Chciałabym ustalić, czy pewna osoba była wychowankiem tego domu. To będą lata osiemdziesiąte, może jeszcze siedemdziesiąte. Mam tylko kilka informacji: ten człowiek ukończył tutejsze szkoły i wiem, że jest wychowankiem takiej placówki. Więc połączyłam fakty i mam tylko nadzieję, że moje przypuszczenia są słuszne.

– Jak się nazywa?

– Mateusz Grzeliński. – Iwona postanowiła, że do sprawy Krzyśka przejdzie później.

I tak to wszystko było na razie macaniem na ślepo.

– Oczywiście, sprawdzę to, tylko musi mi pani dać trochę czasu.

– Jasne. – Iwona uśmiechnęła się i rozsiadła wygodniej, spodziewając się dłuższej chwili oczekiwania.

Imielska zostawiła ją w gabinecie i zniknęła za drzwiami. Gdy Iwona została sama, zamknęła oczy i oparła się o zagłówek fotela. Czuła zmęczenie. Ostatnio słabo sypiała. Raz przyśnił się jej Damiano wytrzeszczający na nią zachodzące mgłą śmierci oczy. W tym śnie nagle odżył, starł sobie z twarzy krew i z upiornym uśmiechem na ustach wycharczał: kocham cię i przepraszam. Obudziła się z walącym sercem i kwaśnym posmakiem w ustach, a potem nie mogła zasnąć do rana.

Imielska wróciła kilka minut później z wielkim skoroszytem w rękach. Był otwarty, a ona trzymała palec na kartce. Iwona poczuła, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach, i poprawiła się w fotelu.

– Tak, miała pani rację, jeśli mówimy o tym samym człowieku, to Mateusz Grzeliński przebywał tu w latach siedemdziesiąt dziewięć – osiemdziesiąt osiem. O ile pamiętam, to był jeden z trzech muszkieterów.

– Trzech muszkieterów? – mruknęła zdziwiona.

– Trzymali się zawsze razem, było ich trzech. – Imielska popatrzyła na nią z uśmiechem. – Mama mi o nich opowiadała kilka razy. Wspominała nawet, jak się nazywali, ale wyleciało mi z głowy, teraz przypomniałam sobie tylko tego Grzelińskiego. Twierdziła, że można o nich mówić jako o sukcesie wychowawczym tej placówki, bo wszyscy zostali kimś. Studiowali i ukończyli studia, tyle mama wiedziała, potem kontakt się urwał. Nie wszystkie dzieciaki mają taką szansę, a oni swoje wykorzystali.

Iwona, słuchając Imielskiej, czuła, jak w jej głowie rośnie mętlik.

Robiło się coraz ciekawiej.

– Bo widzi pani, moja mama była tu dyrektorem w tamtym czasie. Kontynuuję tradycję rodzinną. – Imielska uśmiechnęła się. – Myślę, że była bardzo dobrym dyrektorem. Traktowała te dzieci jak swoje, przynajmniej na tyle, na ile mogła, bo wie pani, to zawsze jest szalenie skomplikowana sprawa. W każdym razie praca była dla niej całym życiem i chyba dlatego zdecydowałam się na tę samą ścieżkę zawodową. Po prostu widziałam, ile to jej daje radości i spełnienia. Kiedy już przeszła na emeryturę, dalej żyła domem. Przez chwilę był tu nowy dyrektor, ale zachorował na raka, a kiedy powiat zorganizował konkurs na jego następcę, zgłosiłam się i wygrałam. Mama była przeszczęśliwa. Ja też.

Iwona znów rozejrzała się po gabinecie. Puchary, dyplomy, zdjęcia dzieciaków tryskających radością, wszystko to wyglądało już nie na wystawkę dla obcych i autopromocję, tylko jak cieszące oczy pamiątki.

– Pewnie pamiętała swoich wychowanków? – zapytała dyrektorki.

– Oczywiście. Może nie każdego, w końcu była tu trzydzieści lat, najpierw jako wychowawca, potem dyrektor, ale na pewno większość.

– Szkoda, że jej nie możemy zapytać.

– Dlaczego nie? Ależ to jest właśnie świetny pomysł!

– O, to mama żyje?

– Dlaczego miałaby nie żyć? – zdziwiła się dyrektorka.

– Używała pani czasu przeszłego i zasugerowałam się tym. – Iwona roześmiała się z zakłopotaniem.

– Nieee, żyje i ma się świetnie. – Imielska z rozbawieniem machnęła ręką. – Mieszka w sąsiednim budynku, tam kiedyś mieszkali wychowawcy, ale potem go sprzedano, mama miała możliwość wykupić tę swoją klitkę za pięć procent ceny rynkowej. Dobrze jej tam.

– Zapyta pani, czy mogę ją odwiedzić?

– Może zaproszę ją tutaj? Będzie wygodniej.

– Oczywiście, nie ma problemu – zgodziła się Iwona.

– Szczerze mówiąc, wolę ją po prostu wyciągnąć z domu, żeby się trochę poruszała. A i ona lubi tu wpadać.

Imielska sięgnęła po leżący na biurku telefon, odłączyła go od kabla ładowarki i wybrała numer matki.

– Hej, mamusiu, wpadniesz do mnie na chwilę? Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Pani z policji, ale to nic poważnego, nie musisz się martwić. To zostaw teraz podlewanie i przyjdź, czekamy na ciebie. Pa.

Iwona słuchała ciepłego tonu dyrektorki, zastanawiając się, czy kiedykolwiek rozmawiała takim ze swoją matką. A matka z nią. Uświadomiła sobie, że będzie musiała do niej niedługo zajrzeć i nie była z tego powodu szczęśliwa.

Przez kilka kolejnych minut oczekiwania rozmawiała jeszcze z dyrektorką na jakieś niezobowiązujące tematy, aż nagle otworzyły się drzwi gabinetu.

– Jesteś. – Imielska wstała zza biurka i podeszła do matki, a potem wprowadziła ją do środka.

– Dzień dobry. – Starsza pani poruszała się żwawo, miała mocny głos i Iwona przyglądała się jej w zamyśleniu.

Była z dziesięć lat starsza od jej matki, ale zachowywała się i wyglądała, jakby było odwrotnie.

– Barbara Imielska. – Z uśmiechem podała Iwonie rękę.

Skóra jej dłoni była ciepła, uścisk lekki i przyjazny. Iwona odpowiedziała tym samym.

– Iwona Banach, bardzo mi miło. – Nie zamierzała się bawić jednak w dodatkowe grzeczności. – Jestem tu w sprawie Mateusza Grzelińskiego. Córka już potwierdziła, że przebywał w tej placówce. Pamięta go pani?

– Oczywiście. – Jej twarz rozpromieniła się. – Wszystkich trzech pamiętam.

– No, właśnie… – Iwona zerknęła na młodą Imielską. – Chciałabym panią popytać o niego. I o pozostałych też.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Dyrektorka posadziła je na kanapie i zaproponowała herbatę. Iwona podziękowała, matka Imielskiej poprosiła o czarną bez cukru.

– Nie słodzę od trzydziestu lat – wyjaśniła z dumą.

Iwona uśmiechnęła się słabo, przywołując na twarz wyraz uznania. Nie kosztował jej zbyt wiele, starsza pani sprawiała wrażenie przesympatycznej osoby. Kiedy jej córka wyszła, spojrzała na Iwonę zatroskanym wzrokiem.

– A stało się coś?

– Nie, nie, absolutnie. – Iwona wzruszyła obojętnie ramionami. – Pan Grzeliński jest funkcjonariuszem policji.

– Czyli nic się nie zmieniło? – Twarz Imielskiej się rozjaśniła.

– N-nie – odpowiedziała ostrożnie, choć owszem, zmieniło się sporo. – Chodzi o sprawy proceduralne związane z postępowaniem w sprawie dopuszczenia go do tajemnic państwowych. Rutynowe sprawdzenie. Po to tu jestem.

– Myślałam, że robi to ABW? – Starsza pani zdziwiła się i Iwona stwierdziła, że musi być ostrożniejsza.

Kobieta była bystra.

– Zgadza się. – Skinęła poważnie głową. – Ale w policji mamy również specjalną komórkę dokonującą analiz niezależnie, choć oczywiście opierającą się na postępowaniu agencji.

– Oczywiście – zgodziła się.

– Czyli wie pani, że jest policjantem?

– Tak. Co prawda nie miałam od niego wieści już ponad ćwierć wieku, ale wiedziałam, że dostał się do szkoły oficerskiej. Cieszę się, że u niego wszystko dobrze. To był wspaniały chłopiec. Wspaniały.

– Uhm – mruknęła Iwona. – Ale ja chciałabym się skupić na jego pobycie tutaj.

– Oczywiście. – Imielska poprawiła się na krześle i oparła łokciami o blat, jedną ręką podpierając brodę: wyglądała na rozluźnioną. – Jego rodzice zginęli w Libii, gdzie byli na kontrakcie. On budował drogi, ona była lekarką, oboje stracili życie w wypadku samochodowym. Jeszcze przez dwa

lata opiekowała się nim babcia, potem zmarła i Mateusz trafił do nas. Po okresie buntu spowodowanego adaptacją do nowych warunków przystosował się do nich. Zawsze był twardy, wie pani? Był dość lubiany, ale niemal od początku znalazł sobie paczkę dwóch chłopców. Zostali przyjaciółmi. Nazywali siebie trzema muszkieterami.

– Trzej muszkieterowie… – Iwona zmarszczyła brwi z lekkim rozbawieniem. – Rozumiem, że było ich trzech i że stanowili zgraną paczkę, ale skąd muszkieterowie? Uprawiali szermierkę?

– Wie pani, w tamtych czasach nie było Harry'ego Pottera i tym podobnych. Dzieci czytały Dumasa, Niziurskiego i Bahdaja. Albo *Potop* czy *Ogniem i mieczem*. Bili się kijami od mioteł udającymi szpady albo miecze. Jak to dzieci. A potem, już jako nastolatkowie, zaczęli strzelać.

– Strzelać?

– Tak, oczywiście z broni sportowej. Namówił ich nauczyciel przysposobienia obronnego, potem zapisali się do Ligi Obrony Kraju. Chyba nawet rywalizowali trochę ze sobą na tym polu. Mateusz nie zawsze był najlepszy, a lubił być najlepszy, ooo, to na pewno. – Uśmiechnęła się uśmiechem matki, która jest świadoma przywar syna, ale i tak kocha go całym sercem.

– Jaki on był? – Iwona wróciła do wątku Matta.

Imielska zamyśliła się.

– Tak jak pani mówiłam: twardy. I trochę trudny. Uparty, chociaż grzeczny. Chłopak z zasadami. Brzydził się kradzieżą, biciem słabszych. Kiedyś zdarzyło się, że jednemu z wychowawców ktoś zabrał z sekretariatu portfel z wypłatą i to on wyśledził winnego, wie pani? O takich jak on mówiło się: zdolny, ale leniwy. Nie błyszczał w szkole, choć nie miał większych kłopotów z nauką, umysł miał raczej ścisły, nie przepadał za biologią czy językiem polskim, wolał matematykę i fizykę, ale lubił też historię. No i sport, dobrze grał w siatkówkę. Był zawsze wysoki i dobrze zbudowany, więc wiódł prym. Wśród tej trójki to on był najgłośniejszy, można powiedzieć, że miał zdolności przywódcze. Zawsze wiedziałam, że poradzi sobie w życiu. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Iwonie mocniej zabiło serce.

– Ma pani jakieś zdjęcia? – zapytała. – Najlepiej całej trójki. To bardzo interesująca historia – dodała, żeby dodać sobie wiarygodności.

Chęć obejrzenia reszty muszkieterów w świetle sprawy, z którą niby przyjechała, mogła być zastanawiająca, a pani Basia udowodniła przed chwilą, że sprawność umysłowa jej dopisuje.

– Tak, oczywiście, mamy albumy. – Imielska wyraźnie się ucieszyła, a Iwona uznała, że to dla starszej pani znakomita okazja, by wrócić do starych, dobrych czasów.

Za chwilę miała dowiedzieć się, czy przeczucia jej nie mylą. Imielska zniknęła za drzwiami, Iwonę doszły zza nich głosy: jej i jej córki, a kilka minut później starsza pani przydreptała z powrotem z grubym albumem pod pachą.

– Mam. – Chwyciła go drugą ręką i tryumfalnie wyciągnęła przed siebie. – W tym domu nic nie ginie.

– Z wyjątkiem portfeli – zażartowała Iwona.

Oczy Imielskiej zabłysły po chwili. Zrozumienie żartu trwało dosłownie ułamek sekundy i tym samym po raz kolejny pani Basia potwierdziła swoją doskonałą kondycję umysłową, a Iwona tylko smutno pomyślała o swojej matce.

– No, dobrze, szukajmy. – Imielska zaczęła wertować strony, robiąc to w sposób ewidentnie świadczący o tym, że znakomicie zna zawartość albumu.

Iwona pomyślała, że kiedyś musiała żyć swoją pracą. Nagle do gabinetu weszła dyrektorka z kubkiem herbaty. Postawiła go na niskim stoliku stojącym obok podłokietnika po tej stronie kanapy, którą zajmowała pani Basia. Ta obdarzyła córkę ciepłym spojrzeniem, a Iwonie ścisnęło się serce.

– Dziękuję, kochanie.

– Uważaj, gorąca.

– Uhm – mruknęła, wracając wzrokiem do albumu.

Jeszcze przez chwilę go wertowała, a z każdą przewróconą stroną do Iwony docierał lekki zapach kurzu i wilgotnego papieru. Poczuła się jak w starej bibliotece albo w archiwum.

– O, jest! – Starsza pani przesunęła album, kładąc go na kolanach Iwony. – To oni. Trzej muszkieterowie. To jest Mateusz. – Wskazała palcem Grzelińskiego.

Wysoki, szczuły, ciemny blondyn na czarno-białym zdjęciu stał wyprostowany i z półuśmiechem na wydatnych ustach wpatrywał się zuchwale prosto w obiektyw. Miał na sobie koszulkę bez rękawów, w jakiej

kiedyś ćwiczyli na wuefie chłopcy, i szorty o staromodnym kroju, odsłaniające zgrabne uda. Jedna ręka zwisała swobodnie, druga podparta była o biodro, a jej łokieć przyciskał do tułowia piłkę do siatkówki. Matt nie zmienił się zbytnio, nie miała żadnych wątpliwości, że chłopak z piłką pod pachą to on. Nie miała ich również w przypadku chłopaka stojącego obok, między Grzelińskim a trzecim muszkieterem.

– A ten? – zapytała Imielską, kładąc palec na zdjęciu.

– A to Krzysiu… Jak on się nazywał… – Imielska podrapała się w czoło z lekkim zakłopotaniem, jak gdyby wstydziła się tego, że zapomniała nazwiska dziecka sprzed dwudziestu lat i ktoś mógłby mieć o to pretensje. – Rejman?… Ren…

– Reinert – podpowiedziała Iwona.

– Skąd pani wie? – zdziwiła się starsza Imielska.

– Inspektor Grzeliński wspominał kiedyś o nim – odparła wymijająco. – Możemy chwilę porozmawiać o pozostałych? O Reinercie i…

– Piotrku Łaszczu. – Teraz ona podpowiedziała Iwonie.

– Właśnie. – Iwona potarła czubek nosa. – Łaszczu. Ale zacznijmy od Reinerta, dobrze?

– Oczywiście – zgodziła się. – Krzysiu był zupełnie inny niż Mateusz. Różnili się, byli jak woda i ogień, a równocześnie nierozłączni. Piotrek był czymś pomiędzy nimi. Taki negocjator. Widzi pani, relacje pomiędzy dziećmi i młodzieżą są dość podobne, kiedy organizuje się ich w jakąś grupę. Kolonie, obozy, szkoła, zgrupowania sportowe. Nawiązują się przyjaźnie, są konflikty, obojętność, wszystko. A potem wracają do domów, do rodziców i spotykają się ponownie: następnego dnia w szkole, albo rok później podczas kolejnych wakacji. A w domu dziecka jest trochę inaczej. Tu dzieci są ze sobą na okrągło, rozstają się na czas lekcji, choć i tak chodzą do tej samej szkoły, tylko do innych klas. No i przede wszystkim nie mają rodziców. Cały proces kształtowania i formowania człowieka, który ma funkcjonować potem w rodzinie, jest zaburzony na samym początku. I dlatego te relacje są nieco inne. Głębsze. Bardziej emocjonalne. Te dzieci są spragnione miłości, a nie mogą jej dostać od rodziców, od nas też nie; nie taką, jakiej potrzebują. Krzysiu był takim przypadkiem. Był bardzo wrażliwym dzieckiem. Czasem myślałam, że zbyt wrażliwym i bałam się, że sobie nie poradzi. A jednak i on wyszedł na ludzi, jak to się mówi.

Iwona wpatrywała się w zdjęcie. Krzysiek miał zupełnie inne spojrzenie niż Grzeliński. Melancholijne. Miał kilka lat mniej niż Matt i był szczuplejszy. Już wtedy było widać, że będzie przystojny, ale nie tym filmowym typem urody, tylko delikatnym, chłopięcym, które tak lubią wrażliwe dziewczyny. Jej też się spodobał, mimo że nie należała do zbyt wrażliwych. Za to na pewno była spragniona miłości jak te dzieciaki, chociaż miała przynajmniej matkę, która została jej, kiedy zabrakło ojca. No i brata, którego też w końcu zabrakło, tyle że kiedy to się stało, była już prawie dorosła.

– Co się stało z jego rodzicami? – zapytała cicho.

– To bardzo smutna historia. – Imielska stropiła się lekko. – W sumie wszystkie historie, przez które te dzieci trafiły tutaj, były smutne, bo niby nie ma różnicy: jak się traci rodziców, to nieważne w jakich okolicznościach, po prostu ich nie ma i to jest niewyobrażalna tragedia. Ale te straty mają jednak różny ciężar gatunkowy i potrafią mocniej obciążyć dziecko. Ja wiem, że porównywanie nie ma sensu, ale śmierć rodziców Mateusza w wypadku można sobie jeszcze jakoś próbować tłumaczyć, a przypadek Krzysia…

Iwona poczuła zimno w sercu.

– Pochodził z inteligenckiego, ale przemocowego domu, gdzie główny problem, jak to często bywa, stanowił alkohol. Szczegółów nie znam, wiem tylko, że jego ojciec był pracownikiem naukowym w jakimś instytucie badawczym i podobno bardzo inteligentnym człowiekiem, ale po alkoholu znęcał się nad żoną, aż pewnego dnia, kiedy chciał ją pobić, wzięła nóż i zaczęła się bronić. On zginął, ona trafiła do więzienia, gdzie po kilku miesiącach zmarła. Jej rodzice odmówili opieki nad Krzysiem i dlatego trafił do nas. I niech mi pani powie, że świat jest sprawiedliwy.

– Nigdy tak nie uważałam.

Imielska spuściła wzrok.

– To stało się na jego oczach, wie pani?

– Jezu… – Iwonie w gardle stanęła twarda kula, której nie mogła przełknąć.

– Miał wtedy osiem lat. Kiedy był już tutaj i psycholog pytał go, czy chce porozmawiać o tym, co się stało i z jakiego powodu trafił do Łobza, twierdził, że niczego nie pamięta. Choć tyle łaskawości od losu: błogosławieństwo niepamięci.

Iwona nic nie powiedziała. Niepamięć była ścianą, którą budował mózg, żeby zasłonić to wszystko, co mogło go zniszczyć. Ale te ściany czasem pękały i to, co za nimi było, wracało nagle i niespodziewanie. Po to właśnie jest praca z psychologiem: to jak ostrożne i stopniowe wyglądanie zza tych ścian, zrozumienie, że zaprzeczanie istnienia tych strasznych rzeczy za nimi nie ma sensu, bo trzeba je po prostu zrozumieć lub choćby oswoić.

Czy ściana, którą zbudował ośmioletni Krzyś, runęła właśnie tego dnia, kiedy ją zostawił? I co wspólnego miał z tym Matt? Czy on też zbudował jakąś ścianę, zza której nagle wylazły demony?

Iwona zorientowała się nagle, że Imielska wciąż do niej coś mówi, więc skupiła się na niej.

– Krzyś miał również drobne problemy emocjonalne w okresie dorastania i przez jakiś czas przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Niedługo, kilka tygodni. Podleczono go tam, trochę pracował z psychologiem i wrócił do nas, znów dołączył do pozostałych muszkieterów.

– Mówił coś o rodzicach, kiedy stamtąd wrócił?

– Nie pamiętam.

– A czy stwierdzono jakąś chorobę?

– Nie, to po prostu załamanie nerwowe, które zdarza się młodym, wrażliwym ludziom podczas dojrzewania. Ciął się.

– Ciął?

– No, wie pani, młodzi ludzie czasem manifestują w ten sposób…

– Tak, wiem – przerwała Imielskiej trochę niegrzecznie.

Oczywiście, wiedziała, o co chodzi. Tylko nigdy nie zauważyła blizn. Być może robił to niezbyt głęboko i te zostały tylko w głowie. Iwona poprawiła odruchowo grzywkę. Krzysiek był niewątpliwie wrażliwy, ale ten epizod z dzieciństwa mógł o czymś świadczyć: o kondycji jego zdrowia psychicznego. Iwona czuła teraz mocno, bardzo mocno, że stało się coś złego i być może nie do końca miało związek z tym, co wydarzyło się w Łodzi. Jego zniknięcie w tym samym czasie mogło być jednak zbiegiem okoliczności, a ona w emocjach od razu założyła, że to nie przypadek. I Matt, i inni, którzy przewinęli się przez sprawę, mogli mieć rację: jej osąd rzeczywistości miał prawo być zaburzony właśnie przez te emocje.

Co nie zmieniało faktu, że Krzysiek postąpił wobec niej nie fair.

Z jednej strony miał prawo do zachowania tajemnicy, nie było to coś, czym można było się chwalić, choć równocześnie nie miał powodów, by winić się za

to. Z drugiej, był z nią, na dobre i na złe, i elementarna uczciwość wymagała, żeby przyznać się chociaż do problemów psychicznych. Decyzja o byciu razem to nie wybór hot doga na stacji benzynowej: parówka czy kabanos. Czy byłaby z nim, gdyby wiedziała? Przez te wszystkie lata razem nie dał jej najmniejszych powodów do podejrzeń, że coś jest nie tak. Bo może nie było? Może przepracował wszystko już w młodości? Ta druga rzecz budziła w Iwonie wątpliwości. W tamtych czasach sprawy opieki psychologicznej czy leczenia psychiatrycznego wyglądały zupełnie inaczej niż dziś. Czy były skuteczne, przynajmniej w przypadku Krzyśka? Czy jednak ściana stała aż do teraz?

– A Piotrek? – Położyła palec na trzecim muszkieterze, przerywając niezręczną ciszę.

– Zawsze lubił rysować. Pięknie to robił, wie pani? Narysował portrety wszystkim wychowawcom, mnie też. Ze zdjęć. Nie było możliwości, żeby wysłać go do liceum plastycznego do Szczecina, mimo że chciał zostać malarzem albo grafikiem, ale po maturze, kiedy dzieci się usamodzielniają, dzięki stypendium, które mu załatwiłam, dostał się na Politechnikę Szczecińską, na architekturę. Wiem, że ją ukończył, ale co działo się z nim dalej, nie mam pojęcia.

Iwona patrzyła na twarz chłopaka wyraźnie widoczną na zdjęciu: zatrzymanej w klatce czasu chwili. Łaszcz miał gęste brwi i dość długie, ciemne włosy, opadające na czoło. Trochę ją to dziwiło, w tamtych czasach takie włosy nosili dużo starsi koledzy jej brata i to tacy niezbyt grzeczni, wydawało się jej też, że w takiej placówce względy higieniczne odgrywają ważniejszą rolę. Ale może właśnie jej się tylko wydawało.

– Czy… – Zawahała się przez chwilę. – Czy mogłabym dostać to zdjęcie?

Obie Imielskie spojrzały zdziwione najpierw na nią, a potem na siebie.

– Myślę, że nie ma przeszkód. – Dyrektorka wzruszyła ramionami, a następnie ostrożnie oderwała fotografię od stronicy i podała ją Iwonie.

– Dziękuję – mruknęła. – Zrobię Mateuszowi niespodziankę, kiedy mu ją dam.

Wymyśliła to naprędce, ale wyglądało na to, że był to znakomity pomysł. Obie kobiety uśmiechnęły się szeroko.

– Proszę go serdecznie ode mnie pozdrowić – poprosiła pani Basia, składając ręce jak do modlitwy.

Wyglądała na wzruszoną.

– Oczywiście. – Iwona przywołała na twarz serdeczny uśmiech, choć kosztowało ją to sporo wysiłku, a potem pożegnała się z paniami Imielskimi i poszła do samochodu.

Zapinając pas i wyjeżdżając z parkingu, zastanawiała się, czy Piotrek Łaszcz dalej nosi długie włosy. I co teraz robi. Była pewna, że osoba, której zarys widziała przez szyby land rovera odjeżdżającego spod wilii na Śmiałej, to ktoś z długimi włosami.

Kiedy znalazła się na drodze wojewódzkiej prowadzącej w stronę krajowej dwudziestki, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Giluka, lecz komisarz nie odbierał. Zniechęcona rzuciła komórkę na siedzenie pasażera, ale po chwili do głowy wpadł jej kolejny pomysł.

Łaszcz skończył architekturę. Podejrzewała, że niemal wszyscy w tym środowisku się znają na tej samej zasadzie, na której znali się policjanci, i jeśli facet ukończył szczecińską polibudę, to nawet jeśli wyjechał ze Szczecina, jego koledzy pewnie będą wiedzieć, co się z nim dzieje. Giluk mógł oczywiście spróbować ustalić miejsce jego zameldowania, ale przecież nie odbierał telefonu, a Iwona chciała kuć żelazo, póki gorące.

Marek Orłowski, jej dawny kolega, był architektem. Iwona wiedziała, że działa w lokalnych władzach ich związku zawodowego, czy jak to się nazywało. Zadzwoniła do niego od razu.

– Hej, kopę lat – ucieszył się.

– No, trochę czasu minęło. – Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lusterku wstecznym.

Pogadali chwilę, co u nich słychać. Iwona była oczywiście dość wstrzemięźliwa, jeśli chodziło o nią. Wolała słuchać. Marek dobrze sobie radził, prowadził własną pracownię projektową razem ze wspólnikiem, tym samym od trzydziestu lat.

– Słuchaj, mam pytanie, czy znasz architekta Piotra Łaszcza? – przeszła wreszcie do rzeczy.

– Tak, znałem go. – Głos Orłowskiego spoważniał.

– Zna-łem? – zapytała, wyraźnie rozdzielając sylaby.

– Znałem, bo on nie żyje. Studiowałem z nim, był dwa roczniki niżej. Dwadzieścia kilka lat temu wyemigrował do Australii, tam pracował jako architekt, ale trzy czy cztery lata temu zginął w wypadku na budowie. Pamiętam, jak ta wieść gruchnęła u nas w środowisku. Szok. Z tego, co wiem, został tam pochowany, bo był chyba sierotą, jeśli dobrze kojarzę.

– Tak, był sierotą. – Westchnęła.

– Szczerze mówiąc, nawet nie wiem dokładnie, gdzie pracował i gdzie leży. Ani czy miał tam rodzinę – żonę, dzieci. A czemu pytasz akurat o niego?

– Aa, wiesz, stare sprawy z moim Krzyśkiem, szukam kontaktu z jego dawnymi kolegami, takie tam… – paplała.

Marek nie znał Krzyśka osobiście, więc nie sądziła, żeby chciał dalej drążyć temat. Nie pomyliła się.

– Wpadnij kiedyś na kawę – zaproponował. – Mam pracownię na Radogoskiej.

– Postaram się – obiecała, ale chyba oboje wiedzieli, że szansa na to jest niewielka; oboje też nie robili z tego problemu. – Jak będę w okolicy, to na pewno wdepnę.

Pożegnała się z Markiem i jeszcze raz spróbowała dodzwonić się do Giluka, z takim samym mizernym skutkiem. Odłożyła więc telefon na siedzenie i skupiła się na drodze.

Zostało dwóch muszkieterów. Ciekawe, który był Atosem, który Portosem, a który Aramisem? Dopiero teraz wpadło jej do głowy, że mogła zapytać o to Imielską. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

Tuż przed wjazdem do Szczecina Giluk oddzwonił. Poprosiła go od razu o sprawdzenie Piotra Łaszcza, bo wolała się upewnić. Nie była w stanie podać numeru PESEL, a Giluk znalazł ich trzech, ale doszli do wniosku, że data urodzenia w przybliżeniu odpowiada w zasadzie tylko jednemu. I faktycznie, data zgonu figurująca w systemie potwierdzała, że architekt Piotr Łaszcz jest mylnym tropem.

PUNKT WSPÓLNY

Połowy nocy Iwona nie przespała, targana myślami galopującymi przez jej głowę jak tabun koni. Świetny podobno sposób na ponowne zaśnięcie, czyli wstanie z łóżka i zrobienie czegoś w domu, nie zadziałał i do rana Iwona przewracała się z boku na bok, żałując, że nie ma fajek. Myślała ciągle o tym, co stało się w drzwiach domu Jończyka w Łodzi. Jedna rzecz nie dawała jej wciąż spokoju. Żadne z nich, z tych, którzy przeżyli, nie widziało broni w ręku Jończyka. Bo może faktycznie wcale jej wtedy nie miał?

Po ósmej zadzwoniła do Brusia i przywitawszy się zdawkowo, przeszła od razu do rzeczy.

– Bardzo proszę, żeby zapoznał się pan z dostępnymi materiałami sprawy dotyczącej Jończyka, jeśli nie ma pan do nich dostępu, to proszę go uzyskać, a potem te materiały przekazać mnie. Przede wszystkim te, których nie widziałam. Nie wiem, jak pan jej uzyska, ale wierzę w pana.

– Dlaczego?

– Bo to ma coś wspólnego z tym wszystkim.

– To pani podejrzenia czy pewność?

– Podejrzenia. I właśnie dlatego chcę to sprawdzić.

– Co ten „biały kołnierzyk" może mieć wspólnego z Klubem, z panią?

– Nie mam pojęcia, ale od tego wszystko się zaczęło. I to nie był przypadek. W domu Jończyka ktoś wtedy był. Co najmniej jedna osoba. Nie pamiętam momentu, w którym on strzelił do mojego kolegi, choć z ustaleń prokuratury wynika, że na broni, z której został zabity sierżant Knobl, były odciski palców Jończyka.

– To co jest dla pani w związku z tym niejasne?

– Bo to jeszcze niczego nie oznacza. Ta osoba miała kilka minut, zanim się tam pod domem Jończyka ogarnęliśmy. Mój drugi kolega prowadził resuscytację Knobla, ja dzwoniłam po pogotowie, dom miał tylne wyjście. Kilka minut, panie inspektorze. Wie pan, co można zrobić w ciągu kilka minut? Wszystko. Na przykład wytrzeć broń z odcisków palców, włożyć ją trupowi w dłoń i podrzucić obok.

Bruś milczał, Iwona słyszała przez telefon jego cichy oddech.

– Wiemy już, że Grzeliński wrobił w to mnie – powiedziała.

– Nie wiemy, tylko podejrzewamy. W zasadzie to pani podejrzewa.

– Dobrze: ja podejrzewam, ale to bardzo mocne podejrzenia. Matt potrzebował mnie i zorganizował to sobie. Podobno przekonał prokuratora, żeby wycofał zarzuty wobec mnie, tak przynajmniej twierdził i nie wiem, czy to jest do sprawdzenia. Prowadzone było tylko postępowanie dyscyplinarne, ale nie karne, bo to umorzono.

– Pani wybaczy, to brzmi jak teoria spiskowa. Jaki on mógł mieć wpływ na prokuraturę jako funkcjonariusz CBŚP?

– Nie na prokuraturę, panie inspektorze, tylko na prokuratora. Konkretnego. Nie jesteśmy dziećmi, wiemy, że sprawy się załatwia między ludźmi, a nie w urzędach. I powiem panu, dlaczego wpłynął na prokuratora, ale już nie na mojego komendanta, żeby umorzył dyscyplinarkę, choć być może też miał taką możliwość. Bo miałam wylecieć, ale nie mogłam pójść siedzieć ani mieć sankcji ograniczających moją aktywność. Sam to przyznał. „Masz się stoczyć", mówił, „Masz być na dnie, kiedy po ciebie przyjdą". To samo z zatrzymaniem Jończyka: rozumiem, że na realizację nie pojechał zespół miejscowy, a nawet grupa z CBŚP: Jończyk mógł mieć kontakty, znać miejscowych, mógł go ktoś wcześniej ostrzec. Okej, bywa, normalka. Schematy organizacji pracy ekip dokonujących zatrzymań są dla mnie kompletnie niejasne, ale to nie moja sprawa: ja wykonuję rozkazy i dlatego jeździłam po całej Polsce. I tak się złożyło, że po Jończyka pojechałam właśnie ja. Zlecenie na niego przyszło z tej samej prokuratury, która prowadziła potem postępowanie w mojej sprawie po zastrzeleniu go, i skierowane zostało do konkretnej jednostki: albo mojej wojewódzkiej, albo innej, która zleciła to mojej. I tego też chciałabym się dowiedzieć. Moją sprawę prowadził niejaki Holz, tamtą nie wiem, ale to chyba następna rzecz, której chciałabym się dowiedzieć. – Iwona parsknęła. – Wszystkie te zdarzenia mają jeden punkt wspólny, panie inspektorze. Skurwiel, mówię teraz o Grzelińskim, bo to on nim jest, zaplanował to od początku do końca. Wciągnął w to mnie i najprawdopodobniej mojego partnera, chociaż nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie i po co. Jego zniknięcie akurat w dniu akcji w Łodzi nie mogło być przypadkiem. To raz. Dwa: znali się z domu dziecka. Trzy: utrzymywali kontakt jako dorośli, i to dość zażyły, zważywszy na zdjęcie, które znalazłam u Matta w mieszkaniu. I trzymali to w tajemnicy, przynajmniej Krzysztof, bo znaliśmy się wtedy,

kiedy je zrobiono. Byliśmy już razem, a on mi nigdy nie powiedział o swoich przyjaciołach z domu dziecka. Grzeliński też mnie okłamał, kiedy na samym początku pytałam go, czy mój partner ma z tym coś wspólnego. Dlatego znajdę go, choćby nie wiem co, i zapytam jeszcze raz. Zapytam, dlaczego to zrobił. Dlaczego Krzysztof? I dlaczego ja?

Odetchnęła głęboko, bo ostatnie zdania wypowiedziała na wydechu. Bruś milczał.

– Co mam pani powiedzieć? – zapytał, a w jego głosie była jakaś bezradność.

– Że pan to zrobi.

Trzy godziny później Bruś oddzwonił do niej. Kiedy Iwona odbierała połączenie, drżały jej ręce.

– Halo? – rzuciła do telefonu.

– Dostęp do materiałów śledztwa w sprawie Jończyka jest… hmmm, bardzo utrudniony.

– Przepraszam, ale chyba słabo się pan stara. – Nawet nie siliła się na uprzejmość.

– Robię, co mogę. Sprawa Jończyka była bardzo skomplikowana, nie o wszystkim mogę pani powiedzieć. Dostęp do akt jest utrudniony między innymi z tego powodu, że jeden z jej wątków prowadzony jest nie w Gdańsku, a w Łodzi.

– Kto ją prowadzi w łódzkiej prokuratorze? – zapytała, czując, że zaraz spadnie bomba.

– Jarosław Holz.

Zamknęła oczy. Bum.

– Muszę z nim porozmawiać. Z Holzem. Koniecznie.

– Tak się składa, że go znam. – W głosie Brusia było wahanie. – Mogę panią umówić.

– Poproszę. I to jak najszybciej. Pojadę nawet do Łodzi, żeby się z nim spotkać, tylko niech pan to załatwi.

– Dobrze, tylko niech pani nie zrobi nic niemądrego, jeśli mogę prosić.

– Może pan – uspokoiła go. – Nie zrobię.

Pojawił się kolejny wspólny punkt. Marcin Jończyk, jej pierwszy trup. Trup, od którego zaczęła się ta gehenna.

HOLZ

Prokurator Jarosław Holz przyjął Iwonę w swoim gabinecie w łódzkiej prokuraturze. Kiedy tam weszła, nie wstał zza biurka, za którym siedział. Ledwo oderwał wzrok od monitora, który flankowały wieże z teczek akt.

– Dzień dobry – powiedziała Iwona, zamykając drzwi.

Holz nie zapisał się w jej pamięci miło, więc nie miała ochoty na rozmowę, a do przyjazdu do Łodzi skłoniła ją wyłącznie ciekawość i nadzieja, że dostanie od prokuratora jakieś istotne informacje.

Wciąż nie wiedziała, jak ugryźć Grzelińskiego. Jak wpaść na jego trop. Morderstwa ustały, jakby się przyczaił, może tropił kolejnego zboczeńca, którego tożsamość ustalił dzięki nagraniom z laptopa. Jeśli faktycznie komputer, który zabrał z willi na Śmiałej, był bazą, z której korzystał, to chyba jedyną, bo wszystko, co było w siedzibie Klubu 526, spaliło się doszczętnie. Iwona była niczym zagubione w gęstej jak mleko mgle dziecko, które szukając drogi do domu, wie tylko to, że ta droga istnieje. Gdzieś. Mogło macać stopą w poszukiwaniu twardej nawierzchni, ale też na ślepo. I to robiła Iwona. Macała na ślepo. To była beznadziejna misja i wiedziała to, zastanawiając się, czy wie to również Bruś. Skoro jednak wysłał ją z nią, to musiał mieć chociaż nadzieję. W niej prawie jej nie było.

– Dzień dobry, proszę, niech pani usiądzie. – Holz wskazał jej niewielki stolik pod oknem.

Podeszła w tamtą stronę. Na blacie, na plastikowej tacce stał elektryczny czajnik, cukiernica i filiżanka z resztką kawy. Jedna. Iwona usiadła na krzesełku i odsunęła tackę na bok, zanim zrobił to Holz, który również podszedł do stolika.

– Przepraszam za bałagan, nie jestem zbyt porządny.

Iwonie cisnęło się na usta coś sarkastycznego, ale milczała. Kiedy prokurator zajął miejsce naprzeciwko niej, odległość między nimi zmniejszyła się na tyle, że do nozdrzy Iwony dotarł drażniący zapach jego potu. Postarała się nie skrzywić.

– Bardzo szybko pani przyjechała – zauważył prokurator.

– Zależy mi na czasie – mruknęła.

– O czym chce pani ze mną rozmawiać?
– O kim, nie o czym – sprostowała, odruchowo pocierając czubek nosa.
– Więc o kim?
– O Jończyku.
Holz westchnął, nieco teatralnie, zdaniem Iwony.
– Co konkretnie chce pani wiedzieć?
– Kim był?
– Przestępcą w białym kołnierzyku.
– Tyle wiem sama.
– Z niego był większy kaliber. – Prokurator sięgnął do tacki i poprawił leżącą na spodeczku pod filiżanką łyżeczkę. Porcelana brzęknęła, a Holz lekko się uśmiechnął i spojrzał na Iwonę. – To, co pani powiem, jest informacją poufną. Inspektor Bruś ręczy za panią, a ja bardzo sobie cenię tego człowieka, poza tym była pani funkcjonariuszem policji, no i nie podam pani wrażliwych szczegółów. Jończyk był rozpracowywany przez CBŚP nie tylko w związku ze swoimi przekrętami. Zarzuty, pod którymi miał zostać zatrzymany, dotyczyły zbrodni vatowskiej, ale tak naprawdę nie chodziło o te nierzetelne faktury na głupie osiemdziesiąt milionów. Za to grozi do dwudziestu pięciu lat, więc liczyliśmy na to, że po zatrzymaniu i aresztowaniu w zamian za obietnicę wnioskowania o mniejszy wymiar kary pęknie i wydobędziemy z niego coś, na czym nam naprawdę zależało. Narkotyki. Bo Jończyk prał również pieniądze pochodzące ze sprzedaży amfetaminy; grupa, dla której pracował, wprowadziła do obrotu ogromne ilości tego narkotyku. Jak wspomniałem, nie mogę mówić o szczegółach, bo sprawa jest w toku i rozwojowa, więc tyle musi pani wystarczyć. Z rozpoznania operacyjnego wynikało, że był człowiekiem dość słabym psychicznie, więc istniała realna szansa, że przyciśnięty zacznie śpiewać o tym, o co nam naprawdę chodziło. To, że robił wałki z fakturami, tylko nam pomagało, bo jako inna gałąź jego działalności przestępczej nie miało związku z narkotykami, więc jego mocodawcy od amfy mogli dojść do wniosku, że są jeszcze bezpieczni. To była skomplikowana operacja. W zasadzie jego śmierć nam trochę pomogła, bo uśpiła czujność tamtych.
– Rozumiem… – Iwona zastanawiała się, na ile te informacje są istotne dla niej, dla jej sprawy. – Chciałabym zadać panu kilka kolejnych pytań, jeśli mogę.

– Zadeklarowałem inspektorowi Brusiowi, że pomogę na tyle, na ile zdołam. Więc odpowiem na te, na które będę mógł.

– Czy na ciele Jończyka stwierdzono ślady GSR?

Holz milczał przez chwilę.

– Znowu chce pani do tego wracać?

– Tak. Odpowie mi pan na to pytanie? Czy to jedno z tych, na które pan nie może albo nie chce odpowiedzieć?

– Nie stwierdzono ich, ponieważ nie było takich badań. – Prokurator założył ręce na piersi i zerknął w bok, jakby unikał jej wzroku.

On go naprawdę unikał. A Iwonę na moment zatkało.

– Przepraszam, może pan powtórzyć? – zażądała. – Nie zlecił pan badania śladów pozostałości powystrzałowych?

Kluczowym badaniem udowadniającym, że ktoś strzelał, jest badanie śladów pozostałych na skórze dłoni po emisji cząstek powstających przy wystrzale. Badania te służą również do określenia odległości, z jakiej oddano strzał, kiedy w grę wchodzą również oprócz resztek prochu z naboju cząstki metalu pocisku, charakterystyczne związki chemiczne czy środki smarne używane do konserwacji broni.

– Nie. – Holz chrząknął i poprawił się na krześle. – Bada się w przypadku wątpliwości, a tu wątpliwości nie było, prawda? – Przekrzywił lekko głowę.

– Owszem, były.

– Pani wątpliwości.

– Pan dokonuje wyboru, które są uzasadnione, a które nie?

– Owszem, jako gospodarz śledztwa. Byłej policjantce trzeba tłumaczyć takie podstawowe rzeczy?

Uznała, że Holz próbuje ją wyprowadzić z równowagi i przyrzekła sobie, że nie dopuści do tego, żeby stracić nad sobą panowanie. Uspokoiła się, odetchnęła kilka razy i spróbowała z innej strony. Zdawała sobie sprawę, że być może robi z siebie idiotkę, ale była zdesperowana.

– A jeżeli przyjmiemy, czysto hipotetycznie, że jednak nie znalazłby pan śladów powystrzałowych na jego dłoni, to jakby pan to wytłumaczył?

– Czysto hipotetycznie? Stał w wąskim korytarzu, oboje drzwi prowadzących do niego: zewnętrzne i te od strony domu, były otwarte, nie da się ustalić kierunku przepływu powietrza w tamtym momencie, więc rozkład gęstości cząstek GSR mógł być nietypowy choćby ze względu na przeciąg.

Iwona prychnęła.

– Proszę nie traktować mnie jak idiotki. Chodzi mi o jego dłonie.

Widziała, jak nie otwierając ust, oblizuje sobie zęby.

– W chwili strzału jego dłoń mogła być przykryta mankietem koszuli – stwierdził po chwili.

– Ale pan tego nie sprawdził. Ani powierzchni skóry, ani materiału.

– Bo nie było takiej potrzeby. Tak uznałem.

– Mimo że panu mówiłam, że wszystko mogło wyglądać inaczej?

Holz posłał jej to swoje spojrzenie bez wyrazu.

– Mówiła mi to pani później, kiedy w zasadzie nie było już możliwości przeprowadzenia tych badań ze względu na pochówek. To po pierwsze. A po drugie: pani lubiła, jak ktoś się pani wtrącał do postępowania? – zapytał. – Kiedy twierdził, że coś powinna pani zrobić inaczej? Zwłaszcza jeśli robiła to osoba, wobec której toczyło się to postępowanie?

Tym pytaniem Holz zbił Iwonę z pantałyku i przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Prokurator to zauważył.

– No właśnie. – Pociągnął lekko nosem, a potem ścisnął jego nasadę, jakby był zmęczony. – Pracuję w swoim zawodzie dwadzieścia lat, trochę już widziałem. Rozpaczliwe próby ratowania siebie, zachowania twarzy, zrzucenia winy na wszystkich dookoła też.

– I to pana upoważnia do twierdzenia, że żadna z tych prób nie była czymś więcej niż głupią obroną? Że ktoś miał rację, a to pan się mylił?

– Nic na to nie wskazuje.

– Jest pan bardzo pewny siebie.

– Możliwe. – Skinął głową. – Tylko że mam tego potwierdzenie. Wyrokami sądu, proszę pani.

Roześmiała się. Po prostu parsknęła śmiechem, kręcąc głową i nie wierząc w to, co przed chwilą usłyszała.

– Bo sądy się nie mylą? – zapytała, natychmiast poważniejąc. – A może po prostu był pan lepszy niż obrońca?

– To spekulacje. – Holz chrząknął. – Była pani na procesach, zaglądała pani w akta spraw?

Iwona wstała gwałtownie.

– Ta rozmowa nie ma sensu – rzuciła gorzko.

Straciła tylko czas, nerwy i siły.

– Od samego jej początku byłem tego samego zdania. Sprawa jest zakończona. Przykro mi, że traciła pani czas, przyjeżdżając tutaj.

Iwona przez chwilę mierzyła prokuratora nieprzyjaznym spojrzeniem, zastanawiając się, czy jednak walczyć dalej, czy faktycznie się poddać.

– Dobrze. – Holz uniósł ręce, a ona oczami wyobraźni ujrzała opary potu wydostające się spod jego pach. – Powiem wprost i niech to zostanie między nami. Pani czegoś nie rozumie, pani Iwono. – Pierwszy raz użył jej imienia, a jego głos odrobinę zmiękł. – Od początku pani nie rozumie, a ja chyba mogę to pani powiedzieć dopiero teraz. Myślę, że to dobra okazja, skoro się już spotkaliśmy w takich nieformalnych okolicznościach.

– Słucham.

– Bardzo poważnie traktuję swoją pracę, wbrew temu, co pani sobie o mnie myśli. To misja, nie tylko praca. Misja, rozumie mnie pani? Jak pani myśli, dlaczego umorzyłem postępowanie wobec pani?

– To była pana decyzja. – Wzruszyła ramionami. – Nie siedzę w pańskiej głowie.

– To ja pani powiem dlaczego. – Holz pochylił się nad blatem, odgiął głowę do tyłu i popatrzył jej w oczy. – Bo jestem po waszej stronie. Po stronie prawa. Zawsze byłem. Wziąłem pod uwagę wszystko, również to, że niestety, ale nie wykazaliście się profesjonalizmem podczas tej akcji. Oraz to, że wbrew temu, co pani myśli, była pani jednak w stresie uniemożliwiającym racjonalną ocenę sytuacji już po fakcie. Ratowałem wam tyłki. Ciągnięcie wątków, o których pani wspominała, tylko pogorszyłoby sprawę, bo trzeba by było w tym dłużej i głębiej grzebać, a rykoszety latałyby dookoła, trafiając w panią, pani kolegę i przełożonych. Gnój dostał, na co zasłużył. Podniesienie ręki na stróża prawa jest najgorszą zbrodnią. Nie jestem za karą eliminacyjną, choć nie wierzę również w resocjalizację, może w nielicznych przypadkach, ale nie będę płakał po Jończyku. Nie będę udupiał pani, pani kolegi, ani szargał pamięci tego chłopaka, który zginął na służbie. Przykro mi, że usunięto panią z szeregów policji, ale na to nie miałem wpływu. Pomogłem pani na tyle, na ile dałem radę. Ale, do cholery, wszystko to zrobiłem dla was. Dla pani. Rozumiemy się? – Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, a skrzydełka jego nosa ruszały się w rytm przyśpieszonego oddechu.

– Tak – odparła cicho. – Ale z naszej rozmowy podczas ostatniego spotkania u mnie w wojewódzkiej wcale to nie wynikało.

– Próbowałem panią przekonać do zmiany zdania. Nie mogłem wtedy powiedzieć tego, co usłyszała pani przed chwilą. Upierała się pani przy tym, że ktoś panią wrabia, pamięta pani?

– Owszem – mruknęła, nie wspominając, że wciąż tak myśli.

To już nie miało znaczenia w tej rozmowie, bo Holz po prostu wylał dziecko z kąpielą. Może w dobrej wierze, ale pogrzebał szanse na dotarcie do prawdy, przynajmniej od tej strony. Własne poglądy zaburzyły mu osąd i tego była wciąż pewna, bo ratując ich we własnym mniemaniu, wypuścił z rąk prawdziwego winnego, gdyż to nie Jończyk strzelał. Zastanawianie się, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby księgowy faktycznie był sam: czy też strzeliłby do nich, było tylko gdybaniem. Był naprawdę przekonany, że zechcą go zlikwidować, ale czy to by sprawiło, że poszedłby na całość? To nie było teraz istotne. Istotne było to, kto go tak nastraszył i kto naprawdę strzelił.

– Sama pani widzi – kontynuował prokurator. – Może faktycznie byłem wtedy odrobinę niesympatyczny, ale miałem w tym swój cel. Chroniłem panią przed samą sobą. I myślę, że mimo wszystko dzięki temu wyszła pani na tym o wiele lepiej, niż gdybym tego nie robił.

Patrzyła na niego, myśląc, jak bardzo się myli i jak bardzo nie ma o tym pojęcia.

– Czy zna pan inspektora Mateusza Grzelińskiego? – zapytała nagle.

– Owszem – odpowiedział bez wahania. – Choć to może za dużo powiedziane, że go znam. Miałem z nim styczność kilkukrotnie przy okazji prowadzonych śledztw.

– To on pana przekonał, żeby umorzyć postępowanie w mojej sprawie?

– Do niczego nie musiał mnie przekonywać, choć przyznaję, rozmawialiśmy o pani. Wypytywał mnie o nie, to wszystko. Był nim zainteresowany o tyle, że komórka CBŚP, którą kieruje, była również zaangażowana w sprawę Jończyka w jej początkowej fazie. To naprawdę duża sprawa – zaznaczył.

Iwona mruknęła coś pod nosem. To już było coś.

– Dziękuję, to chyba wszystko, co chciałam wiedzieć – powiedziała, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

– Do widzenia, pani Iwono – usłyszała ciche słowa Holza.

Obejrzała się jeszcze, skinęła mu głową i wyszła z gabinetu.

Wróciła do Szczecina wieczorem i od razu następnego ranka pojechała na Małopolską, żeby dokończyć wątek, choć rozmowa miała się odbyć już z kimś innym.

SOŁTYK

Kiedy po dłuższej nieobecności człowiek wchodzi do budynku, w którym spędził dziesięć czy piętnaście lat życia, targają nim różne uczucia. Dopadają wspomnienia, te dobre i te złe. Wspomnienia zdarzeń i ludzi. Iwona właśnie to przeżywała, mijając „akwarium", czyli hol wejściowy w szczecińskiej komendzie wojewódzkiej policji.

Mirek Sołtyk, jej dawny kolega z zespołu, czekał na nią w kącie poczekalni. Kiedy zobaczył Iwonę, wstał z krzesła z nikłym uśmiechem błąkającym się na wargach i podszedł do niej. Przywitali się klaśnięciem dłoni na wysokości swoich twarzy, a potem Mirek ścisnął jej palce, przytrzymał w uścisku i przyciągnął ją do siebie, aż zderzyli się ramionami. Tak zawsze to robili. Sołtyk wyciągnął z tylnej kieszeni spodni blachę i przyłożył do czytnika przy szklanych drzwiach, tych samych, przy których Iwona uderzyła Grzelińskiego w twarz. Sprowokował ją wtedy. Dziś wiedziała, że sprowokował ją do zrobienia wielu innych rzeczy. Brzęczenie zwolnionej blokady było jak budzik; Iwona minęła drzwi i znalazła się w środku komendy. Sołtyk zaprowadził ją prosto do jej dawnego pokoju, w którym siedział teraz sam. Wchodząc do środka, Iwona przystanęła odruchowo. Powitał ją ten sam zapach rzadko wietrzonego pomieszczenia pomieszany z wonią farby i wilgotnego papieru. Weszła dalej, powoli i ostrożnie.

– Siadaj, szefowa. – Sołtyk odsunął krzesło, a sam przysiadł na krawędzi swojego biurka. Jak zwykle miał na nim bajzel.

Zapomniała już, jak ją wkurzało, gdy tak się do niej zwracał. Nigdy mu tego nie powiedziała.

– Jak sobie radzisz? – zapytał jej.

– Jakoś. – Skrzywiła się. – Wracam do firmy, wiesz?

Widziała po jego twarzy, że jest zdziwiony. Bardzo zdziwiony.

– Ale nie do nas?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie do was. Nie tu, chociaż będziemy się widywać na korytarzu.

– CBŚP? – Uniósł wysoko brwi.

– Tak. Ale nie gadaj o tym jeszcze nikomu. Tylko tobie to mówię.

– Ważne, że wracasz. Wszystko to jakieś tajemnicze czy mi się wydaje? – Spojrzał na nią nieufnie.

– Nie o wszystkim mogę ci powiedzieć, Mirek. – Westchnęła.

– Ściany mają uszy? – Rozejrzał się po pokoju z porozumiewawczym uśmiechem.

Czasem podśmiewali się, że mają w pokojach zainstalowane podsłuchy, żeby góra wiedziała, co o nich mówią.

– To grubsza sprawa – mruknęła.

– Ale musisz mieć plecy…

W jego głosie nie było podziwu, tylko wahanie, jakby sam jeszcze nie wiedział, co o tym myśleć. Oboje znali wiele przykładów „plecaków" pnących się po szczeblach kariery w tempie ekspresowym dzięki znajomościom. Iwona wiedziała, że Sołtyk ją lubi, ale teraz wyglądał, jakby zaraz miał to zweryfikować.

– Nie mam żadnych pleców. – Jej wzrok stwardniał. – Wyszarpuję sobie zębami i pazurami to, co mi się należy. Powinni mi dać odszkodowanie, i to w chuj kasy, po pierwsze jako zadośćuczynienie, a po drugie, żebym siedziała cicho, a ja chcę tylko wrócić do roboty, nic więcej, Mirek, rozumiesz? Nic, kurwa, więcej ponadto.

– Gratuluję. – Uśmiechnął się nieznacznie, chyba lekko uspokojony. – Ja bym tam wybrał w chuj kasy zamiast powrotu do Fabryki.

– Nie kuś. – Znowu westchnęła. – W każdym razie to, co się stało w Łodzi, to był początek moich kłopotów. Wyjaśniam to, bo moje kłopoty jeszcze się nie skończyły, choć idzie ku dobremu. I dlatego chciałam, żebyś mi pomógł.

– Jak ja mogę ci pomóc? – Sołtyk położył nacisk na zaimek.

– Musimy tam na chwilę wrócić.

– Gdzie?

– Na Kryzysową. – Na tej ulicy w łódzkich Bałutach odbyła się akcja zatrzymania Jończyka.

– Mamy tam, kurwa, pojechać? – Oczy Mirka zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Nie. Pamięcią, Mirek. Wróćmy tam pamięcią.

Sołtyk zgarbił się lekko. Przygryzł wargę, a Iwona uśmiechnęła się w duchu do siebie. Nic się nie zmieniło.

– Śnił mi się kilka razy, wiesz? – powiedział z namysłem i powoli. – Synek. Synek i w ogóle cała akcja. Raz nie byłem nawet w stanie przyjść do roboty po takiej nocy. A raz… Raz to ja dostałem. I to ja leżałem na chodniku, to Knobl robił mi RKO, a nie ja jemu, widziałem, jak się nade mną pochyla, jakie ma zakrwawione ręce, ale to była moja krew, widziałem ciebie, jak dzwonisz pod sto dwanaście, kurwa… I nie mogłem się ruszyć. Nawet jak się obudziłem. Tylko jęczałem coś i nie mogłem się poruszyć dobrą minutę. Trwała sto lat.

– To paraliż przysenny.

– Paraliż, sraliż; jeden chuj. – Sołtyk mlasnął i machnął ręką. – Straszne uczucie.

– Wiem.

– Skąd… – Spojrzał na nią i urwał. – Głupie pytanie. Debil jestem jakiś.

– Byłeś u psychologa?

– Żartujesz? – Spojrzał na nią jak na wariatkę.

Uciekła wzrokiem w kąt pokoju. Wiedziała, o czym mówi, i nie do końca chodziło o dumę, maczyzm i brak wglądu w siebie na tyle, by wiedzieć, że takiej pomocy po prostu się potrzebuje. Bo taki kamyczek jak zgłoszenie się do policyjnego psychologa potrafi wywołać lawinę konsekwencji. Koledzy i przełożeni będą patrzeć na ciebie inaczej. Obowiązkowe sesje po wyjątkowo stresowych akcjach były normalką, ale nikt nie lubił ciągnąć ich w nieskończoność. A potem niektórzy nie dawali rady. Iwona miała tylko nadzieję, że Mirek da. I że ona też. Sołtyk mógł się obwiniać o śmierć Synka, choć nie było w tym krzty jego winy, a ona zabiła cztery osoby. Cztery. Stojąc z nimi wszystkimi twarzą w twarz. A to, że w zasadzie zrobiła to w obronie własnej, było tylko drobną pociechą.

– I tak masz trochę lepiej, bo Knobl zginął przeze mnie, przynajmniej teoretycznie, skoro dowodziłam – stwierdziła. – Ale teraz mam szansę dowiedzieć się, czy faktycznie tak było. Nie wnikając w szczegóły: istnieje prawdopodobieństwo, że zostałam w to wrobiona. Grzebię więc w tym jak najgłębiej, aż się do czegoś dokopię. Pomożesz mi?

– Okej, jasne. – Zaczął masować twarz jedną dłonią, skóra na czole i policzkach fałdowała się pod naciskiem palców. – Wróćmy tam w takim razie…

Iwona patrzyła jeszcze przez chwilę na Sołtyka, wspominając lata wspólnej pracy. Matt miał rację, mówiąc, że kiedy wyleci z policji, wszyscy

ją opuszczą, wszyscy koledzy z formacji, bo nie byli jej przyjaciółmi, tylko właśnie kolegami. Poza jednym telefonem Mirek nie odezwał się przez te tygodnie ani razu. Pewnie mu to dyskretnie zasugerowano ze względu na postępowanie dyscyplinarne, ale Sołtyk nie był, jak to określali, pizdą, żeby stosować się do takich poleceń. Poza tym postępowanie skończyło się dość dawno temu. Rozumiała, że każdy ma swoje kłopoty, swoje życie, że nie byli przyjaciółmi, a jedynie kumplami, i może to właśnie była ta istotna różnica? A Matt to wiedział. Znał tę różnicę.

Iwona nabrała głębiej powietrza.

– Co pamiętasz, Mirek? – zapytała. – Mówię o momencie, w którym Jończyk otworzył nam drzwi. Co widziałeś i co pamiętasz?

– Krzyk Synka.

– Ten o broni, tak?

– Tak. – Sołtyk spuścił głowę. – Jak dostał kulkę, to nie krzyczał…

– Dobrze, Synek wrzasnął „Broń!", ja wyciągnęłam swoją i wycelowałam… – Iwona utknęła.

Nie pamiętała, jak szybko oddała strzał, choć tu musiało być odruchowe, błyskawiczne działanie. Miała w pamięci pojedyncze obrazy, ale nie wiedziała, jakie odstępy czasu je dzieliły, a może właśnie łączyły. Ale tych obrazów też nie potrafiła połączyć w całość, w sekwencję, bo niektórych brakowało. Nie widziała broni w ręku Jończyka. Pamiętała, że księgowy jedną dłoń miał ukrytą za drzwiami, natomiast ta, którą widziała, była pusta. Pamiętała bladą, spoconą twarz. Trwożliwy szept i słowa: „Wiem, że nie dojadę do prokuratury, wiem, że mnie sprzątniecie". Pamiętała swoje zaskoczenie i rozbawienie na te słowa. Jak spojrzała wtedy na Mirka, odwracając na moment wzrok od Jończyka. Czy to właśnie wtedy?

– Nie, nie popatrzyłaś na mnie, to ja popatrzyłem na ciebie – powiedział nagle Mirek, a ona uświadomiła sobie, że to, o czym myślała, mówiła do siebie, na głos.

– Czyli ty też nie widziałeś tego momentu, kiedy pojawiła się klamka?

– Kiedy Knobl krzyknął, odskoczyłem i sięgnąłem po broń, ale byłaś szybsza. – Spuścił lekko głowę. – Skamieniałem na chwilę, wiesz? Jak Jończyk zaczął te swoje brednie, że go po drodze sprzątniemy, to straciłem czujność i…

– A jeśli to nie były brednie?

– Nie rozumiem?

– Ktoś go tak nastraszył. Nie wiemy, co naprawdę miał na sumieniu, czego się bał. Ale ktoś mu powiedział, niedługo przed naszym przyjazdem, że nie przeżyje podróży do prokuratury. Sam tego nie wymyślił.

– Jak bardzo niedługo? – Zmarszczył brwi.

– Teraz myślę, że to musiało być tuż przed. Nie zdążył uciec.

– Przecież uciec można w sekundę. Po prostu wyskoczyć przez okno, przez tylne drzwi. Żadna filozofia.

– A jeśli ktoś mu nie pozwolił na ucieczkę?

– Za to pozwolił mu wziąć do ręki broń? – W głosie Mirka była odrobina kpiny.

– Nikt jej nie widział w jego ręku, Mirek.

– Przed chwilą sugerowałaś, że ktoś mu powiedział, że go sprzątniemy. Dlatego wziął broń.

– Broń była, tak? Na miejscu, w domu. O to mi chodzi, bo żadne z nas nie przysięgnie, że ją widziało w jego ręku.

– Jacek widział – zaprotestował słabo Sołtyk.

– Nie wiesz tego.

– Krzyknął przecież: broń. I nie mogło mu się przywidzieć, bo z niej oberwał, tak?

Iwona wbiła wzrok w ścianę. Nad miejscem, w którym kiedyś stało jej biurko, wciąż jeszcze był jaśniejszy ślad po tabliczce „Uwaga, zły pies", urodzinowym żarcie Mirka.

– Nie wiesz, jaką broń widział i w czyim ręku – powiedziała stanowczo Iwona. – Ty patrzyłeś na mnie, ja Jończykowi w oczy. Wszystko poszło nie tak, a zapłacił za to Knobl.

– I ty.

– Ja przynajmniej żyję – stwierdziła gorzko. – Kiedy my skupiliśmy się na Synku, wystarczyło wytrzeć broń z odcisków palców i włożyć ją trupowi Jończyka w dłoń. I zniknąć. – Coś nagle przyszło jej do głowy. – Pamiętasz, kiedy przyjechali wszyscy święci, drzwi do domu Jończyka, za którymi leżał, były przymknięte?

– Chyba tak… Tak. Ale mogły same się przymknąć. Władowałaś mu pocisk prosto w twarz z metra: odrzuciło go w głąb mieszkania, więc ich nie blokował.

– Może przymknęły się same, a może nie same.

– Sugerujesz, że to ktoś inny do nas strzelał?

– Zgadza się. Z wnętrza mieszkania, ukryty w tym ciemnym korytarzyku. Sugerowałam to nawet prokuratorowi podczas postępowania, ale… – Machnęła ręką.

– Jończyk miał broń w domu. Legalnie. Dwie sztuki.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że to z jednej z nich padł strzał. Ja tego nie kwestionuję, nie o to chodzi, Mirek. Chodzi o to, kto strzelał, a nie z czego.

– Może chodziło o odstrzelenie Knobla? Bo wiedział na przykład o czymś niewygodnym i wiedział za dużo? Podobno coś nabroił tam u siebie.

– Też o tym myślałam. – Iwona westchnęła. – Ale teraz myślę, że chodziło o mnie. Od początku chodziło im o mnie.

– Chcieli zabić ciebie?

– Nie, nie zabić. Knobla też nie chcieli zabijać. Ale mogli chcieć, żebym to ja zabiła Jończyka.

– Po co? Żeby nie sypnął przed prokuratorem swoich mocodawców?

– Nie. Ludzie, o których mi chodzi, w dupie mieli te jego wałki z fakturami. Potrzebowali mnie. Ja musiałam wylecieć, Mirek – powiedziała w zamyśleniu.

– Dlaczego?

– Nie mogę ci powiedzieć. Ale odnoszę wrażenie, że wszystko mieli elegancko zaplanowane, tylko coś poszło nie tak. Jak to zwykle bywa – dodała. – Czynnik ludzki. Zawsze gdzieś jest słaby punkt i zwykle jest nim właśnie człowiek.

MATKA

Cisza, która powitała Iwonę, kiedy wchodziła z zakupami do mieszkania matki, tym razem była podejrzana. Zajrzała do pokoju – pusto. Tak samo w drugim, który kiedyś dzieliła z Robertem, zanim dorośli i zanim on umarł. W sypialni też matki nie było, łóżko było zaścielone, a zasłony zaciągnięte. W kuchni pusto, tylko na palniku stał garnek z trzema jajkami pływającymi w wodzie, jednak wszystko było zimne.

– Mamo?! – zawołała w stronę drzwi.

Odpowiedziała jej cisza. Została tylko łazienka. Może matka się kąpała, choć o tej porze było to raczej dziwne, niemniej jej zachowanie bywało coraz bardziej irracjonalne. Iwona poszła w stronę łazienki i zaczęły nachodzić ją czarne myśli, bo bała się, co zastanie w środku. Nacisnęła klamkę, pociągnęła ją i napotkała opór.

– Mamo?

Szarpnęła jeszcze raz, tym razem mocniej i znowu nic.

– Mamo!

– Pomocy! – usłyszała nagle słabe wołanie dochodzące zza drzwi.

Tym razem Iwona szarpnęła klamkę tak mocno, że prawie ją urwała. Stała przez chwilę, zastanawiając się, co robić, i nagle odsunęła się, uniosła nogę i kopnęła drzwi w okolicy klamki. Potem zrobiła to jeszcze raz i jeszcze mocniej. Mogła pójść po śrubokręt i próbować rozkręcić zamek, ale wezbrało w niej coś, co kazało jej dostać się do łazienki właśnie w taki sposób. Po trzecim kopnięciu drewniane drzwi się poddały i płycina wpadła do środka. Iwona włożyła przez nią rękę, przekręciła zamek i po chwili drzwi stały otworem.

Matka leżała na podłodze między wanną a ścianą, skurczona w pozycji embrionalnej, z jedną nogą sztywno wyciągniętą do tyłu. W powietrzu unosił się kwaśny, drażniący zapach moczu. Iwona podeszła do matki i pochyliła się nad nią, zauważając, że ma mokrą spódnicę i pończochy.

– Ile już tu leżysz? – zapytała cicho.

Matka patrzyła na nią nieprzytomnie, trzepocząc powiekami. Chyba spała, zanim Iwona weszła do mieszkania.

– Nie wiem – odparła chrapliwie. – Było ciemno, kiedy upadłam. Chciałam wziąć kąpiel, potem zjeść kolację.

Czyli co najmniej od wczoraj, pomyślała Iwona. Dzwoniła do niej po południu i wtedy wszystko było w porządku.

Dotknęła ramienia matki, było lodowate. Nawet nie przykryła się szlafrokiem.

– Dlaczego się, do cholery, zamykasz? Przed kim? – Wskazała za siebie na wyłamane drzwi.

W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby na nią nie krzyczeć.

– Żeby nikt nie wszedł – wyjaśniła matka słabym głosem.

– Dam ci pić – powiedziała tylko, bo dyskusja nie miała sensu.

– Jestem głodna. Już jest rano?

– Tak, już jest rano i nie mogę dać ci jeść. – Iwona pokręciła zdecydowanie głową. – Możesz mieć zaraz operację. Musisz być na czczo. Napijesz się zaraz tylko odrobinę wody, potem dadzą ci kroplówkę.

– Po co?

– Bo jesteś odwodniona.

Iwona poszła do kuchni po kubek, nalała do niego wody z kranu i odstawiła na blat. Oparła się o jego krawędź i zadzwoniła pod sto dwanaście. Odpowiadając na pytania dyspozytorki o adres i pozostałe dane, rozglądała się po niezbyt czystej kuchni. W kątach sufitu widać było niewielkie pajęczyny, na ścianie nad kuchenką pomarańczowe plamki zupy albo sosu, który prysnął z garnka, a podłoga była trochę lepka. Pomieszczenia dawno nie wietrzono. Kiedy skończyła rozmowę z pogotowiem, wzięła kubek i wróciła do łazienki. Kucnęła obok matki, podtrzymała jej głowę i usiłując nie krzywić się od zapachu moczu, przystawiła jej kubek do ust. Matka siorbnęła kilka łyków i osunęła się na posadzkę.

– Oj! – Złapała się za biodro i zaczęła dyszeć. – Zadzwonisz po swojego brata?

– Robert nie żyje, mamo. – Iwona westchnęła, odstawiając kubek na pralkę. – Od szesnastu lat.

Matka zamrugała zaskoczona, wpatrując się w ścianę przed sobą.

– Ach, no tak – mruknęła w końcu, trochę zawstydzona. – No przecież…

– Włożę ci kurtkę, dobrze?

– Po co?

– Będą cię przenosić do karetki. Nie chcę, żebyś zmarzła.

– Dobrze, dziecko, dobrze.

– Ale nie dam rady cię przebrać. W szpitalu cię umyją.

– Nie chcę jechać… Taka zasikana. – Spojrzała na córkę, a w oczach miała przerażenie.

– Nie rozbiorę cię, bo tylko bardziej ci zaszkodzę – tłumaczyła cierpliwie, starając się zachować spokój, którego nie czuła. – To może być poważne złamanie, mamo, zrozum.

Gdyby tylko się potłukła, Iwona musiałaby ją przebrać, a nie była pewna, czy dałaby radę. I nie chodziło o siłę.

– Miałam dziś zrobić spaghetti – narzekała matka.

– Masz poważniejszy problem niż spaghetti, mamo – powiedziała, dodając w myślach: obie go mamy.

Poszła do wieszaka w korytarzu i zdjęła z niego kurtkę, której matka nie wkładała od poprzedniej zimy, bo tyle mniej więcej nie wychodziła z domu. Ostrożnie wsunęła jej ramiona w rękawy, słuchając syków i stęknięć, potem oparła ją wygodniej o ściankę, którą obmurowana była wanna, i poszła do kuchni, gdzie stuknęła kilka razy sprzętami, udając, że się po niej w jakimś celu krząta. Nie chciała siedzieć z matką w łazience. Pogotowie przyjechało kilka ciągnących się w nieskończoność minut później. Dwóch ratowników wjechało noszami do mieszkania. Kiedy Iwona zamykała za nimi drzwi, na górze schodów zauważyła sąsiadkę z góry, Kaliszczakową, która z lękliwą ciekawością wyglądała zza poręczy. Poczęstowała ją zimnym spojrzeniem i huknęła drzwiami. Gdy stanęła w drzwiach łazienki, ratownicy robili już swoje, a ona się nie wtrącała. Kilka minut później, kiedy jeden zakładał matce wenflon, poprosiła cicho drugiego o pójście z nią do pokoju.

– Mama ma chorobę otępienną – powiedziała, podając mu dowód osobisty i legitymację emerytalną matki. – Bierze też leki na nadciśnienie, poza tym nic, proszę nie słuchać, kiedy będzie mówić o górze lekarstw, bo to suplementy. Myśli pan, że to coś poważnego? – Skinęła głową w kierunku łazienki.

– Wszystko wskazuje na złamanie szyjki kości udowej.

Iwona przygryzła wargę, a ratownik usiadł i zaczął wypełniać papiery. Drugi rozmawiał z matką, jego spokojny głos dochodził do niej zza ściany. Wyszła na balkon, żeby im nie przeszkadzać, a kiedy wróciła do łazienki jakiś czas później, właśnie podnosili matkę z podłogi pośród jej lamentów

i okrzyków bólu. Iwona patrzyła na to z mocno zaciśniętymi ustami. Przenieśli ją na korytarz, położyli na noszach, zapięli pasami i okryli folią termiczną, a Iwona przytrzymała im drzwi.

– Który szpital? – zapytała krótko.

– Unii Lubelskiej. Ortopedia.

– Pojadę zaraz za wami.

Ratownik skwitował to krótkim skinieniem głową.

– Niedługo będę, mamo! – zawołała jeszcze za matką, kiedy mężczyźni znosili nosze po schodach.

Kaliszczakowej już nie było na klatce, pewnie siedziała w oknie i wyglądała na ulicę, na której stała karetka. Iwona zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, łapiąc się za czoło. Była wściekła. Wściekła na matkę, choć przecież nie mogła mieć do niej pretensji o to, że upadła i się połamała. I wściekła na siebie za te wszystkie złe uczucia wobec niej i za brak tych dobrych. Miała teraz spory kłopot. W tym wieku takie złamania ciężko się goją, wdają się zakażenia i często kończy się to wszystko pobytem na OIOM-ie albo jeszcze czymś gorszym. No i kto miał się nią opiekować po wyjściu ze szpitala? Myśl, że musiałaby spędzać z matką długie godziny, a nawet zamieszkać u niej na jakiś czas, bo nie wyobrażała sobie sprowadzenia jej do siebie, napawała ją przerażeniem.

Kiedy dojechała do szpitala, matka leżała na SOR-ze, czekając na badania. Pojękiwała cicho z bólu. Sala wypełniona była ludźmi albo obojętnie czekającymi na swój los, albo gadającymi z przejęciem przez telefony. Pomiędzy nimi przemykali ratownicy i pielęgniarki. Iwona wiedziała, że to trochę potrwa, ale nie mogła nic zrobić, musiała czekać. Nie odważyła się dotknąć matki, chwycić jej za rękę czy pocieszyć. Od czasu do czasu nakazywała jej tylko leżeć spokojnie i nie ruszać się, żeby nie potęgować bólu. Kiedy wreszcie matkę zabrali na badania, odetchnęła na chwilę. Nie wróciła już na SOR. Lekarz potwierdził przypuszczenia ratownika z pogotowia, poinformował Iwonę, że matka została przewieziona na oddział i jutro będzie miała operację wszczepienia endoprotezy, ponieważ złamanie nie kwalifikuje się na płytkę. A poza tym, że jest w średniej kondycji, odwodniona i z wysokim ciśnieniem. Iwona podała swoje dane kontaktowe i pojechała do domu odpocząć. Wieczorem zadzwoniła do lekarza dyżurnego i uzyskała tylko krótką informację, że operacja się udała. To ją trochę uspokoiło.

Następnego dnia z samego rana pojechała do szpitala. Na korytarzu udało się jej złapać profesora kierującego kliniką, który zszedł z bloku między operacjami, żeby zjeść śniadanie, i niemal siłą wprosiła się do jego gabinetu, prosząc o krótką rozmowę.

– Słucham panią? – zapytał, siadając za biurkiem i składając dłonie, na których oparł podbródek.

– Jak długo mama będzie tu leżeć? – Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

– Mam nadzieję, że pojutrze wyjdzie do domu. – Uśmiechnął się do niej.

Nie wyglądał na profesora, był dość młody, wyglądał na wysportowanego, a to, co powiedział, wzbudziło w Iwonie popłoch.

– Mam do pana ogromną prośbę – zaczęła, spuszczając wzrok. – Jestem w bardzo trudnej sytuacji…

– Tak?

– Pod każdym względem trudnej: osobistej i materialnej. Jestem policjantką, opuścił mnie partner, nie mam nikogo, kto mógłby zająć się mamą, a ona wymaga praktycznie stałej opieki ze względu na otępienie. – Żebrała o litość i zdawała sobie z tego sprawę. Było jej wstyd, ale nie miała wyjścia: musiała odłożyć na bok dumę i po prostu dostać to, czego chciała. – Gdyby dało się zatrzymać mamę w szpitalu choć przez kilka dni, żebym mogła sobie wszystko zorganizować…

Spojrzała profesorowi w oczy. Patrzył na nią badawczo z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Kilka dni, mówi pani – powiedział, opuszczając głowę i chowając usta za splecionymi palcami.

– Tak, tylko kilka dni – szepnęła.

– Dobrze – oznajmił krótko, a Iwonie serce zatrzepotało z radości.

– Dziękuję panu. Za zrozumienie i ludzki gest.

– Mój ojciec był milicjantem. – Położył ręce na blacie i wyprostował się, jakby dawał jej sygnał, że wizyta skończona.

Nie kontynuowała tematu. Nie interesowało ją to, zresztą profesor nie wyglądał, jakby zamierzał dzielić się z nią szczegółami. Wyglądał na głodnego i trochę zmęczonego, więc tylko podała mu rękę z nieśmiałym uśmiechem i wyszła cicho na korytarz, ciesząc się z takiego obrotu sprawy.

Na razie miała kilka dni wolnego i musiała je dobrze wykorzystać.

ROSZAK

Być może powinna od tego zacząć, choć w sprawie Klubu 526 Iwona nie dostrzegała absolutnie żadnego schematu postępowania, który mogłaby zastosować. Zbierała klocki, które jej zdaniem należą do tej samej układanki, choć nie miała jeszcze pojęcia, jak je poukładać. Na razie musiała je tylko zebrać.

To, czy Ryszard Roszak wiedział o wyczynach Chyły i Golczewskiego, było oczywiście bardzo istotne dla sprawy, ale Iwona traktowała ten temat jako wątek równoległy. Nie mniej czy bardziej istotny, tylko właśnie równoległy. Roszak wciąż żył, więc mogło to świadczyć na jego korzyść. Podejrzewała, że gdyby Matt na podstawie zgromadzonych w laptopie Chyły danych ustalił, że Roszak również uczestniczył w procederze swoich wspólników, biznesmen byłby pierwszy na liście do odstrzału. Z danych zebranych z policyjnego wywiadu zleconego przez Brusia wynikało, że Roszak nie ukrywa się, nie zmienił przyzwyczajeń, choć w związku z wielkim pożarem fermy i tajemniczą śmiercią swoich wspólników, a formalnie jednego oraz jego ojca, miał sporo na głowie. Strażacy jednoznacznie ustalili, że przyczyną pożaru budynku spalarni odpadów poubojowych, z którego ogień przeniósł się na dwie sąsiednie hale z kurami, było umyślne podpalenie. Prowadzący w tej sprawie śledztwo prokurator założył, że sprawcą był mszczący się na właścicielach pracownik, którego zwęglone zwłoki znaleziono na miejscu. Iwona wiedziała jednak, że nie zrobił tego Golum. Nazywany tak przez ludzi z Klubu upośledzony umysłowo człowiek, który zajmował się obsługą pieca i palił również zwłoki ofiar zbrodniczego duetu, był ofiarą Matta, a nie własnej zemsty. Iwona nie zastanawiała się, czy Golum zasłużył na śmierć, choć w chwili, kiedy go spotkała po przywiezieniu do Falent zwłok wytatuowanego chłopaka, sama miała ochotę wrzucić Goluma do pieca, i to żywego.

Roszak był maglowany przez towarzystwo ubezpieczeniowe, prokuraturę, zapewne również przez kontrahentów, którym nie w smak była wizerunkowa katastrofa producenta jajek i kurczaków. Pewne było, że biznesmen popłynie finansowo i nawet jeśli odbije się od dna, to długo

będzie wypływał na powierzchnię, a być może nawet nigdy to mu się nie uda.

I w takim właśnie momencie życia Iwona odwiedziła go w siedzibie firmy, w Falentach. Kiedy przejeżdżała przez bramę fermy, mimowolnie zacisnęła palce na kierownicy. Mocno. Poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła, ale nie z powodu zapachu kurzego łajna, tylko na wspomnienie poprzednich wizyt w tym miejscu.

Ryszard Roszak miał swój gabinet w niewielkim budynku administracyjnym niedaleko wjazdu na teren zakładu. Iwona cieszyła się z tej lokalizacji, bo dzięki temu uniknęła wjazdu w głąb fermy. Gdyby musiała choćby zerknąć na budynek spalarni, pewnie skończyłoby się to zwróceniem śniadania. Zaparkowała na miejscu postojowym oznaczonym tabliczką „gość" i weszła do biura. W recepcji pokazała blachę młodej dziewczynie siedzącej za kontuarem ze wzrokiem wlepionym w monitor i poprosiła o rozmowę z szefem. Ta, z miną niewyrażającą żadnych uczuć, chwyciła słuchawkę białego telefonu stojącego obok niej.

– Szefie, ktoś z policji do pana – zdążyła powiedzieć i drzwi po prawej stronie się otworzyły, jakby ten ktoś po ich drugiej stronie czekał na tę wizytę w blokach startowych.

Iwona zobaczyła Roszaka. Pamiętała go z ceremonii wręczenia jakiejś branżowej nagrody, którą oglądała w internecie, kiedy doszli z Mattem do wniosku, że właściciele spółki „Drobex" mogą być zamieszani w działalność Klubu 526. To nie Roszak był człowiekiem ukrytym za przepierzeniem kabiny ustępowej męskiej toalety, z którym Iwona rozmawiała kilka tygodni wcześniej, ale obejrzała go sobie wtedy dokładnie na filmie i zapamiętała. Dziś wyglądał zupełnie inaczej niż tamtego dnia, kiedy ze statuetką w ręku dziękował jury, kolegom z branży i wszystkim świętym za przyznaną właśnie nagrodę. Człowiek sukcesu w nienagannie skrojonym garniturze i błyszczący idealnym uzębieniem zmienił się w zmizerniałego, przygarbionego i przytłoczonego okolicznościami starca. W milczeniu szerzej otworzył drzwi i gestem zaprosił Iwonę do środka.

Weszła tam z lekkim wahaniem. Wiedziała, że musi to rozegrać idealnie, bo nie będzie drugiej szansy. I musiała być ostrożna.

– Proszę. – Roszak wskazał jej krzesło.

Ton jego głosu wskazywał, że szykuje się do kolejnej batalii i mimo zmęczenia jest z tym w jakiś sposób pogodzony, jakby przyzwyczaił się już,

że przez jakiś czas będzie musiał poświęcać czas i nerwy na takie rozmowy. I to też mogło świadczyć na jego korzyść.

Iwona usiadła, Roszak również, tyle że za swoim biurkiem. Odsunął laptop, żeby lepiej widzieć Iwonę, a tym samym odsłonił się, za co przyznała mu kolejny punkt. Mowa ciała jest często niedoceniania, a mimiką twarzy i gestami człowiek mówi czasem więcej niż ustami.

– Nazywam się Iwona Banach, jestem komisarzem CBŚP – zaczęła z namysłem. – Chciałam z panem porozmawiać o pańskich wspólnikach.

Nie czekał, aż Iwona powie coś jeszcze. Chęć współpracy była widoczna na pierwszy rzut oka, a jeśli to była gra, to bardzo dobra.

– Formalnie moim wspólnikiem był Marcin – wyjaśnił. – Kazek pełnił funkcję, powiedzmy, doradczą.

– Rozumiem. – Skinęła głową i zapytała od razu: – Miał duży wpływ na decyzje podejmowane w firmie?

– I tak, i nie. – Tym razem Roszak był ostrożniejszy.

Lekko zesztywniał za biurkiem i pochylił się w jej stronę.

– Co to znaczy?

Roszak oblizał usta koniuszkiem języka.

– Przepraszam, nie zaproponowałem pani nic do picia…

– Nie, dziękuję. Załatwmy to jak najszybciej.

– Jasne. – Rozłożył szeroko ręce i przywołał na twarz zmęczony uśmiech. – No więc formalnie spółkę tworzyliśmy ja i Marcin. Kiedy piętnaście lat temu zakładaliśmy „Drobex”, Kazek dopiero co wyszedł z więzienia. Siedział za jakieś przekręty, to w zasadzie nie jest żadna tajemnica. Marcin dobrze sobie radził w biznesie, ja chciałem rozkręcić własny, miałem trochę pieniędzy, a Kazek miał znajomości. Załatwił nam duży kredyt, potem pomagał w sprawach formalnych związanych z budową zakładu, ale wszystko firmował Marcin. Znam się na drobiu, oni na finansach, można tak ogólnie stwierdzić.

– Lubił ich pan?

– Słucham?

– Czy pan ich lubił?

– Nie bardzo rozumiem. – Roszak stropił się.

– Chciałam zapytać o relacje, jakie pana z nimi łączyły.

– Cóż, wie pani, biznes to biznes…

– Piętnaście lat razem, to o czymś świadczy.

– Dobrze nam idzie, dogadujemy się, a właściwie dogadywaliśmy, interesy przede wszystkim. Przyjaźń nie jest wymagana w relacjach biznesowych, jeśli o to pani chodzi. Lojalność, szacunek – tak. Ale przyjaźń niekoniecznie.

– Czyli nie byliście przyjaciółmi?

– Nie. – Roszak powiedział to zdecydowanie i bez skrępowania.

– Znał ich pan prywatnie? Ich znajomych, rodzinę?

– Nie jeździliśmy razem na wakacje ani nie spotykaliśmy się w święta. Tylko interesy. A do czego pani zmierza?

Właśnie zastanawiała się, jak mu to powiedzieć.

– Czy wiedział pan o innych rodzajach działalności prowadzonej przez Chyłę i Golczewskiego? – Zadała to pytanie i pilnie obserwowała twarz Roszaka.

Nie zmieniła się ani trochę. Wciąż było na niej to pomieszane z zaciekawieniem zdziwienie.

– To znaczy jakiej? Biznesowej? O ile się orientuję, nie mieli innej. Wiem tylko, że inwestowali w nieruchomości. Kupowali mieszkania i domy w atrakcyjnych miejscach. W górach i nad morzem, ale szczegółów nie znam.

– A gdyby dowiedział się pan, że na fermie, bez pana wiedzy, dochodziło do przestępstw?

– O czym pani mówi? – Oczy rozszerzyły mu się z oburzenia.

Nie świętego, nie teatralnego, tylko szczerego, zdaniem Iwony.

– Narkotyki, tak? – zapytał cicho po chwili, garbiąc się.

– Dlaczego pan tak pomyślał?

– To pierwsze, co przyszło mi do głowy. Choć nie bardzo wiem, jak mogliby to robić. Produkcji na pewno tu nie było, znam ten zakład jak własną kieszeń, każdy kąt, jestem tu praktycznie ciągle. Przechowywanie? – Brwi podjechały jeszcze wyżej. – Gdzie? Ktoś musiałby coś podejrzewać!

– Kto?

– N-no, nie wiem. – Roszak lekko wzruszył ramionami. – Ludzie. Pracownicy.

– Jacy oni byli? – zmieniła nagle temat.

Roszak oklapł za swoim biurkiem. Wyglądał jeszcze mizerniej. Otworzył szufladę i wyciągnął z niej płaską butelkę whisky.

– Przepraszam, ale nie wytrzymam – bąknął. – To wszystko kosztuje mnie za dużo nerwów.

– Proszę się nie krępować. – Patrzyła obojętnie, jak odkręca zakrętkę i nie przejmując się, pociąga spory łyk.

Zakręcił butelkę z powrotem i wrzucił ją do szuflady, a potem zamknął ją gwałtownie. Whisky siłą rozpędu głośno uderzyła w jej tylną ściankę.

– Nie znosiłem ich – przyznał z ociąganiem, rozpierając się w fotelu, jakby poczuł się swobodniej. – Od zawsze. Byli mi potrzebni do rozkręcenia interesu. Potem uważałem, że skoro wciąż się rozwijamy, to odłożę na bok osobiste animozje i po prostu będę robił swoje. Utrzymywałem dystans, nigdy nie dałem im poznać, że ich nie cierpię.

– Dlaczego ich pan nie cierpiał?

– Jednych się lubi, innych nie, normalne, prawda?

– Jasne, ale zawsze jest jakiś powód. I ja o niego pytam.

– Nie byli dobrymi ludźmi.

– Po czym pan to poznał? Po czymś konkretnym?

– Po tym, jak odnosili się do innych ludzi, na przykład pracowników. Jak mówili o naszych kontrahentach. Biznes, zwłaszcza duży biznes, wymaga twardości, ale są pewne podstawy. Pewnie, że między sobą możemy gadać o ludziach różne rzeczy, ale nie w taki sposób, w jaki robili to oni. Jakby uważali się za najlepszych.

– Odnieśli sukces, mogli mieć podstawy, żeby tak sądzić.

– Naprawdę tak pani myśli?

– A tak nie jest?

– Pani mnie teraz podpuszcza, prawda? – Roszak zmarszczył brwi, spoglądając na nią uważnie.

– Tak – odparła po prostu, patrząc mu prosto w oczy.

– Po co?

– Bo chcę poznać pana prawdziwe zdanie o tych ludziach.

– Właśnie je pani przedstawiam.

– A gdyby nie musiał się pan w ogóle krępować?

Roszak siedział przez chwilę z rozchylonymi ustami, a potem zabębnił palcami w blat biurka.

– Golczewski był największym skurwysynem, jakiego spotkałem w życiu, choć kiedy go poznałem, jeszcze o tym nie wiedziałem – powiedział gorzko, bardzo gorzko. – A potem było za późno. Nie miał żadnych zasad, choć zdrowego rozsądku mu nie brakowało. Być może więzienie nauczyło go, że nie warto ryzykować dla samego ryzyka, a z pewnością je lubił. Ale

w biznesie był rozsądny. A Marcin… Marcin był taki sam. Pod płaszczykiem miłej powierzchowności krył się mały, wredny skurwysynek, wpatrzony w tatusia jak w obraz, chociaż ten tatuś traktował go jak szmatę.

Iwona odwróciła wzrok i zawiesiła go na jakimś zdjęciu na ścianie po lewej stronie. Był na nim Roszak i Chyła, obaj dużo młodsi i w kaskach, wbijali w ziemię jedną łopatę, a za nimi stał spychacz. Na ich twarzach były uśmiechy. Z tyłu, w ciemnym płaszczu, majaczyła postać Golczewskiego. Był jak duch, formalnie bez wpływu na cokolwiek, a faktycznie dzierżący władzę niemal absolutną.

To, co powiedział przed chwilą Roszak, pokrywało się ze spostrzeżeniami Iwony. Mimo że Golczewski i Chyła byli ulepieni z tej samej gliny, widać było wyraźnie, pod jakim wpływem ojca jest syn. Jakby starał się mu coś udowodnić i robił to od początku, odkąd nabył świadomość przewagi, jaką ojciec nad nim miał i jakiej nigdy nie miał oddać. Popatrzyła na Roszaka uważnie. Siedział skurczony za biurkiem, ze spojrzeniem wbitym w jego blat, dłonie ukryte były pod nim i Iwona była niemal pewna, że ściska je teraz między kolanami, śledząc w pamięci całą ścieżkę, jaką kroczył ramię w ramię z Chyłą i Golczewskim.

– Moje życie przewróciło się do góry nogami, wie pani? – Roszak spojrzał na Iwonę zbolałym wzrokiem. – Nie mam pojęcia, w co byli zamieszani. Nikt mi nic nie mówi, prokurator twierdzi, że nie może, a ja mam jakieś wewnętrzne przekonanie, że sam nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. Wnioskuję to po pytaniach: zadaje je, jakby sam nie był pewien, o co mnie pytać. Boję się, że uderzy to we mnie, w firmę, podetnie mi nogi i już nigdy się nie podniosę. Nie będę udawał, że płaczę za nimi, ale sama pani rozumie… – Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – To mi naprawdę wszystko skomplikowało. Wszystko.

Iwona milczała. Co mogła powiedzieć? Że robi to samo co prokurator? Że też za nimi nie płacze? Czy że zabiła Chyłę i przyczyniła się do śmierci Golczewskiego, i nie tylko ich?

– Pani też zadaje dziwne pytania – rzucił nagle Roszak w jej stronę, z już przytomniejszym spojrzeniem.

Drgnęła, wytrącona z zamyślenia.

– Nie ma dziwnych pytań – odparła, bo coś w końcu musiała powiedzieć. – Dziwne mogą być tylko odpowiedzi.

– A moje są dziwne? – zapytał.

Zmarszczyła brwi.

– Może źle się wyraziłam – bąknęła. – Dziwne jest to, co tu się stało.

– A co się stało, pani komisarz? Może chociaż pani mi coś zdradzi? Cokolwiek?

– Nie mogę, przykro mi. – Wstała i obciągnęła skraj bluzy. – Proszę współpracować z prokuraturą, nic innego panu nie pozostaje. Życzę szczęścia.

– Nie wierzę w szczęście i pecha. – Roszak również wstał i poprawił krawat, kręcąc szyją.

– Ja też nie – odparła z pełnym przekonaniem, pożegnała się i wyszła.

Wiedziała od Brusia, że Roszak objęty jest inwigilacją, przede wszystkim elektroniczną. Jego aktywność w sieci komórkowej i internetowej były śledzone, Bruś miał nadzieję, że to pozwoli ustalić, czy był w kierownictwie Klubu 526 i czy może próbuje go reaktywować. Iwona nie podważała sensu inwigilacji, ale była w zasadzie pewna, że nie przyniesie żadnych efektów, przynajmniej jeśli chodzi o tę sprawę.

Roszak był czysty, tak uważała. Choć nigdy nie przepadała za ludźmi, którzy odnieśli duży sukces, bo często wzmagał w nich przekonanie o własnej niezwykłości, to Roszak jawił się jej jednak jako raczej normalny facet, który po prostu dobrał sobie nieodpowiednich wspólników.

Już z samochodu zadzwoniła do Giluka i poprosiła go, żeby ustalił adres wdowy po Zbigniewie Korduli. Kiedy tylko oddzwonił z informacją, nie tracąc czasu, pojechała do Lublina, żeby się z nią spotkać.

DOROTA KORDULA

Ominęła centrum Lublina, zjeżdżając na obwodnicę, przejechała kawałek ekspresówką na południe, potem skręciła w wąską drogę prowadzącą w kierunku Zemborzyc.

Wdowa po Korduli mieszkała w podmiejskiej willi nieopodal jeziora. Budynek wyglądał jak żywcem przeniesiony z renesansowych Włoch, jakby architekt zakochany był w palladiańskich wizjach idealnego domu i oddając hołd swojemu mistrzowi nieżyjącemu od pięciuset lat, starał się zaszczepić je na nieco przaśnym gruncie. Kuta brama była otwarta na oścież, więc Iwona wjechała na podjazd i zaparkowała przed frontem. Widoczne z tej perspektywy fasada i monumentalny kolumnowy portyk zasłaniały kawał nieba, a prowadzące do wejścia schody aż korciły, żeby po nich wbiec. Wyobrażała sobie, że właśnie na takich schodach Kopciuszek zgubił swój pantofelek.

Weszła na nie i pokonała je powoli. Nie miała ochoty na tę rozmowę, ale musiała ją odbyć. Musiała się upewnić, że Kordula był jednym z klientów Klubu, a jego śmierć była z tym związana.

Wielkie jak brama wjazdowa do garażu drzwi wejściowe otworzyły się nagle i stanęła w nich brunetka z gładko zaczesanymi na bok włosami spiętymi z tyłu w kok. Była ubrana w biały kostium, długie palce dłoni zaciśniętej na pionowym uchwycie zakończone były polakierowanymi na perłowo paznokciami. To wszystko Iwona zdążyła zauważyć, zanim kobieta odezwała się do niej.

– Słucham panią?

– Dzień dobry, komisarz Iwona Banach, Centralne Buro Śledcze Policji. – Wyciągnęła przed siebie blachę. – Czy pani Dorota Kordula?

– Tak.

– Możemy porozmawiać?

– Była już u mnie policja i prokurator – stwierdziła kwaśno kobieta.

– Nie ma takiej zasady, że przychodzą tylko raz. Mogę wejść?

– Tak, proszę… – Odsunęła się od drzwi i wpuściła Iwonę do środka.

Wnętrze domu było obszerne. Hol był wysoki, jasny i przestronny, całość zaprojektowano z dbałością o detale, ale Iwona nawet się nie rozglądała. Nie było w niej ciekawości, z jaką zawsze wchodziła do czyichś domów, a robiła to kiedyś bardzo często. Lubiła patrzeć, jak mieszkają ludzie, oceniać, czy to ich miejsce na ziemi, czy noclegownia. Teraz chciała jak najszybciej załatwić sprawę, nie spędzając w tym domu ani sekundy dłużej niż to konieczne.

Prowadzona przez gospodynię przeszła do jeszcze większego salonu. Odruchowo zarejestrowała kilka obrazów sztuki współczesnej, bibeloty, wielki, stary regał z książkami o grzbietach dobranych kolorystycznie. Usiadła na fotelu wskazanym przez Kordulę i zapadła się w nim. Nie lubiła tego uczucia. Wydostanie się z objęć takich mebli kosztowało sporo czasu i wysiłku, a jak nauczyło ją doświadczenie wydarzeń z Łodzi, lepiej być gotowym na wszystko.

– Nie zajmę pani dużo czasu – zagaiła, obserwując, jak Kordula z gracją siada na szezlongu.

Dzielił ich niski, stylizowany na antyk stolik kawowy, na którym leżało kilka gazet, czasopismo dla kobiet i drugie z programem telewizyjnym. Blat stolika był jedynym nieuporządkowanym miejscem w zasięgu wzroku Iwony, która miała wrażenie, że w tym domu panuje sterylna wręcz czystość.

– Cieszę się – stwierdziła gospodyni, poprawiając kok, a potem wisiorek naszyjnika objęty piersiami podniesionymi dobrym stanikiem albo skalpelem.

– Czy są pani znani Marcin Chyła i Kazimierz Golczewski? – Te dwa nazwiska ledwo przeszły Iwonie przez gardło.

Nawet myśl o nich bolała.

– Tak – odparła krótko i zdecydowanie Kordula.

– Jak długo pani mąż znał się z nimi?

– Nie mam pojęcia. Zbyszek utrzymywał kontakty raczej z Marcinem, z jego ojcem prawie w ogóle. Ze wspólnikiem Marcina też nie.

– Na czym polegały te kontakty?

– N-no… Imprezy branżowe, czasem jakieś spotkania prywatne: polowania, nie wiem. Na przykład byli raz na rajdzie dżipami gdzieś w jakiejś puszczy.

– Chyła stanowił dla niego konkurencję?

– Czy ja wiem? – zastanowiła się. – Ferma była dla Zbyszka mniej ważna, zresztą w porównaniu z „Drobexem” nie miała szans. To zakłady mięsne były jego oczkiem w głowie, musi pani wiedzieć, że wędliny i ogólnie produkty mięsne „Kordula” są w połowie hipermarketów w Polsce. Fermę Zbyszek miał po ojcu, unowocześnienie jej do poziomu „Drobexu” kosztowałoby dużo pracy i pieniędzy, a jedyna wolna, sąsiednia działka, na której mógł rozbudowywać fermę, miała bardzo skomplikowaną sytuację prawną i jej zdobycie było praktycznie nierealne nawet w dalszej przyszłości. Uznał więc, że to zbyt duże ryzyko biznesowe i wolał angażować się w ten, jak sam mawiał, świński interes. A sprzedawać fermy też nie chciał, bo to ojcowizna i syn miał się uczyć na niej zarządzania, żeby przejąć później „Kordulę”, kiedy Zbyszek się zestarzeje. W świnie poszedł dwadzieścia lat temu, żeby udowodnić swojemu ojcu, że jest dobry, że potrafi sam stworzyć wielki biznes od zera. A proszę mi wierzyć, mój teść swoje za uszami miał i trochę się Zbyszkowi nie dziwiłam, że chce mu to udowodnić.

– Czy mąż bał się czegoś ostatnio?

– Nie. To znaczy… Kiedy dowiedział się o śmierci Chyły i Golczewskiego, zrobił się nerwowy. Był nieobecny myślami. Ale to nie trwało długo, bo praktycznie dwa dni później… – Zacisnęła mocno usta.

Iwona nie dała jej czasu na powrót do tamtych chwil.

– Czy zauważyła pani kiedykolwiek, że pani mąż przejawiał jakieś nietypowe zachowania seksualne? – zapytała.

– Proszę?? – wyjąkała Kordula.

– Czy zdarzyło się, że mąż poprosił panią w sypialni o coś nietypowego?

– Jak pani śmie? – Kobieta patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Nie zadaję tego pytania bezpodstawnie…

– Proszę wyjść! Natychmiast! Proszę opuścić ten dom!

– Proszę pani, czy zależy pani na wyjaśnieniu…

W oczach Korduli była furia.

– Zamierzam skontaktować się z pani przełożonym i poinformować go o pani skandalicznym zachowaniu… Co pani robi?

Iwona wyciągnęła długopis, sięgnęła po leżący na stoliku program telewizyjny i na skraju tylnej strony zaczęła kreślić cyfry.

– To jest numer telefonu do mojego przełożonego. – Spokojnie przesunęła gazetę w jej stronę. – Inspektor Jacek Bruś z Centralnego Biura Śledczego Policji. Proszę dzwonić.

– Nie będzie mi pani mówić, co mam robić…

Iwona wyciągnęła swój telefon i weszła w listę kontaktów. Nagle Kordula zerwała się z szezlonga i wyrwała jej telefon z ręki. Spojrzała na wyświetlacz, upewniając się, że Iwona nie zdążyła wybrać numeru, a potem odłożyła komórkę na stół z głośnym stuknięciem. Oddychając szybko, zamiast wrócić na szezlong, usiadła w fotelu, a właściwie rzuciła się na niego plecami, zaciskając palce na podłokietnikach. Teraz dzieliła ją od Iwony jeszcze większa odległość.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć. – Iwona patrzyła na Kordulę zimno. – Staramy się wyjaśnić wszystkie aspekty sprawy zabójstwa pani męża. Musi być pani gotowa na wstrząs i zdawać sobie sprawę, że on mógł mieć przed panią jakieś tajemnice. I nie jest pani jedyna – dodała po chwili.

– Jakie tajemnice? – zapytała cicho Kordula, nie patrząc na Iwonę.

– Mroczne. Jego działania, o których nie miała pani pojęcia, mogły mieć związek z jego śmiercią.

– Jakie działania, na litość boską?

– Proszę mi odpowiedzieć na pytanie.

Kordula zapadła się w fotelu. Pierś unosiła się w rytm oddechu, pobielałe palce zaciskały na skórze fotela, paznokcie wbijały się w nią, jakby kobieta chciała zerwać obicie i je rozszarpać. Iwona czekała, obserwując ją. Nagle gospodyni westchnęła, przeniosła wzrok ze swoich kolan na okno i powiedziało cicho.

– Kiedyś poprosił mnie, żebym dała się związać. Odmówiłam. Nie jestem specjalnie purytańska, jeśli chodzi o sprawy łóżkowe, ale te praktyki uznałam za zbyt wyuzdane. Bałam się, po prostu. – Wzruszyła ramionami. – Innym razem pobił mnie lekko w łóżku. Wrócił skądś, był na lekkim rauszu, miałam lepszy dzień i ochotę na seks, ale kiedy zaczęliśmy, stał się agresywny. Klepał mnie w pośladki i zbyt mocno ściskał szyję, więc go hamowałam. A on… Uznał, że żona mężowi nie odmawia. Skończyło się paroma sińcami i moim płaczem. Następnego dnia przyniósł mi kosz kwiatów i chyba o wszystkim zapomniał.

Iwona zassała wargę. Poczuła, że usta ma suche i spierzchnięte.

– Co to znaczy, że miała pani lepszy dzień? – zapytała.

Kordula się skrzywiła.

– Nasze małżeństwo nie było idealne, mąż dużo czasu spędzał poza domem, często się kłóciliśmy, pożycie też było w rozkładzie. Ale mam swoje

potrzeby jak każda kobieta i tego dnia miałam po prostu ochotę na seks.

Iwona pomyślała, że tak atrakcyjna kobieta mimo wieku nie powinna mieć najmniejszego problemu ze znalezieniem sobie kochanka, ale nie zapytała jej o to. To się nie liczyło, chodziło tylko o Kordulę.

– Czy mąż mógł korzystać z usług prostytutek? – zapytała zamiast tego.

Kordula prychnęła pogardliwie.

– Zna pani faceta, który by nie korzystał?

– Nie znam wszystkich mężczyzn na świecie, poza tym przykro mi, ale to nie ma znaczenia dla sprawy. Proszę odpowiedzieć.

Kordula zmrużyła oczy.

– Nigdy go na niczym nie przyłapałam, ale byłam świadoma, że z jego pozycją, bogactwem, wyjazdami służbowymi i alkoholem jest to prawdopodobne. Nie rozmawiałam z nim o tym, poprosiłam go tylko raz, sama będąc po alkoholu, żeby nie złapał niczego i mnie nie zaraził. Miałam tylko nadzieję, że jeśli już, to korzysta z usług profesjonalistek, a nie przydrożnych lachociągów.

Iwona była zaskoczona nagłym wulgaryzmem, ale nie skomentowała tego.

– Co on wtedy na to? – zapytała tylko.

– Roześmiał się. W tamtej chwili nawet pomyślałam, że się ucieszył i że zrobiłam błąd, bo może to uznać za przyzwolenie, ale potem doszłam do wniosku, że to i tak nie ma znaczenia. I tak zrobiłby, co chciał. A ja nie mam nad tym kontroli. I tyle. – Pokiwała smutno głową i poprawiła nerwowo pierścionek na palcu. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani o to pyta? Akurat o to? Myślę o jego śmierci przez cały czas. Sądziłam, że zaangażował się w jakieś ciemne interesy, tak przecież działa mafia: podkłada bomby. Boję się o siebie, o dziecko, nie jestem pewna jutra ani przyszłości, jeśli okaże się, że mimo majątku jest bankrutem, bo wisi jakimś ludziom ogromne pieniądze, ja, my, zostaniemy z niczym. Rozumie mnie pani? Czy rozumie pani moją sytuację? – Biła się w piersi upierścienionymi dłońmi.

– Tak – powiedziała Iwona jak najbardziej poważnie. – Rozumiem panią doskonale.

Kordula sapnęła, jakby chciała się roześmiać, tylko w ostatniej chwili powstrzymała się przed tym.

– Nie sądzę. – Pokręciła głową z lekkim rozbawieniem, a na opalonej skórze jej szyi na moment pojawiły się zmarszczki.

– Przecież pani nie może tego wiedzieć – zripostowała Iwona, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem. – Ilość pieniędzy nie ma tu nic do rzeczy.

– Możliwe. – Kobieta uspokoiła się trochę. – A więc dlaczego pyta pani o te sprawy?

– Czy policja po śmierci męża zabrała jego laptop?

Kordula zbladła, a jej twarz wydłużyła się, jakby kobieta właśnie domyśliła się, o co chodzi Iwonie. I miała niewątpliwie trochę racji.

– Był… Był pedofilem, prawda? – wyjąkała zszokowana.

Iwona pokręciła głową. Nie zamierzała ani jej uspokajać, ani dawać czegoś do zrozumienia. Nie po to tu się zjawiła.

– Nie mam pojęcia. Wątki, które badam, nie muszą dotyczyć jego niezdrowego zainteresowania dziećmi, jeśli w ogóle takie było. Proszę się tym nie sugerować.

– Nie muszą, ale mogą? – naciskała.

– Nie odpowiem pani na to pytanie. No więc, zabrała?

– Tak. – Kordula spojrzała na nią krzywo. – Dziwię się, że pani tego nie wie.

Iwona westchnęła.

– Proszę nie komentować moich działań, dobrze? I nie odbierać ich jako ataku na siebie. Jestem w pracy. Szukam zabójcy pani męża.

– A więc tak wygląda prawdziwy świat. – Kordula rozłożyła ramiona w teatralnym geście i rozejrzała się po salonie. – To nie glamour, bankiety, kosmetyczki i trenerzy personalni, tylko zbrodnia, brud, wchodzenie ubłoconymi buciorami w czyjeś życie.

– Zrozumiała pani, co do niej powiedziałam?

– Zrozumiałam. Właśnie pękła bańka, w której żyłam. Nie była idealna, ale moja. A teraz ona pękła i do środka wlały się pomyje. Wie pani, że nigdy nie byłam w zakładzie męża? Żeby chociaż zobaczyć, z czego żyjemy? Świnie mnie brzydzą, choć to podobno wbrew pozorom bardzo schludne zwierzęta. I mądre. A nagle okazuje się, że mój własny mąż mógł być brudniejszy niż one.

Kordula rozpłakała się nagle. Ramiona zaczęły jej drżeć, zakryła oczy jedną dłonią, druga wciąż nie puszczała podłokietnika, jakby był dla kobiety oparciem.

– Nie jestem idiotką. – Chlipnęła, kiedy się odrobinę opanowała. – Pani pytania jasno świadczą, w którym kierunku to zmierza. A ja nie dam

zszargać pamięci po nim. – Nagle wstąpiła w nią jakaś siła i podniosła głos, o wiele za mocno, jak dla Iwony. – Mam syna! Też muszę jakoś ułożyć sobie życie! Nie pozwolę na to!

– Nie mam na to najmniejszego wpływu – odpowiedziała jej spokojnym i opanowanym tonem.

Kordula pokiwała głową, jakby te słowa faktycznie do niej trafiły.

– Czy to już wszystko? – zapytała i jej głos też już był już normalny, choć odrobinę drżał.

– Tak. – Iwona wstała z kanapy. – Ostrzegam, że być może jeszcze do pani przyjdę, jeśli pojawią się nowe okoliczności, które będą to uzasadniały.

– Rozumiem. – Kordula również wstała i opuszkami zaczęła pocierać oczy.

Długie, zagęszczane rzęsy zatrzepotały jak skrzydła czarnego motyla.

– Dziękuję za rozmowę. – Iwona ruszyła w kierunku wyjścia, choć nie była pewna, w którą stronę powinna iść.

W końcu uznała, że to drzwi po prawej będą tymi właściwymi. Stukot obcasów tuż za nią mógł to potwierdzać; gospodyni szła o krok za nią, jakby bała się, że uskoczy gdzieś w bok i pobiegnie w głąb domu, żeby dalej wyciągać brudy jej męża. Iwona otworzyła je sama, wyszła na korytarz i skręciła w lewo, gdzie w jego perspektywie widoczne były ostatnie drzwi dzielące ją od świeżego powietrza, którego tak potrzebowała.

Kordula nie zapomniała o dobrym wychowaniu, wyprzedziła ją tuż przed nimi i otworzyła je przed Iwoną na całą szerokość, kładąc rękę na krawędzi ciężkiego skrzydła i opierając policzek o jej wierzch.

– To nie fair – powiedziała cicho, kiedy Iwona ją mijała. – Żąda pani ode mnie odpowiedzi na najintymniejsze pytania, a sama nie udziela na żadne z moich.

– Przykro mi. – Iwona przystanęła w progu i spojrzała jej w oczy. – To nie moja wina. Tak już po prostu jest. Konsekwencje działań pojedynczych ludzi nie dotykają tylko ich samych. Ich najbliższych również. Czasem nawet mocniej, wie pani?

– Tego uczą na szkoleniach w policji? – zapytała szyderczo Kordula. – Pseudopsychologicznego pierdololo, którym każą potem częstować zatroskane kury domowe wydymane przez mężusiów?

Iwona uśmiechnęła się do niej, ale samymi ustami; oczy nie brały w tym udziału.

– Nie – odparła. – Tego nauczyło mnie życie. Boleśnie.

Szyderstwo zniknęło, oczy rozszerzyły się lekko, a pełne usta rozchyliły w wyrazie zdziwienia. Iwona obróciła się i zaczęła schodzić po wodewilowych schodach.

– Do widzenia pani – powiedziała jeszcze krótko, nie odwracając się.

– Oby nie – dobiegły ją ciche słowa i trzask drzwi.

Iwona zeszła schodami na podjazd, wsiadła do auta i ruszyła w kierunku bramy. Samochód sunął wzdłuż gęstych szpalerów tuj, a ona myślała o właśnie zakończonej wizycie w domu ofiary Matta. Albo raczej ofiary własnych żądz. Iwona nie powiedziała tego Korduli, ale kobieta mogła być raczej spokojna o przyszłość syna. Jeśli faktycznie jej mąż odwiedził kiedyś Klub 526 i zapłacił za to życiem, to wieść o tym bez wątpienia zostanie tajemnicą, ukrytą w zgliszczach warszawskiej willi i w pamięci laptopa dwóch zwyrodnialców. Gdyby faktycznie był na nim film z Kordulą, a Matt chciał zrobić wokół tego szum, już dawno opublikowałby to jakoś, niszcząc faceta na zawsze. A on go zabił. Tylko, i aż. A potem przypomniała jej się rozmowa z Brusiem o sposobie odpalenia i wielkości ładunku podłożonego w samochodzie Korduli. Nie chodziło o sam fakt fachowego odmierzenia jego ilości, tylko o intencje. Nikt inny nie miał zginąć. I może chodziło też o to, żeby zemsta nie uderzyła w jego rodzinę? W końcu niczemu nie byli winni.

To było jak wysadzanie skał pod budowę domu na skalistym gruncie, gdzie pakuje się ładunki w odwierty i zakrywa je specjalnymi matami niwelującymi niepożądane skutki eksplozji: podmuch i skalne odłamki. Wybuch, który w dalszej perspektywie ma umożliwić zbudowanie czegoś, a nie zburzenie samo w sobie. Minimalizacja zniszczeń.

Ograniczanie konsekwencji.

Iwona wyjechała za bramę i odetchnęła głęboko. Zrobiła kolejny krok, choć paradoksalnie nie zbliżyła się do celu nawet o milimetr.

Podjechała kilka kilometrów do zajazdu: niskiego, długiego i białego budyneczku. Zameldowała się, zjadła obiad i od razu poszła spać. Wieczorem wstała na chwilę, pogapiła się w telewizor i zadzwoniła do matki, ale ta nie odbierała. Położyła się o dwudziestej drugiej i o dziwo zasnęła bez problemu. W drogę do Szczecina wyruszyła około siódmej, od razu po śniadaniu, i spędziła w niej ponad osiem godzin. Gdy już dojechała na miejsce i zaparkowała pod swoim blokiem, mimo wyspania wysiadła z auta zmęczona i otępiała. Zamknęła drzwi volkswagena, a kiedy się

odwróciła, niemal zmartwiała z przerażenia. Tuż przed nią stał barczysty blondyn i przypatrywał się jej w milczeniu.

Kojarzyła go.

Był Niemcem i klientem Klubu 526, którego wieźli z Kurą do Falent tuż przed pożarem fermy i tuż przed końcem Klubu.

MARKUS BENNER

Wysadzili go wtedy na telefoniczne polecenie Chyły w środku nocy pod jakimś hotelem w Toruniu. Nie dojechał do miejsca przeznaczenia, nie skorzystał z usług Klubu i być może tym samym uratował swoje życie. Iwonie nie podobał się od samego początku, nawet ostrzegała Kurę, że wygląda na niebezpiecznego i powinni na niego uważać. I jak widać, nie pomyliła się.

– Poznała mnie pani – powiedział blondyn po niemiecku.

Miał chrapliwy głos, jak wypalony ogniem.

– Tak – odparła w tym samym języku, czując, jak momentalnie wysycha jej w ustach.

Była sama, nie miała przy sobie broni, nieliczni ludzie kręcący się po osiedlu albo idący gdzieś ulicą w niczym jej nie pomogą.

– Tak wtedy sobie pomyślałem, że pani zna niemiecki, a tylko udaje, że nie rozumie. I nie musi się pani mnie bać. Nazywam się Markus Benner. Jestem prywatnym detektywem, partnerem w berlińskiej firmie Lentz i spółka.

– Nie znałam tej baśni braci Grimm – prychnęła, chociaż uda, pośladki i mięśnie grzbietu miała napięte ze strachu.

Niemiec roześmiał się cicho i jego twarz zmieniła się diametralnie z maski bandyty w przystojną i całkiem miłą twarz sympatycznego draba.

– Nie wiem, co powiedzieć – stwierdził rozbawiony, rozkładając szeroko ręce.

Iwonie nie było do śmiechu. Wiedziała, że w Niemczech agencję detektywistyczną może otworzyć każdy, podobnie jak każdy inny rodzaj działalności gospodarczej.

– Mam pani pokazać papier? – Widział, że jej nie przekonał.

– Każdy może sobie coś takiego wydrukować. – Iwona wzruszyła ramionami, z każdą chwilą czując się odrobinę pewniej.

– Wczoraj byłem w Warszawie. – Benner popatrzył jej w oczy. – Rozmawiałem z inspektorem Brusiem.

– Słucham? – Zatrzepotała gwałtownie powiekami.

– Jeszcze kilka lat temu byłem wysokim funkcjonariuszem Bundeskriminalamt. – Benner zmrużył oczy, a Iwona zobaczyła, że na tęczówkach ma plamki. – Widzieliśmy się kilka razy przy różnych okazjach; raz w Warszawie, innym razem w Berlinie. I teraz skorzystałem z tej znajomości.

– Dlaczego Bruś do mnie nie zadzwonił? – Była wściekła, ale nie dawała tego po sobie poznać.

– Hmm… Nie wiem, chociaż mogę się domyślać. Nie dopuściłaby pani do naszego spotkania, a tak przynajmniej mam szansę poprosić o chwilę rozmowy. I liczyć na to, że się pani na nią zgodzi.

Iwona bez słowa i nie spuszczając wzroku z twarzy Niemca, sięgnęła do kieszeni po telefon, następnie ledwie zerkając na wyświetlacz, wybrała numer Brusia i przyłożyła komórkę do ucha.

– Przyjechał? – usłyszała zamiast powitania.

Zacisnęła wargi.

– Zadzwonię potem, a na przyszłość nie życzę sobie takich zagrywek, panie inspektorze – warknęła i rozłączyła się.

– To jak będzie? – Jasne brwi zawisły tuż nad oczami.

– Zapraszam na spacer.

Ruszyła pierwsza w stronę parku Chopina, Benner drgnął i podążył za nią, dogonił ją trzy kroki dalej. Przeszli na Tatrzańską i wciąż milcząc, dotarli na skraj parku. Iwona skierowała się w stronę zabudowań dawnych Zakładów Kückenmühle i ulicy Doktora Judyma.

– Tak wcześnie poszedł pan pod kapelusz? – zagaiła w końcu, przerywając niezręczną ciszę.

– Słucham? – Benner nie zrozumiał.

– Emerytura. Wcześnie.

– Aaa… – Niemiec uśmiechnął się i pokiwał głową. – Tak to nazywacie? Cóż, pomyślałem, że chciałbym coś w życiu zmienić. Za nudno mi było. Odszedłem z BKA i dałem się zaprosić staremu koledze do współpracy.

– Już pan nie narzeka na nudę?

– Ostatnio nie. – Spoważniał.

– Wyjaśni mi pan, co pan robił, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz?

– Mniej więcej to, co pani.

– Czyli?

Benner się skrzywił.

– Bruś nie wyjaśnił mi wszystkiego. Mam wrażenie, że sam niewiele wie. Albo nie może powiedzieć.

– Zgadza się.

– Które się zgadza? To pierwsze czy drugie?

– I to, i to.

– Pani wie więcej?

– Tak. Ale i tak nie powiem panu wszystkiego. Przynajmniej dopóki nie wyjaśni mi pan swojej roli.

Benner popatrzył na swoje buty, brodząc w liściach, które szeleściły rozgarniane na boki ich czubkami.

– Jakiś czas temu do naszej firmy zwróciła się w sprawie tajemniczej śmierci swojego brata niejaka Gertruda Haase. Jej panieńskie nazwisko to Horau – dodał, zerkając na nią, i Iwona już wiedziała, o co chodzi, chociaż nie dała po sobie niczego poznać. – Steffen Horau został znaleziony martwy w podberlińskiej miejscowości Konigs Wusterhausen, na drodze prowadzącej do żwirowni, niedaleko autostrady. Był bez bagażu, miał przy sobie tylko telefon i paszport. Pani wie, kim był, prawda? Bardzo bogatym i ustosunkowanym człowiekiem.

– Oraz zboczeńcem, i pan to też doskonale wie, skoro się wtedy widzieliśmy, prawda? Bo podążył pan jego śladem?

Benner pokiwał poważnie głową.

– Zgadza się. Sprawa była od początku bardzo tajemnicza. Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci był rozległy zawał dolnej ściany serca. W jego organizmie stwierdzono również obecność środków psychoaktywnych i uspokajających. Nikt nie wiedział, co robił w miejscu, w którym go znaleziono. Oczywiście wszczęto szeroko zakrojone śledztwo, ale sama pani wie, że w takich sytuacjach działa się raczej ostrożnie i dużo zależy od współpracy z krewnymi zmarłego. A ci byli raczej wstrzemięźliwi w udzielaniu informacji policji. Rodzina, reprezentowana przez panią Haase, wolała powierzyć sprawę bardziej dyskretnym rękom. Naszym.

– Czemu nie chciała rozmawiać z policją?

– Kiedy tylko się dowiedziała, że jej brat został znaleziony martwy, natychmiast pojechała do niego do domu i zaczęła przeszukiwać papiery; normalne, trzeba jakoś wszystko zorganizować. I znalazła trochę zdjęć. Wstrząsających zdjęć. Na większości był jej brat i pani Haase szokiem okupiła tę wizytę w jego domu. Potem od razu zwróciła się do nas, bo dla

niej oczywiste było, że jego śmierć może mieć coś wspólnego z tym, co odkryła w domu. Gdyby to ujrzało światło dzienne, wybuchłby skandal, który mógłby pogrążyć rodzinną firmę na zawsze. I tak ledwie wybrnęli z afery, kiedy ich dziadka, twórcę potęgi „Arndt Hoffbau", oskarżono o współpracę z nazistami podczas wojny. Horau mieszkał sam, był ponoć specyficznym człowiekiem, odludkiem praktycznie nieutrzymującym kontaktów z ludźmi, z wyjątkiem tych koniecznych – biznesowych. Nie miał przyjaciół. Pani Haase udostępniła nam jego osobisty komputer i cóż… Było w nim sporo gówna. Ponieważ nie było w jego najbliższym otoczeniu nikogo, u siebie czuł się dość bezpiecznie, w związku z tym jego komputer był doskonale zabezpieczony przed atakiem z zewnątrz, ale przed dostępem użytkownika praktycznie wcale, z zabezpieczeniem poradził sobie doskonale chłopak z mojej firmy, który interesuje się tematem. W końcu Horau był jedynym użytkownikiem. Przy odczytywaniu jego aktywności w sieci odnaleźliśmy ślady kilkukrotnego pobytu w czymś w rodzaju red roomu. Wie pani, co to takiego?

– Nie. – Iwona przełknęła ślinę.

– Serwis darknetu, w którym po uiszczeniu opłaty można uczestniczyć w transmisji na żywo czegoś bardzo, bardzo złego. Na przykład skrzywdzenia kogoś na życzenie. I to może się różnie skończyć. Nawet śmiercią. Opłaty za takie seanse zwykle dokonywane są za pomocą kryptowalut. Tak przy okazji: Horau obracał nimi na giełdzie. Analizując wszystko, doszedłem do wniosku, że temu człowiekowi przestało wystarczać oglądanie tego, nawet na żywo. Chciał czegoś więcej. Chciał spróbować zrobić to samemu, ale bezpiecznie. Dlatego znalazł kogoś, kto miał mu to umożliwić. W Polsce. Mam rację?

– Tak. Klub 526 był takim red roomem, tylko że w realu, rozumie pan? Ludzie, którzy zresztą już nie żyją, zorganizowali to w rzeczywistości. Tylko że każdy seans, bez względu na preferencje klienta, kończył się zabójstwem osoby, którą klient sobie zamawiał. To było niejako zabezpieczenie, związanie wspólną tajemnicą.

– To jest… Potwierdzone?

– Tak. Nie procesowo, ale ja panu mówię, że to JEST potwierdzone.

Benner miał nieprzeniknioną minę.

– Rozumiem – mruknął po chwili.

– Jak pan na nich trafił? – zapytała.

– Jak wspomniałem, Horau nie był zbyt ostrożny i zostawił sporo śladów, w tym wiele prowadzących do Polski. No i namierzanie telefonu, który logował się po określonej trasie. Trochę zachodu nas kosztowało zdobycie tej informacji u operatora.

– Zachodu? Ma pan na myśli pieniądze?

– Też, to chyba oczywiste, choć policja również miała te informacje, tylko nie chciała się nimi dzielić z panią Haase. Poprzez znajomego pani Haase, również bardzo bogatego i ustosunkowanego człowieka, nawiązałem kontakt z kimś stąd, z kimś firmującym Klub. W jednym z maili w skrzynce Horaua był adres mailowy, który miał dać zaufanej osobie zainteresowanej podobną usługą. Oczywiście, również bogatej. Podszyłem się pod znajomego naszej klientki, jego tożsamość jest oczywiście w tej chwili nieistotna, zostałem zaakceptowany, wpłaciłem zaliczkę w kryptowalucie, dostałem wytyczne i miałem czekać na sygnał. Przyszedł dość szybko i poszliśmy za ciosem. Ja poszedłem.

– Co pan sobie zażyczył? Kogo?

– To również nie jest istotne. Ale widzę po pani spore emocje. To musiało panią naprawdę dużo kosztować, prawda?

Iwona nie odpowiedziała.

– Co pan zamierzał? – zapytała go zamiast tego. – Kiedy dotarłby pan na miejsce, dostałby pan dziewczynę albo chłopaka… Co dalej? Uciekłby pan? Zawiadomił policję? Czy załatwił to po swojemu?

– Czyli tak jak wy, co? – Zatrzymał się i spojrzał na nią.

Iwona zrobiła to samo, ale milczała.

– Nie siedzę w tym od wczoraj, Frau Banach. – Benner ruszył i szelest liści rozgarnianych butami znów wcisnął się w uszy Iwony. – Potrafię dodawać. Bruś nie powiedział mi zbyt dużo, ale wystarczająco, żeby razem z informacjami od pani Haase oraz tymi z polskich portali informacyjnych zbudować sobie w miarę pełną historię.

– Co by pan zrobił? – naciskała. – To było ogromnie ryzykowne, przecież wie pan o tym?

– To zlecenie kosztowało panią Haase naprawdę dużo pieniędzy – powiedział po chwili milczenia Benner. – I nie chodziło o delikatną naturę sprawy jej brata, tylko właśnie o to ryzyko. Byłem gotowy na wszystko, rozumie pani? Na współpracę z polską policją, na ucieczkę, na… – Zawiesił głos.

– Mój kolega pana wtedy sprawdził wykrywaczem metali. Nie miał pan broni. Co by pan zrobił w razie konfrontacji?

– Jestem dość sprawny w walce wręcz, praktykuję jeden z najbrutalniejszych systemów, gdzie większość uderzeń i wykończeń skutkuje ciężkim zranieniem lub śmiercią.

– Uczą tego w Bundeskriminalamt? – Iwona zerknęła na niego.

– Ludzie mają różne pasje. – Benner roześmiał się krótko. – Jedni jeżdżą na rowerze, inni latają szybowcem, a jeszcze inni tarzają się po matach i nabijają sobie i innym sińce. Poza tym miałem przy sobie broń. Nóż. Polimerowy, przylepiony do wewnętrznej strony uda.

Iwona westchnęła tylko w duchu. Kura naprawdę był gówniarzem: niedoświadczonym i zielonym jak szczypior na wiosnę. To, że zabił kogoś, niczego nie zmieniało, bo nie był w stanie przewidzieć wielu rzeczy. Często podstawowych.

– Nóż to dość słaba obrona przed pistoletem? – zauważyła.

– Wziąłem na siebie to ryzyko i zostawmy już to.

– Jasne – zgodziła się, bo kontynuowanie tematu faktycznie nie miało sensu. – Co teraz?

Benner wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wracam z tarczą i na tarczy. Coś tam wiem, ale nie wszystko, nie mam dowodów. Czy pani Haase to wystarczy? Pogodzi się z tym? Nie sądzę. Czy uwierzy? Tak, w końcu widziała zdjęcia i filmy. Czy uzna jego śmierć za karę bożą? Możliwe, jest dość gorliwą katoliczką. Być może jednak ucieszy się z tego, co spotkało organizatorów. Wie pani, moim zadaniem było dowiedzenie się, co stało się ze Steffenem Horauem. Co ona zrobi z tą informacją, nie mam pojęcia.

Iwona zastanawiała się, czy powiedzieć Bennerowi, że sprawa jeszcze się nie skończyła. Miała gdzieś tę Niemkę, po prostu poczuła z tym facetem jakąś więź. Nieważne, że podjął się niebezpiecznej misji dla pieniędzy: liczył się ze wszystkim, a przynajmniej tak twierdził, więc musiał mieć jaja ze stali. Zdecydowanie wyglądał na kogoś, kto przeprowadzi szczegółową analizę operacji, a nie oprze się na wątpliwych przesłankach, takich jak na przykład wiara we własne umiejętności. Był dokładnym przeciwieństwem Kury i w tym ogarnięciu tematu przypominał trochę Matta.

Nagle Iwona zdała sobie sprawę, że praktycznie to samo musiał czuć Chyła w toalecie warszawskiego klubu, kiedy rozmawiała z nim przez

cienką ściankę dzielącą kabiny ustępowe. Dał jej wtedy jasno do zrozumienia: jesteśmy podobni, oboje lubimy polować. Ona uważała, że się myli, on był przekonany, że ma rację. To był jego punkt widzenia, a teraz ona miała swój na temat Bennera, ale nie mogła się mylić, jak Chyła w stosunku do niej. Ją i Bennera łączyła podobna przeszłość i nie tyle skłonność do ryzyka, ile po prostu odwaga. I miała gdzieś, co powie na to Bruś.

– Powinien pan o czymś jeszcze wiedzieć… – zaczęła powoli.

– Tak?

– Jest ktoś, kto wciąż poluje na myśliwych.

– Nie rozumiem? – Benner zmarszczył brwi.

Iwona uświadomiła sobie, że posługuje się nomenklaturą zrozumiałą tylko dla niej i dla Matta. Zwyrodnialców chętnych na usługi świadczone przez Klub 526 porównywali do myśliwych jeżdżących na safari, by polować na rzadkie okazy zwierząt, również nielegalnie.

– Sądzimy, że jest pewna osoba dysponująca materiałami wystarczającymi do zidentyfikowania niektórych klientów Klubu. Nie wiem, czy jest wśród nich brat pana klientki. Nie dotarł co prawda do siedziby Klubu, więc nie mógł zostać nagrany, ale nie wiem, czy nie ma tam na przykład jakiejś korespondencji stawiającej go w niekorzystnym świetle. To znaczy wskazującej wprost, że był pieprzoną, zboczoną świnią. – Przypomniała sobie Horaua i to, jak bardzo był odpychający.

– Rozumiem… Kim on jest?

– To nieistotne. – Iwona patrzyła na dawną wieżę ciśnień, którą właśnie mijali i o którą niedawno pytał Bruś, widząc ją przez okno jej mieszkania. – Był zaangażowany w sprawę niemal od początku.

– Jakie są szanse na to, żeby zaprzestał swojej działalności?

– Niewielkie – odpowiedziała Bennerowi bez zastanowienia.

W tym samym momencie do Iwony dotarło, że coraz bardziej kibicuje Mattowi, a daną Brusiowi obietnicę, że zrobi wszystko, żeby go znaleźć, złożyła chyba zbyt pochopnie. Jednak wiedziała, że Matt będzie zabijał klientów Klubu jednego po drugim, aż straci nad tym kontrolę. To było prawdopodobne, Iwona wiedziała to po sobie, przypominało wojnę, kiedy obojętnieje się na śmierć innych, żeby jakoś poradzić sobie z zagrożeniem własnego życia. Matt wiedział, że będą go ścigać i z każdym zlikwidowanym

zboczeńcem miał coraz mniej do stracenia, bo prawda była taka, że nawet jeśli zabijesz taką gnidę, to idziesz siedzieć jak za człowieka.

– Pani go teraz ściga, prawda? – zapytał Benner.

– Tak – przyznała po krótkiej chwili wahania.

– Czy mogę jakoś w tym pomóc?

– Nie. – Zdecydowanie pokręciła głową. – Prawda jest taka, że nie mam praktycznie żadnych punktów zaczepienia. Kilka informacji o nim nie daje mi dużej nadziei na powodzenie. Ten człowiek zniknął, uderza niespodziewanie i powiem szczerze, że liczę na łut szczęścia, albo na to, że popełni błąd. Tylko że on rzadko popełnia błędy i to jest mój największy problem.

Benner pokiwał tylko głową.

– Cóż, dziękuję pani za poświęcony czas. – Odwrócił się przodem do Iwony i włożył ręce do kieszeni kurtki. – Nie będę go więcej pani zajmował. Wrócę na parking sam. Do widzenia, Frau Iwona. I życzę powodzenia.

Skinął jej tylko na pożegnanie i nie wyjmując rąk z kieszeni, ruszył w stronę Arkońskiej. Iwona odprowadzała go spojrzeniem, aż jego masywna sylwetka zniknęła między drzewami, a potem sama poszła się przejść. Pomyślała też, że musi przycisnąć Brusia, żeby przydzielili jej wreszcie broń służbową.

Szła przed siebie, aż w końcu przystanęła na mostku nad Warszewcem, oparła się o barierkę i zaczęła wpatrywać w mały wodospad przelewający się przez niewielki stopień do ocembrowanego zbiornika. Na powierzchni wypełniającej go w połowie wody pływały żółte liście, na brzegu, pośród gałęzi, przemykał biały jak śnieg szczur piżmowy. Iwona słuchała cichego szumu i plusku strumienia, zastanawiając się, co dalej.

Miała w głowie pustkę.

I wtedy nagle zadzwonił jej telefon. Spojrzała na numer, ale nic jej nie mówił. Kiedy odebrała z niechęcią, jak zwykle oczekując jakiegoś kłopotu, okazało się, że miała rację, choć nie zdawała sobie sprawy z jego kalibru.

– Dzień dobry, z tej strony Dawid Marczak, lekarz dyżurny z oddziału ortopedii. – Obcy głos brzmiał oficjalnie i poważnie. – Rozmawiam z panią Iwoną Banach? Córką pani Janiny?

– Tak – westchnęła.

– Proszę przyjechać do szpitala. Pani mama miała wypadek.

– Coś poważnego? – W jej głosie było już tylko zrezygnowanie.

– Przykro mi. Mama nie żyje.

MATKA

Iwona jechała do szpitala na Unii Lubelskiej z przeświadczeniem, że nic gorszego, a równocześnie nic lepszego nie mogło jej spotkać. I była na siebie wściekła z powodu takiego podejścia do sprawy. Starając się skupić na drodze, znów myślała, co dalej, ale tym razem te myśli nie dotyczyły Grzelińskiego i Krzyśka, tylko matki.

Lekarz nie chciał powiedzieć przez telefon, co dokładnie się stało. Pewne było tylko to, że matka nie żyła, a Iwonie odpadł problem z opieką, bo tak też musiała o tym myśleć. Nie było jej stać ani na pielęgniarkę w jej mieszkaniu, ani na zabranie matki do siebie na to cholerne dziesiąte piętro. No i nie dźwignęłaby emocjonalnie opieki nad nią przez dłuższy czas. I tylko dlatego po szczerej rozmowie profesor zarządzający kliniką zgodził się przetrzymać matkę na oddziale, aż Iwona znajdzie jakieś wyjście. A ona i tak go jeszcze nie miała. Teraz problem rozwiązał się sam, choć nie było to najlepsze rozwiązanie. Tu po prostu nie istniało dobre rozwiązanie.

Pogodziła się dawno z tym, że z rodzoną matką nie łączy jej nic poza więzami krwi. Nie łudziła się, że kiedykolwiek to się zmieni, była wręcz przekonana, że matka zasłużyła na to swoją dawną apodyktycznością, brakiem akceptacji dla jakichkolwiek poczynań córki i emocjonalnym chłodem, tchnącym z niej przez dwie dekady życia pod jednym dachem. Była okrutna wobec własnego dziecka i Iwona nie potrafiła zdobyć się na to, żeby odpłacać jej za to czymś więcej niż tylko tolerowaniem jej obecności na orbicie swojego życia. I uważała, że to i tak dużo.

Krążyła dobre dziesięć minut po przyszpitalnym parkingu, zanim udało jej się wcisnąć w dopiero co zwolnione miejsce postojowe. Wysiadła z samochodu i na chwilę zawiesiła wzrok na panoramie miasta widocznej z wyniesienia, na którym położony był szpital. Wieżowce Pazimu, Hanzy i dawnej siedziby telewizji górowały nad horyzontem, bijąc w oczy refleksami słonecznych promieni odbitych od szklanych fasad. Iwona znów pomyślała o Krzyśku, a potem trzasnęła drzwiami samochodu i powlokła się do szpitala.

Kiedy dotarła na oddział ortopedii, lekarz, z którym rozmawiała przez telefon, już na nią czekał. Był wysokim, lekko siwiejącym mężczyzną w sile wieku. Zaprowadził ją do swojego gabinetu, usiadł ciężko na krześle, a ją posadził na kanapie. Był wyraźnie skrępowany, co Iwony nie dziwiło. Lekarze z oddziałów intensywnej terapii zdecydowanie częściej informują ludzi o śmierci ich bliskich niż ortopedzi. Ale w świetle tego, co lekarz powiedział po chwili, jego skrępowanie już w ogóle przestało ją dziwić.

– Jak to się stało? – zapytała, spodziewając się odpowiedzi.

W głowie miała niedawną śmierć Jaśka Wawrytki, który zgasł w szpitalu wyczerpany chorobą. Matce stres związany z paskudnym złamaniem i pobytem w szpitalu z pewnością nie pomógł. Być może w ranę pooperacyjną wdało się zakażenie, o którym jej nie poinformowano, a potem dostała sepsy, która potrafi zabić w ciągu godziny. A może po prostu wyczerpany organizm poddał się, i już.

– Wypadła przez okno łazienki – powiedział Marczak na wydechu.

– S-słucham? – Iwona nie wierzyła własnym uszom.

– Nie wiemy, jak to się stało. – Doktor nie patrzył jej w oczy. – Na miejscu pracuje prokurator i policja, więc na razie nie ma mowy o wyjaśnieniu, a jak już przy tym jesteśmy, to przykro mi, ale nie będę miał dla pani zbyt dużo czasu.

– Ktoś to widział?

– Na razie nie mam takich informacji. Znaleziono ją pod budynkiem, już nie żyła. To drugie piętro, ale wysokie, a ona miała swoje lata.

Iwona przełknęła ślinę i rozejrzała się po gabinecie, jakby szukała potwierdzenia, że znajduje się w realnym świecie, a ona nie śni.

– Jezu, miała złamane biodro, nie była w stanie samodzielnie się poruszać! – wykrztusiła. – Chce mi pan powiedzieć, że przeszła sama kilkadziesiąt metrów przez korytarz, otworzyła okno, wychyliła się przez nie i wypadła? Jak to możliwe?

– Nie ma w tym nic niemożliwego. – Marczak rozłożył szeroko ręce. – Była nafaszerowana lekami przeciwbólowymi, miała nowiuteńką protezę stawu biodrowego, dostała kroplówki, które poprawiły jej stan ogólny. Obecnie pacjentów po wszczepieniu endoprotezy biodra pionizujemy już dzień, dwa po operacji, z pani mamą z racji wieku czekaliśmy trzy dni, ale doskonale sobie radziła. Dość dawno pani jej nie odwiedzała, więc pani tego nie wie…

– Byłam na wyjeździe służbowym – skłamała, ale nie do końca.

– Rozumiem. Ale przypominam też, że to na pani usilną prośbę z racji życiowych zawirowań pan profesor zgodził się na przedłużenie pobytu mamy w szpitalu, choć nie było takiej potrzeby. Zwykle wypisujemy pacjentów natychmiast, kiedy tylko ustają przeciwwskazania. Często nawet następnego dnia.

Iwona miała wrażenie, że Marczak patrzy na nią w specyficzny sposób, jakby badał, czy ona potraktuje to jako próbę wytłumaczenia zaistniałej sytuacji, czy odbierze jego słowa jako atak i pretensje, że zaniedbała własną matkę. Nie obchodziło jej, co sobie o niej myśli. Miała w głowie mętlik.

– Była przecież zacewnikowana. – Chrząknęła, bo zaschło jej w gardle. – Więc nie było potrzeby udawania się do łazienki.

– Zgadza się. A ona po prostu wstała z łóżka i poszła tam. Sama. Nie wiem dlaczego.

– Miała chorobę otępienną. – Iwona sama zauważyła natychmiastowe przestawienie się na czas przeszły. – Mogła nie widzieć związku między cewnikiem i brakiem potrzeby załatwienia się w łazience.

– Tylko po co otworzyła okno?

Iwonę też to zastanawiało. Matka panicznie bała się przeciągów i z tego powodu praktycznie nigdy nie otwierała okien, przez co w jej mieszkaniu panował wieczny zaduch. Rzadko kiedy pozwalała na to nawet Iwonie, a jeśli już, to kilka minut później sama je zamykała.

– Może chciała kogoś zawołać? – zapytała Iwona lekarza, a może samą siebie. – Zdarzało się, że traciła kontakt z rzeczywistością.

– To prawda, miewała chwile splątania – potwierdził Marczak, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem. Skrępowanie minęło, poczuł się pewniej i Iwona to widziała. – Jest jednak jeszcze jedna możliwość.

– Jaka?

– Że to nie był wypadek.

Otworzyła szeroko oczy.

– Chce pan powiedzieć, że popełniła samobójstwo?

– Tak.

Ani przez chwilę nie podejrzewała, że ktoś matce pomógł wypaść i w grę może wchodzić zabójstwo, choć prokurator musiał brać to pod uwagę. A teraz nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jeśli prokurator stwierdzi brak udziału osób trzecich, to i tak nigdy się nie dowiemy, czy zrobiła to świadomie, czy nie. – Marczak tylko

zwerbalizował to, co jej samej chodziło po głowie.

– Wiem – powiedziała nieswoim głosem, wstała i opuściła gabinet, nawet nie żegnając się z lekarzem.

Kiedy na zewnątrz budynku szła chodnikiem wzdłuż niego, na betonowej opasce przy ścianie zauważyła kilka niewielkich plam jasnoczerwonej krwi. Nie odważyła się spojrzeć w górę, na okno, z którego skoczyła matka, tylko przyśpieszyła kroku. Znalazła swoje auto na parkingu i pojechała od razu do mieszkania matki, żeby zająć czymś ręce i głowę. Po drodze włączyła radio, czego praktycznie nigdy w aucie nie robiła, i trafiła na wiadomości Radia Szczecin. Spiker poważnym tonem informował właśnie o tajemniczej śmierci pacjentki w jednym ze szczecińskich szpitali, więc wyłączyła je i z wściekłością walnęła pięścią w panel deski rozdzielczej.

Gdy zaparkowała w pobliżu kamienicy na Jana Pawła i wysiadła z samochodu, przez chwilę przeszło jej przez myśl, żeby zawiadomić sąsiadów, nawet Kaliszczakową, ale po chwili zrezygnowała. Miała to gdzieś. Weszła do bramy, potem na piętro, otworzyła drzwi swoimi kluczami, weszła do środka, zamknęła je i oparła się o nie plecami i głową. Oddychała głęboko z zaciśniętymi mocno powiekami, a potem uniosła je i popatrzyła w głąb mieszkania. Pustego jak jej. Oderwała się od drzwi i przeszła się po pokojach, a w głowie przemykały jej obrazy spędzonej w nim części życia. Oglądała wiszące na ścianach obrazy, książki na półkach, durnostojki i bibeloty poustawiane za szkłem na regałach mebli, które pamiętały jej dzieciństwo. Pomyślała, że będzie musiała zamówić kontener, żeby to wszystko wyrzucić, a potem przejrzeć papiery matki, których część pewnie też wyląduje na śmietniku.

Wyszła na balkon i rozejrzała się, obejmując wzrokiem budynek urzędu miejskiego, przeciwległą pierzeję i perspektywę szerokiej alei, aż do placu Grunwaldzkiego. Pomyślała głupio, że swoją śmiercią matka wyświadczyła jej przysługę. Po raz pierwszy w życiu. Jeśli w papierach nie znajdzie testamentu, w którym matka zapisała mieszkanie kościołowi albo komukolwiek innemu, tylko nie jej, to była jedyną spadkobierczynią. A nawet jeśli znajdzie, to będzie jedyną poza matką osobą, która go widziała, i gdy już załatwi sprawy formalne, może to mieszkanie wynająć lub sprzedać i kupić mniejsze, które też komuś wynajmie, a za resztę pożyje jakiś czas lepiej niż do tej pory. Lokalizacja należała do jednych z najlepszych w Szczecinie, ceny nieruchomości były kuriozalnie wysokie,

popyt na lokale mieszkalne do wynajęcia też chyba nigdy nie był wyższy. I była pewna jednego: bez względu na to, jak bardzo źle by było, nigdy nie zdecyduje się tu zamieszkać.

Wróciła do środka, ze szczytu regału zdjęła wielkie pudło po odkurzaczu i zaczęła pakować do niego zakurzone wazoniki i inne pierdolety, żeby chociaż zacząć i mieć poczucie, że robi wreszcie coś dla siebie. Nie traktowała ich jak pamiątek po matce, bo nie chciała o niej pamiętać, a tylko pozbyć się niepotrzebnych śmieci. I nieważne, co ktoś sobie o tym pomyśli, zwłaszcza że nie było nikogo, kto mógłby to zrobić. Może Kaliszczakowa i inni sąsiedzi, kiedy zobaczą te rzeczy w śmietniku, ale oczywiście to też Iwona miała gdzieś.

Wyrzucając pół godziny później zawartość pudła do wielkiego pojemnika na odpady z tyłu kamienicy, przez jedną, krótką i bolesną chwilę miała wrażenie, jak gdyby wypieprzała na śmietnik czyjeś życie i pomyślała niewesoło, że kiedyś ktoś zrobi dokładnie to samo z jej życiem.

I kto wie, może to nie była nawet kwestia aż tak odległej przyszłości, jak jej się jeszcze kilka miesięcy temu wydawało.

ANETA KOŁODYŃSKA

W oczekiwaniu na dzień pogrzebu Iwona musiała się czymś zająć. A najlepiej wrócić do tego, co robiła przez ostatnie dni przed śmiercią matki. Skupiając się na tym, chciała przestać myśleć choć o jednym nieszczęściu ze wszystkich, które zwaliły się na nią w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Miała dość, ale tak naprawdę dość: każda komórka jej ciała błagała, żeby zostawiła to wszystko za sobą, wyjechała dokądkolwiek i zaczęła nowe życie z dala od szamba, w którym dziś tkwiła.

Zastanawiała się, ile jeszcze da radę. A potem przestała się zastanawiać i skupiła na pracy.

Nie miała wielkiej wiedzy psychologicznej o zwyrodnialcach, na kryminologii znała się tyle, ile musiała i na ile miała okazję się z nią zaznajomić na studiach w Szczytnie czy w pracy. Nie miała złudzeń, że żaden z niej detektyw czy specjalista. Jeszcze do niedawna była trybikiem w machinie, wykonywała zadania, zawsze w ten sam sposób, rozwijała się wyłącznie w tych aspektach, które uważała za interesujące bądź przydatne: samoobrona i reakcja na bezpośrednie zagrożenie. Reszta była w zasadzie trwaniem do emerytury, choć nie bardzo wyobrażała sobie, co miałaby na niej robić jako wciąż jeszcze młoda kobieta. Teraz, jakkolwiek głupio to brzmiało, była jednoosobowym zespołem, w którym odpowiadała za wszystko. Miała spore uprawnienia i swobodę, nie musiała rozliczać kilometrówek, wypełniać kwitów, miała tylko zrealizować cel. Znaleźć Matta i powstrzymać go przed wymierzaniem sprawiedliwości na własną rękę.

Ale w związku z tym narastały wątpliwości i pojawiały się pytania. Jak to o początek. Nie historii Matta i Krzyśka, ani nawet Klubu 526, tylko o początek procesu, którego efektem było popełnienie wynaturzonej zbrodni mającej zaspokoić chuć. Jak to się działo i dlaczego? Teoria teorią, próby odpowiedzi na to pytanie były tylko próbami, a samo pytanie pojawiało się wciąż na nowo za każdym razem, kiedy na światło dzienne wychodziły kolejne takie przypadki. A przecież nie wszystkie wychodziły.

Giluk wciąż nie wiedział, po co Iwonie informacje, które na jej prośbę zdobywał w trybie natychmiastowym. Nie pytał też o to, po prostu sprawdzał i je zdobywał. I dlatego informację o tożsamości i miejscu zameldowania Anety Kołodyńskiej, byłej żony Golczewskiego i matki Chyły, Iwona dostała praktycznie od razu. To było wygodne, no i szybkie, a o czas przecież chodziło, bo ten liczył się najbardziej.

Kobieta mieszkała w Wilkasach, a właściwie w okolicy miasteczka, w niewielkim domu z drewnianych bali nad jeziorem Niegocin na Mazurach, i Iwona od razu tam pojechała. Kiedy Kołodyńska otworzyła Iwonie drzwi, ta zobaczyła wysoką, tlenioną blondynkę w wieku około sześćdziesięciu lat. Miała mocny makijaż pokrywający zmarszczki, choć widać było też, że ma za sobą kilka operacji plastycznych. Pewnych rzeczy nie dało się ukryć: skóra na jej dekolcie, opalona na brąz, pokryta była przebarwieniami, które nie wyglądały na efekt uczulenia na słońce czy pamiątkę po trądziku. Reminiscencje dawnej urody i atrakcyjności widać było jednak w intensywnie niebieskich oczach i dystyngowanych ruchach. Ubrana w turkusową, mieniącą się suknię niepasującą do domku w lesie, nawet jeśli był willą, Kołodyńska przypominała odrobinę Cristal Carrington z *Dynastii.* Była za to zupełnie inna niż Kordula, choć w podobnej sytuacji. Ile jeszcze takich kobiet, wdów będzie musiała odwiedzić, zanim dopadnie Grzelińskiego?

– Słucham panią? – Chłodnym i wyniosłym tonem sprawiła odpychające wrażenie, choć Iwona nie wiedziała, czy Kołodyńska taka jest, czy to kwestia okoliczności i niedawnych zdarzeń.

Miała się o tym zaraz przekonać.

– Iwona Banach, Centralne Biuro Śledcze Policji, dzień dobry.

– Już nie dobry – stwierdziła kobieta, nie drgnąwszy nawet o milimetr.

– Pani Aneta Kołodyńska, prawda?

– Tak. Czyżby pojawiły się jakieś nowe informacje w sprawie śmierci mojego byłego męża? I syna?

Pytanie zadane było beznamiętnym tonem. Brak troski o byłego męża Iwona mogła jeszcze zrozumieć, o syna już mniej. Była w końcu matką. Poza tym tak naprawdę padły niejako dwa oddzielne pytania. Jedno o męża, drugie o syna. I to też o czymś świadczyło. Kiedy Iwona dodała sobie dwa do dwóch, wiedziała już, że być może uzyska odpowiedzi na choć część nurtujących ją pytań.

– Mogę wejść? – zapytała obojętnie Kołodyńską.

– Proszę. – Tym razem kobieta się odsunęła, wpuszczając Iwonę do środka.

Dom był połączeniem stylu rustykalnego z rezydencjonalnym, jakby projektant wnętrz, a może sama gospodyni nie mogli się zdecydować, czy ma być wiejską ostoją, czy rezydencją za miastem. Część drewnianych ścian zasłonięta była regipsami pokrytymi udającymi marmury stiukami, na meblach powystawiane były bibeloty kupowane zapewne w eleganckich butikach za grube pieniądze. Na podłodze leżała krowia skóra, a na ścianie wisiał pięćdziesięciopięciocalowy telewizor.

– Wody?

Nie: „czy napije się pani wody?", tylko „wody?". Iwona pokręciła głową, rozglądając się po wnętrzu domu. Przez wielkie okno widać było ogród, kawałek rzadkiego lasu i prześwitującą między pniami sosen jasną taflę jeziora migoczącą w promieniach jesiennego słońca. Nie czekając na zaproszenie, Iwona usiadła w fotelu i spojrzała na Kołodyńską wyczekująco. Nagle do salonu wszedł jakiś mężczyzna. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był ładnie zbudowany, ale miał dość pospolitą twarz. W oczach Iwona dostrzegła pustkę charakterystyczną dla osób, które nie zastanawiają się zbyt wiele nad światem, życiem i samym sobą.

– Idź do ogrodu, porób coś – poleciła Kołodyńska, nie patrząc na niego.

Na Iwonę też nie. Kiedy mężczyzna zniknął, mruknęła tylko gdzieś w przestrzeń przed sobą „to mój człowiek od wszystkiego, miejscowy" i wzruszyła ramionami, kończąc temat. Iwona nie dopytywała. Nie interesowało jej to.

– No więc słucham. – Gospodyni usiadła w drugim fotelu i kiedy założyła nogę na nogę, z rozcięcia sukni wyłoniła się śniada łydka i fragment uda. Iwona musiała przyznać, że nogi ma zgrabne. Człowiek od wszystkiego musiał mieć sporo frajdy, patrząc na nie, kiedy obejmowały jego biodra.

– Chciałam zadać pani parę pytań o… Golczewskiego i Chyłę. – „Panów" nie przeszło jej przez gardło.

Kołodyńska sięgnęła po leżącą na stoliku z marmurowym blatem paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Już wszystko powiedziałam pani kolegom.

– Nie wszystko.

Kobieta włożyła cienkiego papierosa między napompowane kwasem hialuronowym wargi, zapaliła go i wydmuchnęła dym kącikiem ust, zezując na Iwonę.

– Odpowiedziałam na każde pytanie, które mi zadali – poinformowała ją sucho. – Tylko musi pani być świadoma, że jako była żona, a rozwód nastąpił dość dawno temu, nie wiedziałam wiele o interesach syna i męża. A tak naprawdę to nic. To się tyczy również ich znajomych oraz każdego innego aspektu ich życia. – Wyglądała na zadowoloną z siebie i z faktu udzielenia wyczerpującej odpowiedzi.

Iwona uśmiechnęła się lekko.

– Ja chcę pani zadać inne pytania. Nie będą dotyczyć ani ich interesów, ani ich znajomych.

W oczach Kołodyńskiej coś mignęło.

– Mianowicie? – wycedziła.

– Pani wiedziała, prawda? – Iwona patrzyła jej prosto w oczy.

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Głos kobiety brzmiał jak skrzek.

Sięgnęła ręką z dopiero co zapalonym papierosem do popielniczki i zdusiła go w niej nerwowymi ruchami.

– Dobrze pani wie, o czym mówię.

– Co to ma do rzeczy? – Zaczęła chyba kapitulować, a Iwona zdawała sobie sprawę, że pomimo tego, co przed chwilą powiedziała, Kołodyńska nie wie jednak wszystkiego.

A przynajmniej miała taką nadzieję. Nie wyobrażała sobie, żeby znając taką prawdę o swoich bliskich, można było dalej normalnie funkcjonować, choć różne rzeczy się zdarzały: na przykład mężczyźni katujący swoje dzieci przy ich matkach, które nigdzie tego nie zgłaszały z różnych powodów, najczęściej ze strachu.

– Nie utrzymywała pani z nimi kontaktów, prawda? – zapytała.

– Nie. Oczekiwałam tylko przelewu co miesiąc, i to wszystko. – Kobieta wpatrywała się w widok za wielkim oknem, ale jej spojrzenie było szklane.

– Jaki był powód rozwodu z mężem?

Teraz spojrzała na Iwonę.

– Mam lepsze pytanie i od niego trzeba by było chyba zacząć: jaki był powód wyjścia za niego?

– Jaki?

Kołodyńska zastygła w bezruchu.

– Był dobrze zapowiadającym się prokuratorem. Z głową do interesów. Dobrze rokował jako mąż, ojciec przyszłych dzieci. Chłodny, opanowany, niezbyt wylewny, ale przystojny i szarmancki. To chyba kobietom w pewnym wieku wystarcza, prawda? Nie chcą więcej, przynajmniej nie w tamtej chwili, mają tylko nadzieję, że to „więcej" w przyszłości, najlepiej niezbyt odległej, nadejdzie. Mieszkanie, auto, dobrobyt. A potem rodzą się dzieci, albo i nie, pojawiają się te trzy rzeczy, o których wspomniałam przed chwilą, ale okazuje się, że człowiek, za którego wyszły, jest kimś zupełnie innym, niż im się zdawało.

– A kim był pani mąż?

– Skurwysynem. – Jej twarz była jak maska. – Zimnym, podłym skurwysynem. Wyrachowanym, skupionym na sobie i zaspokajaniu własnych potrzeb oraz na pracy i robieniu lewych interesów, za co w końcu zapłacił pobytem w więzieniu i utratą możliwości uprawiania zawodu. Oczywiście poradził sobie, bo gówno nigdy nie tonie, tylko czepia się okrętu i woła, że płynie, prawda? Dalej współpracował z kancelarią, której kiedyś był partnerem, zorganizował synowi wspólnika i pomógł im rozkręcić biznes. Sama pani wie, jaka jest konkurencja i co trzeba zrobić, żeby się przebić na rynku. A im się udało.

– Był także zboczeńcem, prawda?

Kołodyńska zgarbiła się lekko i pochyliła, jakby tym pytaniem Iwona zadała jej cios w splot słoneczny.

– Dlaczego pani porusza ten temat? – zapytała. – Co to ma wspólnego z ich…? – Zrobiła nieokreślony ruch wymanikiurowaną dłonią.

– A jeśli ma?

Kołodyńska zagryzła wargi, aż Iwonę zabolało od samego patrzenia. Oczami wyobraźni zobaczyła kwas wyciekający przez dziurki po zębach, tak mocno kobieta wbiła je sobie w usta.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych mąż jeździł służbowo do Wiednia. – Głos Kołodyńskiej był gardłowy i napięty do granic możliwości, a słowa zaczęły się wylewać z niej jak wezbrany potok z koryta, którego biegu Iwona nawet nie zamierzała powstrzymywać. – Był tam kilka razy, raz na kilka dni, innym razem na kilka miesięcy, spędzał tam sporo czasu. Przywoził różne rzeczy na handel, jako prezenty dla znajomych albo na przekupienie kogoś, kiedy musiał coś załatwić. I kiedyś znalazłam coś, co również stamtąd przywiózł… Kasetę VHS. Pamiętam do dziś okładkę z nagą dziewczyną

przywiązaną łańcuchami do słupa i otaczających ją nagich facetów w skórzanych maskach, którzy oddawali na nią mocz. Edition Privat, te nazwę też pamiętam, tak nazywała się firma, która je wypuszczała. I to, że zwymiotowałam, kiedy to zobaczyłam. Bo było tego więcej. Kiedy zapytałam męża o kasety, powiedział, że przywozi je dla kolegów i na handel. Tylko że zamiast znikać, tych kaset przybywało. Potem przestał się nawet kryć z tym, że sam to ogląda. Czułam do niego obrzydzenie, rozumie pani? Nigdy go nie kochałam, ale od tamtej pory zaczęłam go nienawidzić i brzydzić się nim. A potem… – Jej oczy zrobiły się nagle większe i przybrały odcień szmaragdu, kiedy pojawiły się w nich łzy. – Potem zaczął to oglądać Marcin. Znalazł te pieprzone kasety, miał wtedy jakieś trzynaście lat, przyłapałam go kiedyś, gdy wróciłam niespodziewanie wcześniej do domu, a jemu odwołali jakieś lekcje. Onanizował się, oglądając to. Nie widział mnie wtedy. Byłam roztrzęsiona, wieczorem rozmawiałam o tym z mężem, sugerowałam wizytę u lekarza, psychologa, a on… Nie widział w tym problemu, rozumie pani? Dla niego nie było żadnego problemu w tym, że jego trzynastoletni syn ogląda ostre porno, choć to nawet trudno było nazwać pornografią. To było chore, rozumie pani? Chore… Mąż wyśmiał mnie, nazwał głupią cipą, a kiedy naciskałam i próbowałam go przekonać, wściekł się i uderzył mnie kilka razy. I wtedy zaczęłam się go bać. A kiedy kilka miesięcy później zginął straszną śmiercią nasz kot, zaczęłam bać się również syna. Zaczęłam się bać wyrostka, którego sama urodziłam, który wyszedł spod mojego serca.

Iwonie wyschło w ustach. Bała się zapytać, ale Kołodyńska nawet nie czekała, aż to zrobi.

– Oszczędzę pani szczegółów, co ten mały gnój, który kiedyś był moim synem, zrobił Leonowi. Tak miał na imię kot. Mąż przeszedł nad tym do porządku dziennego, nazwał to polowaniem, twierdził, że samce polują i muszą znać zapach krwi. A Marcin… Kiedy tylko zorientował się, że ojciec stoi po jego stronie i że są tacy sami… – Jej podbródek zadrgał nagle kilka razy. – Kiedyś wrócił pijany do domu, miał szesnaście lat, chodził do elitarnego liceum… Męża wtedy nie było i kiedy zaczęłam na niego krzyczeć, złapał się za krocze, drugą ręką zrobił ruch podrzynania gardła i wypinając biodra w moją stronę, popatrzył na mnie tak, że prawie zemdlałam. Zamknęłam się w pokoju i modliłam, ściskając w ręku nożyczki, żeby po prostu zasnął u siebie w pokoju, a najlepiej udławił

własnymi rzygami i przestał istnieć. Takie myśli przechodziły mi przez głowę. Matka myślała tak o własnym synu, rozumie to pani? Tylko że to już nie był mój syn. To diabeł. Urodziłam diabła, jego ojcem też był diabeł, a ja żyłam w piekle.

– Co pani zrobiła?

Kołodyńska wzruszyła ramionami i sięgnęła po kolejnego papierosa. Jego zapalanie było czasem, jaki dała sobie na sformułowanie odpowiedzi. A może bardziej na to, żeby odważyć się ją wyartykułować.

– Uciekłam. – Popatrzyła w górę i wydmuchnęła dym, śledząc jego błękitne nitki biegnące ku sufitowi. – W końcu uciekłam. Kilka lat zajęło mi wyswobodzenie się z tego, ale wreszcie uciekłam, bo nie miałam innego wyjścia. Ale najpierw postarałam się do tej ucieczki przygotować oraz zabezpieczyć na przyszłość.

– W jaki sposób?

– Wynajęłam w tajemnicy prywatnego detektywa, który poradził mi, jak wszystko zorganizować. – Głos nabrał mocy, jakby Kołodyńska poczuła się pewniej. – Miał odpowiedni sprzęt jak ze szpiegowskich filmów, połaził też za moim byłym mężem. Nagrałam syna, który urządził sobie sesję z kasetami podczas naszej nieobecności, robiąc przy tym różne obrzydliwe rzeczy. Detektyw wykonał swoje zadanie, jeśli chodzi o męża, to też było nieprawdopodobnie obrzydliwie, chociaż zdążyłam się do tego trochę przyzwyczaić. – Wzruszyła ramionami, choć jej mina świadczyła o tym, że mimo upływu lat te wspomnienia wciąż są bolesne. – Wszystkie materiały filmowe i fotograficzne złożyłam u dwóch prawników w innych, odległych miastach, a potem poinformowałam męża i syna o odejściu na swoich warunkach. Ich miny były jak miód na moje serce, choć to była łyżka miodu w beczce dziegciu. Powiedziałam im, że nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. To już był czas, kiedy ferma zaczęła przynosić ogromne zyski. Zażyczyłam sobie odpowiednią kwotę co miesiąc do końca życia, dom na Mazurach, w którym pani właśnie jest, i zasugerowałam, żeby nie wpadł im do głów głupi pomysł usunięcia mnie. Moje zniknięcie na czas dłuższy niż miesiąc miało skutkować ujawnieniem nagrań, a niech mi pani wierzy, mężowi za to, co zrobił, groziłoby więzienie. I nie wyłgałby się paroma latami jak za te wcześniejsze przekręty.

Iwona mogła się domyślać, o co chodziło Kołodyńskiej.

– Przeprowadziliśmy rozwód bez orzekania o winie, nie chciałam nawet połowy tego parszywego majątku, a tylko zabezpieczenia. Wróciłam do panieńskiego nazwiska i wyprowadziłam się z Warszawy tutaj. Ubiłam interes, powiedzmy to sobie wprost. I tak, zdaję sobie sprawę, że nie zgłosiłam przestępstwa, bo ta dziewczyna na filmie, który nagrał detektyw, miała na oko jakieś trzynaście lat. Mam tylko nadzieję, że wyszła jakoś z tego, choć wolałam się nie zastanawiać, co się z nią teraz dzieje, przyznaję to szczerze i sama nie wiem, dlaczego mówię to obcej osobie, w dodatku policjantce, skoro nie chciałam mówić o tym nawet sobie przez te wszystkie lata. – Po jej policzkach spłynęły łzy, ale głos pozostał twardy i gorzki, tylko ręka z papierosem kreśliła krzywe linie, a smuga dymu podążała w ślad za nią. – Nie jestem niczemu winna. Zostałam oszukana, zdradzona i musiałam sobie jakoś radzić. Tak, żyje mi się tu cudownie. Spokojnie i cicho. Piszę książki, romanse, których nigdy nie wydam, które drukuję na zwykłej drukarce i które czytają okoliczne gospodynie domowe i wczasowiczki. Mam piękny ogród, wspaniałą okolicę do spacerów i tak naprawdę niewielkie potrzeby. Te finansowe całkowicie zaspokaja mój były mąż, a seksualne ten facet z wielkim kutasem i małym mózgiem, którego pani widziała. I więcej mi nie trzeba. Raz na jakiś czas jadę do Warszawy do teatru, restauracji albo na zakupy, spotykam się z przyjaciółkami na kawie, a potem tu wracam, nie oczekując od życia niczego ponad to. I powiem tak: należy mi się. Kurwa, należy mi się za to wszystko, co wycierpiałam przez te lata, żyjąc pod jednym dachem z tymi potworami, znosząc tortury psychiczne i patrząc, jak jeden diabeł lepi drugiego na swoje podobieństwo, a ja nic nie mogłam zrobić.

– Nic? – nie wytrzymała Iwona. – Naprawdę nic?

Kołodyńska zaciągnęła się papierosem. Głęboko.

– Wiele razy zadawałam sobie to pytanie, wie pani? – Wydmuchnęła dym przed siebie. – Czy mogłam cokolwiek zrobić. I nigdy nie znalazłam na nie odpowiedzi. Teraz ją znam. Nic nie mogłam, proszę pani. Niczego nie byłam w stanie zrobić, bo drżałam o własne życie. Kobiet, które boją się własnego męża i zdają sobie sprawę z tego, że mogą zostać przez niego skrzywdzone, są tysiące na tym świecie. A może nawet miliony. A ile jest takich, którym zagraża nie tylko mąż, ale i własne dziecko? Jak żyć z czymś takim? Przez te lata wspólnego życia przychodziły mi do głowy różne myśli. Zabić ich? Poszłabym siedzieć. Zabić siebie? Za co, skoro niczemu nie byłam winna?

Zrobiłam więc to, co mogłam. Uciekłam. Na własnych warunkach, ale uciekłam, bo to jedyne, na co było mnie stać. Po prostu.

– Rozumiem, że teraz dziedziczy pani wszystko?

Kołodyńska spojrzała na nią i Iwona widziała w jej oczach, że nie traktuje tego pytania w kategoriach insynuacji. „Ten uczynił, czyja korzyść", to było oczywiste, a Kołodyńska była w końcu żoną prawnika, ale intencją Iwony nie było absolutnie sugerowanie jej, że tak uważa.

– Gdybym miała ich zabić albo zlecić to komuś, zrobiłabym to dwadzieścia lat temu – powiedziała spokojnie. – Teraz to nie miało sensu. A odpowiadając na pani pytanie: jeśli nie wykręcili mi żadnego brzydkiego numeru, to tak, dziedziczę wszystko – odparła spokojnie. – Wiem, że było ich na to stać, żeby chcieć mnie udupić, ale byli też bardzo pewni siebie, nie zakładali porażki, choć i tak ledwie przełknęli mnie, planowali długą karierę w biznesie, więc mam nadzieję, że po prostu zajdzie tu normalne, ustawowe dziedziczenie. Na kościół na pewno tego nie zapisali.

– To prawda, byli bardzo pewni siebie. – Iwona popatrzyła na swoje kolana i machinalnie je pogładziła.

Kołodyńska wbiła w nią wzrok, a papieros wylądował w popielniczce.

– Teraz ja mam pytanie do pani. – Głos kobiety był napięty. – Skąd pani wie o moim byłym mężu i synu? Pani od początku wiedziała, kim byli, kim NAPRAWDĘ byli. Skąd?

Iwona wstała z fotela, starając się nie nadepnąć na leżącą na podłodze łaciatą skórę.

– Czy pani w czymś pomoże, jeśli odpowiem na to pytanie? – Rozejrzała się jeszcze po wnętrzu: przez okno widziała człowieka od wszystkiego, który niespiesznie grabił liście na trawniku. – Niech pani o tym zapomni. Odetnie się od tego, bo wreszcie przyszedł na to czas. Niech się pani cieszy tym, co ma. Teraz może pani wszystko, no, prawie wszystko.

Kołodyńska westchnęła.

– Przede mną długa droga, rozmowy z Roszakiem, którego nigdy nie lubiłam, bo musimy się ułożyć. Nie wiem jeszcze, czy sprzedać mu swój udział, czy się bawić w zarządzanie, na przykład z nudów. Albo żeby dla satysfakcji pogrążyć tę firmę jako dziedzictwo tych zwyrodnialców, bo i takie myśli, szczerze mówiąc, przychodziły mi do głowy. W każdym razie dużo pracy i czasu to zajmie, wie pani: prawnicy, sądy i tak dalej. Nie wiem, czy mam na to siły, choć pewnie je w sobie znajdę. A jeśli chodzi o tych

dwóch… Może nie powinnam tego mówić, ale mam nadzieję, że obaj spalili się żywcem – rzekła mściwie i dodała po chwili: – I że trwało to bardzo długo, a ci, którzy zginęli z nimi, też na to zasłużyli.

Iwona czuła, że poza upustem emocji to także próba wyciągnięcia z niej jakichś szczegółów. Poczuła lekką sympatię do tej kobiety, a może raczej współczucie, choć nieznacznie zabarwione goryczą. Z ocenami postępowania innych ludzi skończyła jednak już dawno temu. Łatwo się to robiło ze swojej perspektywy, z dystansu i na chłodno, wmawiając sobie, że samemu postąpiłoby się w danej sytuacji inaczej, lepiej.

– Nie mogę udzielać żadnych informacji. Może się pani kontaktować z prowadzącym sprawę prokuratorem, on udzieli ich pani tyle, ile uzna za stosowne dla dobra śledztwa. I dziękuję za szczerą rozmowę, naprawdę to doceniam.

Kołodyńska patrzyła na nią w zamyśleniu.

– Do tej pory myślałam, że jestem jedyną osobą, która znała ich z tej strony. Z tej prawdziwej. Teraz wiem, że jednak nie, i to jest trochę dziwne uczucie.

Iwona nie zapytała, co ma dokładnie na myśli, mówiąc o dziwnym uczuciu. Stojąc już w drzwiach wyjściowych i żegnana przez gospodynię raczej chłodno, pomyślała tylko, że takich osób było jednak niestety całkiem sporo, ale dla znacznej większości poznanie prawdziwej twarzy dwójki zwyrodnialców skończyło się śmiercią.

Z domu nad jeziorem wyszła brudna i skalana. Tak się właśnie czuła. Jeżeli przed przyjazdem tutaj sądziła, że ta wizyta rozjaśni jej nieco w głowie, jeśli chodzi o zrozumienie, jak człowiek staje się potworem, to teraz wiedziała, że się myliła. Jadąc tu, nie nastawiała się na nowe, istotne informacje o tych ludziach, które mogłyby pomóc w dopadnięciu Matta, bo jedno z drugim nie miało już związku. Chodziło o zrozumienie. Czy zrozumiała? Nie była pewna.

Twierdzenie, że to wszystko jest winą wyuzdanej pornografii, byłoby uproszczeniem, bo i w ojcu, i w synu musiał po prostu tkwić gen zła, ten uszkodzony chromosom, przypadkowy błąd w zapisie sekwencji białek skutkujący chorobą. Stworzyli tylko wewnętrzny, rodzinny krąg zbrodni, z którego uczynili też narzędzie zysku. Mieli możliwości, pieniądze i siebie.

Iwona stwierdziła również, że myliła się, wchodząc do tego domu i przyrównując Kołodyńską do wdów po ofiarach Matta. Kołodyńska nie

była w podobnej sytuacji jak Kordulowa czy pozostałe kobiety. Była w o wiele gorszej. Tamte przynajmniej nie znały mrocznej strony swoich mężów, choć do niektórych mogło to zaczynać docierać, jak chociażby do Korduli. Może jako wieloletnie żony żyły jakimiś złudzeniami, w sieci pozorów, tolerowały kochanki albo przelotne romanse, ale przynajmniej nie wiedziały o tych najgorszych rzeczach.

A Matt miał rację. Może nie całkowicie, ale przynajmniej częściowo. Zabicie Chyły i Golczewskiego nie było zemstą, co mu zarzucała tamtej nocy w willi na Śmiałej, kiedy widzieli się drugi i ostatni raz. Było eliminacją zła. Przerwaniem łańcucha, bo kto wie: choć było to mało prawdopodobne, to Chyła mógł mieć kiedyś syna, któremu wpoiłby te same zasady, czyli brak zasad. A ona temu zapobiegła, ładując w niego całą zawartość magazynka pistoletu Kury.

Iwona minęła swój samochód, przeszła jeszcze kilkadziesiąt metrów, potem skręciła w las i chwilę później stała nad brzegiem jeziora, wpatrując się w jego przeciwległy brzeg. Powierzchnia wody skrzyła się w słońcu, wiatr szumiał cicho w koronach sosen rosnących za jej plecami, a ona wdychała nosem czyste powietrze, obejmując się wpół ramionami.

Zamknęła oczy i uniosła twarz ku słońcu, czując na policzkach i czole ciepło jego promieni. Chciałaby tak stać i stać, ale była świadoma, że musi wracać do roboty.

EWELINA RZECHULAK

Następnego dnia rano zadzwonił Bruś z informacją, że przedwczoraj zgłoszone zostało zaginięcie potentata branży budowlanej Bogusława Rzechulaka. Rzechulak był właścicielem sieci składów budowlanych zlokalizowanych w całej Wielkopolsce. Zaginięcie zgłosiła żona i Iwona absolutnie nie dziwiła się Brusiowi, że połączył to zaginięcie ze sprawą Klubu. Dla niej to też było może nie oczywiste, ale bardzo prawdopodobne, więc natychmiast wsiadła w samochód i pojechała do Poznania, gdzie Rzechulak mieszkał. Chciała załatwić to jak najszybciej, bo następnego dnia miał się odbyć pogrzeb matki.

Jadąc drogą ekspresową na Gorzów, zastanawiała się, czy Matt maczał w tym palce. Do tej pory nie przejmował się okolicznościami: likwidował swoje cele niemal na oczach ludzi, a tu nagle jeden z nich porwał? Po co? Pomęczyć go? Wyciągnąć jakieś informacje? To nie pasowało do schematu, ale Iwona zdążyła poznać Grzelińskiego na tyle, by wiedzieć, że on i schemat to dwie kompletnie różne sprawy. Absolutnie nie postępował schematycznie i to mogło sugerować, że to jego robota. Pewnie, że zaginięcie biznesmena mogło nie mieć nic wspólnego z Mattem, ale Iwona musiała to sprawdzić na miejscu. Znów macała na ślepo, ale niczego innego nie mogła się chwycić. To całe jeżdżenie po Polsce zaczynało ją kurewsko męczyć, przestała już nawet liczyć kilometry. Rozliczała się z każdego przed Brusiem, ale żeby chociaż były tego jeszcze jakieś efekty…

Dom Rzechulaków znajdował się w Morasku, na peryferiach Poznania, na słabo zurbanizowanym terenie, pośród pól uprawnych i niewielkich, rzadkich zagajników. Kiedy Iwona wysiadała z samochodu, uderzyła ją cisza. Dochodzącego ją z oddali ledwo słyszalnego śpiewu ptaków nie można było nazwać hałasem, nie słychać było szumu samochodów, gwaru ludzkich rozmów i tego wszystkiego, co otacza człowieka w mieście. Pomyślała, że zaszyłaby się gdzieś w podobnym miejscu. Może nawet skoczyła do Górkówki, skoro i tak jeździła praktycznie po całym kraju. Czasem miała wrażenie, że stapia się w jedno z fotelem swojego beetle'a, w niego lejąc paliwo, a w siebie kawę zagryzaną hot dogami na kolejnych stacjach

benzynowych, których zaliczyła już chyba więcej niż niejeden zawodowy kierowca.

Podeszła do drzwi eleganckiego domu, tak innego od tych wszystkich, w których była w ciągu ostatnich kilku czy kilkunastu dni. Nowoczesny, bez ozdobników, po prostu ciemny prostopadłościan nakryty prostym namiotem dachu, bez okapu i widocznego systemu odwodnienia, o ścianach z wielkimi oknami. Zwróciła uwagę na dyskretne kamery monitoringu w narożnikach. Panel domofonu z fioletowym oczkiem kolejnej kamery wyglądał jak centrum sterowania jakiejś skomplikowanej maszyny, więc Iwona wcisnęła największy klawisz, odwróciła się plecami do drzwi i zastygła w oczekiwaniu na odzew, wpatrując się w horyzont.

Od kontemplacji widoków oderwał ją odgłos otwieranych drzwi. Kobieta, która za nimi stała, obrzuciła Iwonę zdziwionym i nieco spłoszonym spojrzeniem, a ona pomyślała, że to kolejny dom, kolejni drzwi i kolejna osoba, która je przed nią otwiera. Domy, drzwi i twarze zaczęły już się Iwonie zlewać, tyle ich było.

– Komisarz Iwona Banach, Centralne Biuro Śledcze Policji – wyszczekała formułkę obojętnym tonem. – Ewelina Rzechulak?

– Pani w sprawie męża? – zapytała kobieta zalęknionym tonem, garbiąc się lekko i chowając za drzwi.

Iwona odruchowo spojrzała na jej ręce, w polu widzenia miała obie, nie tak jak w Łodzi, przed pierwszymi drzwiami, od których wszystko się zaczęło. Człowiek jednak uczy się na błędach. Szkoda tylko, że czasem ta nauka jest bolesna i rujnuje życie.

– Tak – odparła. – Mogę wejść?

– Oczywiście, zapraszam. – Rzechulakowa chrząknęła i odsunęła się w głąb domu.

Zaprowadziła Iwonę do wielkiego salonu, który nie miał stropu, tylko sięgał przez dwie kondygnacje do skosu połaci dachu. Wystrój wnętrza był oszczędny i utrzymany w ciemnych barwach, nie było wielu mebli. Jednym z nich była ogromna, niska kanapa. Nad nią, na długich linkach zwisała lampa w industrialnym stylu, a na kanapie siedział jakiś nastolatek z telefonem w ręku. Miał na głowie afro, a na nogach wielkie, białe sportowe buty z wywalonymi językami i bez sznurówek. Iwona popatrzyła na niego, a potem na Rzechulakową, ale to spojrzenie było znaczące.

– Daniel, idź proszę do siebie, dobrze? – poprosiła go niepewnie gospodyni. – Chcę porozmawiać z panią.

Chłopak, nie odrywając oczu od telefonu, wstał i bez słowa skierował się w stronę ciemnego korytarza.

– Syn – wyjaśniła Iwonie, kiedy w nim zniknął.

Skinęła w milczeniu głową, mogła się tego domyślić. Był zresztą podobny do ojca, którego zdjęcie znalazła w sieci.

– Czy są jakieś nowe informacje o moim mężu? – Siadając na wysokim krześle przy barku oddzielającym przestrzeń kuchni od salonu, Rzechulakowa patrzyła na Iwonę z nadzieją w oczach.

Iwona, zajmując krzesło obok, nie wiedziała za bardzo, co powiedzieć. Nie miała pojęcia, na jakim etapie są poszukiwania, jeśli w ogóle na jakimś były. Od zniknięcia Rzechulaka minęło niewiele czasu, podejrzewała, że zgłoszenie przyjęto wyłącznie dlatego, że wiele znaczył. Nikt przecież nie zdawał sobie sprawy, że biznesmen prawdopodobnie miał powody do zniknięcia, o czym Iwona chciała się zaraz przekonać. Ale wiedziała też, że nawet jeśli otrzyma odpowiedź na nurtujące ją pytanie, to i tak będzie ona niepełna. Zniknął sam czy ktoś mu pomógł, na przykład Matt?

– Nie przynoszę pani żadnych wieści, jeśli o to chodzi – powiedziała ostrożnie. – W zasadzie jestem tu po to, że zdobyć trochę więcej informacji o jego życiu.

– Nie rozumiem, wypytano mnie już chyba o wszystko.

– O wszystko na pewno nie. – Uśmiechnęła się lekko, ale nie po to, żeby dodać kobiecie otuchy, tylko po to, żeby wzbudzić w niej zaufanie. – I mam nadzieję, że zadam pani pytania, który których do tej pory pani nie zadano.

– Dobrze, proszę pytać. – Usadowiła się wygodniej na krześle i złożyła ręce.

Wyglądała jak aplikująca o pracę bezrobotna, szykująca się na ciężką przeprawę z komisją kwalifikacyjną. Siedziały bokiem do blatu, jak koleżanki, które spotkały się w barze na pogaduchach. Nie było tylko drinków, bo Rzechulakowa nie zaproponowała Iwonie niczego do picia.

– Czy pani mąż ostatnio zachowywał się jakoś inaczej niż zwykle, jakby się czegoś obawiał? – Iwona miała stały zestaw pytań, zmieniała się tylko kolejność, która miała drugorzędne znaczenie.

– Czy ja wiem? – Kobieta rozejrzała się po salonie, jakby szukała w nim odpowiedzi albo natchnienia. – Wie pani, mąż rzadko bywał w domu,

jednak prowadzenie takiej firmy wymaga dużego zaangażowania, a kiedy wracał, chciał już tylko odpocząć, choć często musiał jeszcze coś załatwiać.

Słowa wylewały się z jej ust nieprzerwanym strumieniem, a Iwona zastanawiała się, czy nie jest to klasyczny przykład ukrywania przed samą sobą i wszystkimi naokoło bolesnej świadomości faktycznego rozpadu rodziny. Nie miała wątpliwości, że Rzechulak musiał dużo, a nawet za dużo pracować kosztem żony i syna, ale wszystko zawsze można sobie jakoś poukładać. Chcieć, to móc. Była pewna, że gdyby zaczęła zadawać bardziej szczegółowe pytania dotyczące rodziny Rzechulaków, obraz uzyskany dzięki odpowiedziom byłby smutny. Podobnie jak w przypadku Kołodyńskiej czy Korduli. Ten schemat powtarzał się zatrważająco często i dotyczył nie tylko bogatych ludzi. Dotyczył po prostu ludzi.

– Myśli pani, że mu grożono, a on mi o tym nie powiedział, żeby mnie nie martwić, albo się wręcz tym nie przejął? I został porwany? – zapytała Rzechulak, a oczy mało nie wyszły jej z orbit.

Tworzenie teorii, które mogły być prawdopodobne, ale nie musiały, było próbą racjonalizacji tego, co się stało, bo najgorsze jest nieznane. Iwona to wiedziała. A jej rozmówczyni właśnie to robiła.

– Oczywiście, że porwanie to pierwsza rzecz, jaka każdemu przyjdzie do głowy – powiedziała spokojnie Iwona. – Ale od jego zniknięcia minęło już kilka dni. Gdyby chodziło o okup, już ktoś by się zgłosił.

– Policjanci mówili, że mógł zostać… – Rzechulak urwała, jakby to słowo nie mogło jej przejść przez gardło.

Kolejne teorie podsuwali ludzie naokoło. Jasne, że to było dość prawdopodobne i wszyscy musieli być tego świadomi, ale tylko od Rzechulakowej zależało, w co będzie wierzyć, a w co nie, a w zasadzie czy będzie się kurczowo trzymać nadziei, czy pogrąży się w czarnowidztwie.

– A nie sugerowali, że mógł zniknąć z własnej woli, po prostu się urwać, jak to czasem z facetami bywa? – zapytała Iwona.

Część zaginięć zgłaszanych przez bliskich jest efektem świadomych decyzji podejmowanych przez zaginionych z różnych powodów. Tak wynika ze statystyk. Te same statystyki twierdzą, że odnajduje się dziewięćdziesiąt osiem procent zaginionych, prawie jedna trzecia już w pierwszej dobie od zgłoszenia, a po drugiej dobie liczba ta dobija do ponad pięćdziesięciu procent. Ale statystyki to tylko liczby, a za każdym zaginięciem stoi czyjś dramat, tragedia albo zwykły przypadek.

Kobieta spojrzała na Iwonę żałośnie.

– Mówili, oczywiście, że mówili. Może i z facetami tak bywa, ale to by było ze strony Bogusia niepoważne. A on nie jest niepoważny. Nie zostawia się takiego interesu bez kontroli, chociażby bez dyspozycji. Nie znika się ot, tak, bez słowa wyjaśnienia. Ta firma to jego życie.

– Nie miał innego?

– Co pani ma na myśli?

– Żył tylko pracą?

– W zasadzie tak. Rzadko pozwalał sobie na wypady gdziekolwiek, bawił się głównie z partnerami biznesowymi albo innymi biznesmenami.

– Czy był wśród nich niejaki Marcin Chyła?

– Z jakiej jest branży?

Iwona nie sprostowała, że był, a nie: jest.

– Drobiarskiej.

– Ten hodowca kur spod Warszawy? – Rzechulak zmarszczyła brwi.

– Tak – odparła Iwona spokojnym tonem, bez śladu emocji w głosie.

– Kojarzę, że się znali, ale nie wiem jak dobrze.

– Jakub Gąsienica z Kościeliska? – rzuciła kolejnym nazwiskiem.

– Taak, z Kubą Boguś robił interesy! – Kobieta ożywiła się lekko.

Iwona w tym samym momencie stwierdziła, że w zasadzie mogłaby już sobie iść, nie zadając krępujących pytań o upodobania seksualne, a tym samym narażać się na oburzenie i groźby interwencji u przełożonych. Czerwona lampka w jej głowie świeciła mocno, a ona i tak chciała już wyjść.

Pomasowała sobie czoło, było bardzo ciepłe.

– Czy z domu zniknęły jakieś jego ubrania, mówię o ilości sugerującej dłuższy wyjazd? – zadała kolejne pytanie.

– Nie zauważyłam, i nawet to powiedziałam tamtym policjantom, bo też o to pytali.

Iwona przypomniała sobie, że kiedy zgłaszała zaginięcie Krzyśka, nikt nie wypytywał jej tak drobiazgowo o okoliczności zaginięcia partnera. Być może dlatego, że między nim a Rzechulakiem była spora różnica, jeśli chodzi o stan konta i krąg znajomych, a w zasadzie ich pozycję.

– Mógł mieć osobną garderobę na nagłe wyjazdy, na przykład w firmie, wielu ludzi tak robi – zwróciła uwagę.

Sama tak robiła, kiedy jeździła z Kurą. I tak też mógł zrobić Krzysiek.

– Mógł – przyznała cicho Rzechulak.

– Jego telefon i laptop? – spytała jeszcze Iwona.

– Prywatny telefon zniknął razem z nim, laptopa też nie ma. Nie da się zlokalizować sygnału. To też podobno może świadczyć o tym, że mężowi stało się coś złego.

– Może, ale nie musi. – Iwona nieświadomie ssała przez chwilę dolną wargę.

Dla niej wyglądało to na ewidentną ucieczkę. Prawdopodobny powód nasuwał się sam: wśród klientów Klubu 526 zaczęła rozchodzić się wieść o mścicielu eliminującym jego bywalców.

– A gdyby jednak z jakichś powodów mąż chciał zniknąć, zaszyć się gdzieś… – Zrobiła nieokreślony ruch ręką. – Przychodzą pani na myśl jakieś miejsca, w których mógłby przebywać?

Rzechulak wzruszyła bezradnie ramionami.

– Przykro mi, nie mam pojęcia. Mieliśmy kiedyś domek na Kaszubach, taki letniskowy, ale Boguś go sprzedał ze dwa lata temu, bo i tak brakowało nam czasu, żeby tam jeździć razem, mówiłam pani. A sama nie chciałam, bo nie lubię takiej dziczy, zresztą nie jeżdżę samochodem od czasu, kiedy potrąciłam na jezdni pijanego chłopaka.

– Gdzie dokładnie jest ten domek?

– Po co pani chce to wiedzieć? – zdziwiła się. – Mówiłam przecież, że mąż…

– Osoba, która go od niego kupiła – przerwała jej Iwona. – To też jest jakiś trop. Chwytamy się wszystkiego, pani Ewelino. – Specjalnie użyła imienia. – Naprawdę wszystkiego. Chyba zależy pani na odnalezieniu męża?

– Bartoszylas. – Jej głos odrobinę zmiękł. – Maleńka wieś w gminie Stara Kiszewa, ale te domki to taka kolonia małych działek w lesie, niektóre jeszcze są niezabudowane. Numer dziewięćdziesiąt siedem g.

Rzechulak mógł się zaszyć w jakimś hotelu w ustronnym miejscu, mógł skorzystać z gościny jakiegoś innego bogatego zboka, który też odwiedził Klub, mógł być wszędzie. Ale jakoś nie uwierzyła, że gość, który ma forsy jak lodu, sprzedaje domek letniskowy, bo nie ma czasu tam jeździć. Skoro Rzechulak był biznesmenem, w dodatku działał w branży w jakiś sposób związanej z budownictwem, to musiał wiedzieć, że takich domków nie opłaca się sprzedawać. Ich wartość, a właściwie wartość gruntu, na którym stoją, wciąż rośnie. I skoro nie potrzebował na gwałt gotówki, to sprzedawanie go byłoby po prostu nierozsądne. A nierozsądni ludzie nie

dochodzą do takich pieniędzy, więc Iwonie trudno było uwierzyć, że to faktycznie zrobił.

Poza tym każdy facet lubi mieć miejsce, o którym nie wie nikt, a zwłaszcza żona. Jeśli go na nie nie stać, będzie nim knajpa, mieszkanie kolegi albo inna meta. A jeśli stać, to może być nim na przykład domek letniskowy na Kaszubach.

Iwona wstała i podziękowała Rzechulakowej, która po jej wizycie była jeszcze bardziej roztrzęsiona niż przed nią. Może miała nadzieję, że policjantka przyniesie jakieś pomyślne wieści, a tymczasem tylko jeszcze bardziej namieszała jej w głowie.

– Krótko to trwało, ale faktycznie zadawała pani inne pytanie niż pani koledzy – stwierdziła Rzechulakowa już przy drzwiach.

Iwona obejrzała się.

– To dobrze. – Znów się lekko uśmiechnęła, choć nie musiała już zdobywać jej zaufania.

– Mam nadzieję, że to rzeczywiście dobrze i że go znajdziecie. W dobrym zdrowiu – dodała jeszcze i przez chwilę Iwona odniosła wrażenie, że kobieta chce się przeżegnać, a być może nawet oczekuje, że jej tę nadzieję da tu i teraz, autorytatywnym stwierdzeniem wygłoszonym pozbawionym śladu wahania tonem.

Ale to już nie było zmartwienie Iwony, i z tym przekonaniem opuszczała dom Rzechulaków.

Ludzie rzadko zdają sobie sprawę, że konsekwencje ich uczynków nigdy nie dotkną wyłącznie ich. Są jak rozchodzące się po wodzie kręgi po wrzuconym do niej kamieniu, które docierają daleko i kołyszą wszystkim, co się na niej unosi. I zanim tafla na powrót się uspokoi i znieruchomieje, mija dużo czasu.

Tylko w przypadku konsekwencji jest istotna różnica.

Tu już nic nigdy się nie wygładzi i nie uspokoi.

BARTOSZYLAS

Na Kaszuby Iwona jechała trzy godziny z nadzieją na odnalezienie Rzechulaka w wiosce o przedziwnej nazwie. Była przekonana, że facet po prostu ukrył się przed tajemniczym zamachowcem, który zlikwidował jego kolegów. Jego żona miała rację: nie zostawia się takiego interesu, jaki prowadził, bez zabezpieczenia, chyba że… Chyba że coś złego dzieje się w głowie.

Znajomość Rzechulaka z Chyłą i Gąsienicą dawała Iwonie niemal stuprocentową pewność, że poznański biznesmen również skorzystał z usług Klubu 526. Nie miała pojęcia, czy jego dane były gdzieś na dysku laptopa i czy dobrał się do nich Matt, ale Rzechulak swoim zniknięciem potwierdził być może starą prawdę, że na złodzieju czapka gore. Teraz tylko Iwona musiała zwąchać, skąd dochodzi zapach dymu.

Z trudnością trafiła na miejsce. Adres przynależał do wsi, ale kompleks kilkudziesięciu sezonowych domków zlokalizowany był w lesie jakiś kilometr albo dwa od Bartoszylasu. Miękkie, piaszczyste uliczki wiły się między porośniętymi sosnami działkami. Iwona zostawiła auto przy zjeździe z brukowanej kocimi łbami drogi i szła teraz, czując, jak stopy grzęzną jej w piasku. Niebo było zachmurzone, ale nie padało. Rozglądała się po tabliczkach z numerami na furtkach i bramach, szukając właściwego i nie mogąc znaleźć żadnego klucza: jakiejkolwiek zasady rządzącej numeracją. Po dwudziestu minutach stwierdziła, że jest prawie u celu. Dwa numery przed właściwym, przy zabudowanej holenderskim domkiem posesji oznaczonej literą e zwolniła. Wypatrzyła z dalszej odległości spory dom z bali i przyglądała mu się chwilę, a potem ostrożnie ruszyła w jego stronę. Wóz albo przewóz. Zaraz być może dowie się, czy jej przypuszczenia były słuszne. Gdy doszła do ogrodzenia domku, rozejrzała się jeszcze, a potem po prostu przeskoczyła niski płot z nieokorowanych desek. Chyłkiem przebiegła w kierunku domu, przeszła przez wąskie, zadaszone omszałą blachodachówką przejście między nim a niewielkim garażem i zajrzała na tył, gdzie znajdował się taras. W środku domu było ciemno, nie paliły się żadne światła. Weszła na podest, zajrzała przed duże, przeszklone drzwi

i zobaczyła, że w stojącej pod ścianą kozie pali się ogień. Skuliła się odruchowo, zacisnęła z satysfakcją pięści, choć to jeszcze niczego nie przesądzało, i zeskoczyła z tarasu na miękkie poszycie z mchu i trawy. Przez kilka minut obserwowała drzwi i okno, ale nie zauważyła żadnego ruchu w środku domu. Nagle usłyszała dźwięk silnika samochodu: był coraz głośniejszy, aż wreszcie obroty spadły i Iwona zorientowała się, że auto stanęło albo przed domem, albo tuż obok.

Ukryła się za gęstym krzewem jakiejś zimozielonej rośliny, za plecami mając płot, za którym był już gęsty las, i czekała. Usłyszała szczęk zamknięcia bramy, potem silnik zawył i ścichł. Wyjrzała ostrożnie zza krzaka i w przejściu między budynkami zobaczyła toyotę landcruiser, z której właśnie ktoś wysiadał. Nie widziała dokładnie twarzy mężczyzny z plastikową siatką w ręku i modliła się, żeby to był Rzechulak, a nie nabywca domu, który faktycznie, jak twierdziła Rzechulakowa, został przez jej męża sprzedany. Wróciła za krzak i czekała dalej. Po kilka następnych minutach drgnęła z zaskoczenia, kiedy drzwi na taras się otworzyły. Ostrożnie rozgarnęła gałązki, robiąc między nimi tylko tyle miejsca, żeby mieć widok na taras. W drzwiach stanął… Rzechulak we własnej osobie. Był niskim, krępym i niezbyt przystojnym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, z rzadkimi zmierzwionymi włosami i ciemniejszymi plamami zarostu na twarzy. Był ubrany w wymięty dres i nie miał na nogach butów, tylko same skarpetki.

Iwona uśmiechnęła się do siebie mściwie. Patrzyła, jak Rzechulak wyciąga papierosa, wkłada go sobie między wargi i zapala, a następnie zaciąga się chciwie. Nie wyjmując go z ust, chwycił mocno drewnianą barierkę, uniósł głowę, zamknął oczy i stał tak kilkanaście sekund.

I wtedy Iwona się zdecydowała.

– Pan Rzechulak, prawda? – zapytała głośno, wychodząc zza krzewu.

W Rzechulaka jakby trafił piorun. Zatrząsł się, papieros wypadł mu z ust, po chwili zgiął się wpół, nie puszczając pochwytu i patrząc na Iwonę szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami, jęknął:

– Jezu, nie…

Podeszła spokojnie do tarasu, nie spuszczając wzroku z jego wykrzywionej strachem twarzy – szarej i spoconej. Facet wyglądał jak żywy trup.

– Ja… – Oderwał ręce od barierki i uniósł je w geście kapitulacji. – Proszę, nie zabijaj mnie, ja wszystko wytłumaczę.

– Słucham, panie Rzechulak. – Iwona stanęła, założyła ręce na piersi i patrzyła na niego krzywo.

Była zaskoczona jego reakcją. Zachowywał się jak mięczak. Strach bywa emocją pozostającą poza jakąkolwiek kontrolą, ale Iwona zawsze sądziła, że ludzie o takiej pozycji i dorobku jak Rzechulak są w stanie jakoś go opanować. Jednak strach strachowi nierówny. Za każdym razem o jego sile decyduje stawka. A stojący przed nią mężczyzna we własnym przekonaniu grał teraz o życie, które miało być zapłatą za to, co zrobił. Teraz tylko Iwona musiała potwierdzić, że jej przypuszczenia są słuszne.

– Jak udała się wizyta w Klubie? – zapytała beznamiętnym tonem, mimo że emocje, które odczuwała, były niemal równe tym, które buzowały w Rzechulaku.

– Ja nie wiedziałem, rozumiesz?

– Wiedziałeś – rzuciła oskarżycielskim tonem. – Wiedziałeś o wszystkim.

– Nie uwierzyłem im, kiedy mi powiedzieli, że będą musieli go zabić! Zgodził się na ostry seks, powiedział mi, że to lubi i mogę się nie krępować, a kiedy przesadzę, to mi powie – tłumaczył Iwonie gorączkowo pewny, że ona wie, o czym mówi, i tak było, choć nie do końca, bo nie znała tożsamości ofiary.

– Jemu nie powiedzieli, prawda?

Rzechulak spojrzał na nią nieco przytomniej.

– Oczywiście, że nie.

Patrzyła na niego. Mięczak. Miękka faja, albo grochowa pizda, jak mawiał Sołtyk. Uciekł jak tchórz, choć mógł wynająć firmę ochroniarską, a nawet osobistego ochroniarza. Stracił rozum, strach przed konsekwencjami zwyciężył nad zdrowym rozsądkiem i Rzechulak zrobił chyba najgłupszą rzecz, jaką mógł. Miał szczęście, że Iwona znalazła go przed Mattem.

– Czy moja żona i syn… Czy nic im nie jest?

– On zabija wyłącznie winnych – powiedziała zimno, patrząc mu prosto w oczy.

Rzechulak wziął głęboki oddech i wyprostował się.

– Jak to… Więc kim ty… Kim pani jest? – wyjąkał.

– Policjantką.

Zamknął usta, przełknął głośno ślinę, aż ruszyła mu się grdyka, i nagle się odwrócił. Wolnym krokiem, jak skazaniec idący na szafot wszedł do wnętrza domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Iwona po chwili

zastanowienia zrobiła to samo. Kiedy znalazła się w środku, odruchowo obrzuciła wnętrze krótkim spojrzeniem. Koza, ściany z bali, spartański wystrój, trochę futer i krowich skór, to wszystko. W powietrzu unosił się lekki zapach wilgoci, ale nie takiej, jak u niej w Stasince: bardziej przypominał mech niż grzyb.

– Skąd pani wiedziała, gdzie mnie szukać? – zapytał Rzechulak, który usiadł ciężko na kanapie, rozstawił nogi i oparł na nich łokcie.

Dłońmi objął głowę i patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

– Pana żona wspomniała, że kiedyś mieliście ten domek. Nie chciało mi się wierzyć, że pan go sprzedał.

Pokiwał głową, kolana i przedramiona zakołysały się razem z nią.

– No więc? – zapytała Iwona, stojąc nad nim.

Westchnął głęboko, jakby szykował się do długiej spowiedzi.

– Rozmawiałem kiedyś przy wódce z Kubą Gąsienicą, moim dobrym znajomym, deweloperem z Zakopanego – zaczął po chwili szorstkim z emocji głosem. – Gadaliśmy o naszych wspólnych znajomych i on zapytał, czy wiem, że jeden z nich zajmuje się organizacją zajebistych seansów. Że mogę spróbować wszystkiego, czego chcę, naprawdę wszystkiego. Nie chciał mi powiedzieć, który to znajomy, ale twierdził, że to była najbardziej niesamowita rzecz, jaką zrobił w życiu. A próbował wielu rzeczy: zdobył jakiś ośmiotysięcznik, latał na paralotni, jeździł na rafting i na rajdy do dżungli. Był typem faceta, który musi mieć ciągle nowe wyzwania. Następnego dnia próbował mnie od tego odwieść, powiedział, że za dużo wypił, a to, o czym mówił, to naprawdę ostra rzecz. Miałem wrażenie, że żałuje, że mi o tym powiedział. Zbyłem go, mówiąc, że i tak prawie nic nie pamiętam, zresztą dał mi tylko adres mailowy, więc o co chodzi? Ale nie zapomniałem o sprawie. Bo ja… Chciałem spróbować czegoś niezwykłego. Już kilka lat temu zauważyłem, że pociągają mnie chłopcy. Niegrzeczni chłopcy. To powoli stawało się moją obsesją. Internet przestał zaspokajać moje potrzeby, bodźce wzrokowe nie wystarczały, chciałem czegoś więcej. Mocniej. Brutalniej. Chciałem czuć zapach, smak i ból. Chciałem móc go zadawać. Pani tego nie zrozumie. – Popatrzył na Iwonę z jakąś wyniosłością, a jej zachciało się rzygać. – Pani się mną teraz brzydzi, ale jeżeli obie strony się na to godzą, to nie ma w tym nic złego. Jesteśmy dorośli.

– On się na to nie zgodził – sprostowała. – I pewnie nie był dorosły.

– Był. Wyglądał młodo, ale twierdził, że ma dziewiętnaście lat. Miał tatuaże, już lekko wyblakłe, a nie można ich chyba sobie robić przed ukończeniem osiemnastego roku życia, więc na pewno był dorosły. Ja nie jestem pedofilem. A on był taki piękny i… I pomysłowy.

– Nie wiedział, że zostanie zabity – powiedziała Iwona, z jakimś uporem wchodząc w bezsensowną dyskusję z tym zwyrodnialcem, kiedy nagle uświadomiła sobie, co przed chwilą powiedział Rzechulak. Gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc, zachłystując się nim, i wydusiła z siebie: – Chudy, tlenione włosy, piercing i tatuaże na całym ciele, tak?

– T-tak… – W głosie Rzechulaka pojawiła się jakaś drżąca nuta. – Napisałem na ten adres maila i dostałem odpowiedź. Wypełniłem jakieś formularze, wpłaciłem zaliczkę, niemałą. Kiedy się wreszcie z nimi spotkałem, śmiałem się, że to akurat Marcin, bo nigdy bym go nie podejrzewał o takie rzeczy. Zorganizowali mi seans, wszystko było tak, jak sobie zażyczyłem. I on, ten anioł, dokładnie taki, o jakim marzyłem. Wcześniej powiedzieli mi, że on będzie musiał zniknąć, ale nie wierzyłem. Może myślałem, że po prostu wyjedzie, albo… – Rzechulak złapał się za głowę. – Chryste, nie wiem, co sobie myślałem. Przecież to było niepojęte, nie dopuszczałem tego w ogóle do myśli. Kiedy po wszystkim Golczewski upewniał się, że nie chcę tego chłopaka zabić, dalej sądziłem, że to chory żart. A oni obaj, on i Marcin… Rzucili monetą, rozumie pani? Rzucili monetą o to, który z nich go zabije. Facet, którego traktowałem jak lekkiego świra, ale którego nawet lubiłem, nagle okazał się potworem. Musiałem patrzeć, jak go dusi. Kazali mi… Zrobił to na moich oczach. Teraz nikomu nie powiesz o Klubie, mówili, bo wiąże nas wspólna tajemnica. Upiłem się wtedy, pierwszy raz od lat, bo jestem niepijącym alkoholikiem. Trzynaście lat, pięć miesięcy i osiem dni nie tknąłem alkoholu, a tej nocy naprułem się jak świnia, aż urwał mi się film. Żałowałem, że się obudziłem. Żałowałem, że nie zadławiłem się własnymi rzygowinami. Ja… Ja musiałem z tym potem żyć, rozumie pani? Trzeba było jakoś żyć, ale i tak wracałem codziennie wieczorem do domu, udając, że jestem zmęczony, żeby nie musieć spojrzeć w twarze swojej żonie i synowi. A potem dowiedziałem się, że oni obaj nie żyją, później zginął Kuba, więc…

– Zamknij się – przerwała mu ten słowotok, wyciągając rękę, jak Neo powstrzymujący chmarę lecących ku niemu pocisków. – Kurwa, zamknij się już, rozumiesz?

Nagle straciła nad sobą kontrolę i rzuciła się na niego. Ze swej pozycji miała lekką przewagę. Po prostu młóciła pięściami, czując pod nimi jego uszy, włosy, zarost i twarde kości czaszki. Nie wkładała w atak dużo siły, wystarczająco wiele kosztowała ją sama obecność tutaj. Rzechulak prawie się nie bronił, nie parował ciosów, a jedynie lekko się odsuwał na boki. Iwona opanowała się wreszcie i zacisnęła mocno powieki. Pod nimi miała twarz martwego chłopaka, którego wiozła do Falent w skrytce pod stojakiem z oknami na pace dostawczego samochodu. I jego tatuaże, rozsiane na przedramionach, ramionach, piersiach i brzuchu. Oraz ślady ugryzień, sińce i krwawe podbiegnięcia niemal na całym ciele. Widok Goluma niosącego jego sztywne ciało i odgłosy ćwiartowania zwłok przed wrzuceniem do pieca miały ją prześladować do końca życia, Iwona była tego pewna jak niczego innego. Otworzyła oczy. Wolała już widzieć Rzechulaka.

– Co ze mną będzie? – zapytał żałośnie biznesmen, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło.

– A jak pan myśli? – odpowiedziała pytaniem.

– Aresztuje mnie pani?

– Policja nie aresztuje, tylko zatrzymuje – powiedziała odruchowo zmęczonym tonem. – Nie jest pan formalnie poszukiwany w związku z jakimkolwiek podejrzeniem, a tylko jako zaginiony.

– Czy to znaczy, że nikt nie wie, że ja…?

– Ja wiem. I on pewnie też.

– Ten, który zabił Marcina, jego ojca i Kubę, tak?

– Tak.

– Dlaczego pozwalacie mu to robić?

Iwona zesztywniała. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko uniosła górną wargę i obnażyła zęby. A potem odwróciła się i wyszła przez taras na zewnątrz. Obeszła dom, a kiedy była już koło płotu, z furią kopnęła furtkę, wyrywając ją spomiędzy słupków. Wyszła na drogę, przez chwilę musiała się skupić, żeby przypomnieć sobie, z której strony tu dotarła. Idąc w kierunku samochodu, próbowała ochłonąć. Nagle usłyszała z tyłu jakieś sapanie. Obejrzała się i zobaczyła Rzechulaka, który biegł za nią w samych skarpetkach. Zwolnił, kiedy zobaczył, że stanęła.

– Przepraszam – szepnął, stając jakieś dwa metry przed nią.

Na twarzy, w miejscach, w których dosięgły go jej ciosy, miał zaczerwienienia.

– Nie mnie. – Iwona cofnęła się lekko, jakby się bała, że zbyt bliska odległość skala ją jego winą.

– Szkoda, że to pani znalazła mnie pierwsza – powiedział głośniej, trąc ręce jedna o drugą. – Chyba wolałbym jednak, żeby to był on.

Milczała.

– Będę czekał na miejscu – dodał, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. – Niech pani robi, co trzeba. Do widzenia.

Odwrócił się na pięcie i zaczął iść w kierunku domu.

Iwona patrzyła na jego zgarbioną postać, łysinę na czubku głowy prześwitującą przez rzedniejące włosy, stopy wlekące się jedna za drugą po piasku i starała się nie myśleć o niczym. Po chwili podjęła przerwaną wędrówkę, a kiedy dotarła do samochodu, zamknęła się w nim i zadzwoniła do Brusia.

– Znalazłam Rzechulaka – oznajmiła od razu.

– Żyje?

– Tak. Ukrywa się przed tajemniczym mścicielem. Po śmierci Chyły, Golczewskiego i Gąsienicy, których znał osobiście, doszedł do słusznych wniosków i postanowił zniknąć. Jest w słabej kondycji psychicznej, ma czekać na policję na miejscu, Bartoszylas dziewięćdziesiąt siedem g. Niech wyślą terenówkę z najbliższej jednostki policji. Ja nie jestem w stanie spędzić z nim ani chwili dłużej. Ani z nim, ani mając go w zasięgu wzroku. Prawie go zabiłam.

– Aż tak?

– Aż tak – potwierdziła. – To on był z chłopakiem, którego ciało wiozłam później do spalenia.

– O tym mi pani nie mówiła.

Przez chwilę patrzyła sobie w oczy w lusterku wstecznym, a potem trzepnęła je dłonią, odwracając je w bok.

– Nie o wszystkim panu powiedziałam – przyznała. – To w tej chwili nie ma znaczenia dla naszej sprawy, wyspowiadam się, kiedy znajdziemy Grzelińskiego, możemy się tak umówić?

– Dobrze. – Bruś westchnął. – Co teraz?

– Jadę do domu, jutro mam pogrzeb matki.

– Przykro mi.

Chciała powiedzieć, że niepotrzebnie, ale się powstrzymała.

– Dziękuję – mruknęła tylko, wpatrzona w swoje kolana pod kierownicą. – Ale wy wyciągnijcie z Rzechulaka, ile tylko się da.

BEZ WYJŚCIA

Kiedy Iwona dojeżdżała do domu, poczuła na biodrze krótką wibrację telefonu. Zaparła się nogami o podłogę między pedałami, uniosła pośladki i wyłuskała komórkę z kieszeni spodni.

Wiadomość od Brusia brzmiała krótko: „do skasowania po obejrzeniu". Załączony był do niej filmik. Zjechała na pobocze, otworzyła plik i ekran wypełnił się obrazem. Zobaczyła tył terenowej toyoty ujęty w kadr węgarków wjazdu do garażu i skraju segmentu uniesionej bramy. Iwona od razu zauważyła włożony do rury wydechowej wąż ogrodowy, ujście wydechu uszczelnione było czymś żółtym, możliwe, że wełną mineralną. Kamerka zaczęła iść śladem węża wijącego się po posadzce, minęła skraj zderzaka, koło, doszła do drzwi i zatrzymała się na chwilę na szybie tylnych drzwi. Zobaczyła odbitą w niej dłoń trzymającą telefon i zarys postaci. Ten, który kręcił filmik, dbał o dramaturgię: to nie była zwykła dokumentacja miejsca zdarzenia, której przecież nie robi się komórką, tylko wykonanie zlecenia. Najprawdopodobniej Bruś, kiedy tylko dowiedział się o śmierci Rzechulaka, kazał komuś z miejscowych gliniarzy nakręcić dla niej ten filmik, a przy tym skupić się na najważniejszych rzeczach. Kiedy ręka z telefonem przesunęła się dalej, przez otwarte na oścież drzwi kierowcy dostrzegła Rzechulaka.

Dla pewności założył sobie na głowę foliowy worek, koniec węża ginął w owiniętym luźno wokół szyi plastiku. Worek był teraz rozerwany, zapewne ktoś, kto Rzechulaka znalazł, miał jeszcze nadzieję, że nie jest za późno. Tę pewność, że jednak nic już nie da się zrobić, musiał zyskać od razu po rozerwaniu folii. Twarz trupa była sinoniebieska, z ust spływała strużka wymiocin, oczy uciekły w głąb czaszki. Rzechulak właściwie leżał na siedzeniu, musiał w oczekiwaniu na śmierć zsunąć się: nogi obejmowały kierownicę, ręce leżały na udach, jakby w ostatniej chwili miał pewność, że nie ma innego wyjścia. Jakby się pogodził ze wszystkim, a śmierć traktował nie jak ucieczkę, tylko jako konsekwencję. Nie próbował walczyć, nie zmienił zdania, tylko się poddał.

Iwona widywała już wcześniej samobójców i zawsze zastanawiała się, co musi się dziać w głowie w tych ostatnich chwilach, kiedy jeszcze można z tej drogi zawrócić. Zamknąć okno, zakręcić gaz, zejść z torów, zdjąć pętlę z szyi. Jak zdesperowanym trzeba być, jak cierpieć, żeby świadomie, a może właśnie nie do końca świadomie, zwalczyć naturalny strach przed utratą życia. Własnym umysłem zdobyć przewagę nad instynktem samozachowawczym, biologiczną, wdrukowaną przez ewolucję chęcią przetrwania za wszelką cenę.

Rzechulak poznał odpowiedź na to pytanie tuż przed tym, zanim jego serce przestało bić.

Iwona zamknęła film i zadzwoniła do Brusia.

– Zrobił to sam czy pomógł mu Matt? – zapytała krótko. – W zasadzie nie pytam, tylko zastanawiam się głośno.

– Nie wiem, jak widać trwają dopiero czynności. Pani była tam dosłownie chwilę przed tym, jak to się stało. Myśli pani, że Grzeliński gdzieś tam był, poczekał, aż pani odjedzie, i załatwił sprawę?

– Nie. – Pokręciła głową, sama odpowiadając sobie na swoje pytanie. – To nie miałoby sensu. Po co miałby się tak bawić?

– Słusznie – mruknął Bruś, a ona zastanowiła się nad drugą częścią pytania.

Bo Matt nie musiał Rzechulakowi w niczym pomagać. To ona mu pomogła swoją wizytą.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, Rzechulak był jej kolejnym trupem. Kolejnym martwym skurwielem, do którego śmierci przyłożyła rękę. Robiła dokładnie to samo co Matt, tylko że jej nikt za to nie ścigał.

– Nie jesteśmy chyba ani na krok bliżej Grzelińskiego, co? – Bruś westchnął.

Doceniła, że nie powiedział tego w inny sposób. Że to ona nie jest ani o krok bliżej.

– To prawda – przyznała, bo zaprzeczanie ani tłumaczenie się nie miało sensu. – Wciąż pozostaje nam tylko czekać. Jest jedna rzecz, która mi trochę nie pasuje.

– Jaka?

– To bardziej wrażenie niż coś konkretnego – powiedziała ostrożnie. – Dziwi mnie trochę to przyczajenie się. Podejrzewam, że zaszył się gdzieś

w okolicach Warszawy i stamtąd robi te swoje wypady, bo tak jest najwygodniej. Zaczął z przytupem, dwa trupy w kilka dni, a potem cisza.

– Oby nie cisza przed burzą – wtrącił Bruś.

– Oby nie – zgodziła się z nim. – Matt jest energiczny. Działa impulsywnie, nie traci czasu, a przynajmniej tak mi się wydaje…

– Dobrze się pani wydaje.

– Jakieś względy zdecydowały, że przestał.

– Skończyła się lista z laptopa?

– Po dwóch?

– Szykuje kolejne zamachy? Tropi następnych? Najgorsze, że nie możemy nawet nikogo typować. Przecież nie zapyta pani wdów po tych zabitych o wszystkich znajomych?

Iwona przypomniała sobie filmik z zabójstwem Jakuba Gąsienicy i nagle uświadomiła sobie, co nie dawało jej spokoju, kiedy go oglądała. Wróciła pamięcią do willi na Śmiałej, do chwili, w której podała Grzelińskiemu karabinek, a on wziął go i ku jej zaskoczeniu po prostu rozstrzelał Golczewskiego połową zawartości magazynka.

– Czy on był leworęczny? – zapytała nagle Brusia. – Mówię o Grzelińskim.

Widziała się z Mattem dwa razy. Za pierwszym jedli śniadanie, ale nie pamiętała, w której ręce Grzeliński trzymał widelec, a w której nóż. Pamiętała tylko ten drugi raz.

– Nie – odparł lekko zaskoczony Bruś. – A o co chodzi?

Stwierdziła, że zanim mu powie, zapyta o jeszcze jedną rzecz.

– Czy on strzela? – Przypomniała sobie album o broni strzeleckiej na półce w mieszkaniu Matta.

– Każdy policjant strzela.

– Panie inspektorze… – prychnęła lekceważąco.

– Wiem, że odwiedza strzelnicę dość regularnie. Powie mi pani wreszcie, o co chodzi?

Iwona zastanawiała się jeszcze przez chwilę. Wiedziała, że pierwsza rzecz, jaką robi osoba ucząca się strzelać, to sprawdzenie, które oko jest dominujące. Idealnie, jeśli jest po tej samej stronie, po której dominująca ręka, wtedy nie ma problemu. Czasem jednak bywa tak, że dominacja jest krzyżowa i wtedy należy wybrać pierwszeństwo oka, pierwszeństwo ręki, albo po prostu uczyć się strzelać po przekątnej. Matt musiał kiedyś wybrać pierwszą opcję i nauczył się strzelać z lewej.

I tak właśnie zrobił w willi: wziął broń od Iwony lewą ręką i z lewej strzelał do Golczewskiego. Nie miał uszkodzonej prawej, bo pod prawą pachą niósł potem laptop.

– To nie Matt zastrzelił Gąsienicę – powiedziała Iwona spokojnie, jakby to odkrycie dało jej ten spokój.

Ale prawda była taka, że tylko komplikowało sprawę.

– Słucham?

– Strzelec trzymał broń w prawej ręce. Widać to na filmie, prawda?

– Przecież powiedziałem pani, że Grzeliński był prawo…

– Ale strzelał z lewej – przerwała mu.

– Nie rozumiem, nie wie pani, że chadza na strzelnicę, a wie, z której ręki strzela?

– Tak – odparła krótko i zdecydowanie. – Widziałam na własne oczy, którą ręką strzela. I widziałam, że umie to robić.

Usłyszała, jak Bruś zachłystuje się powietrzem.

– Rozumiem – powiedział, przeciągając głoski. – Więc kto strzelał w Kościelisku do Gąsienicy, skoro nie on?

Iwona znów pomyślała o „carnych jako noc huncfutach".

– Niewykluczone, że współpracuje z nim jakaś kobieta – wyznała w końcu.

– To żart? – W głosie Brusia pobrzmiewało autentyczne zdumienie.

– Nie.

– Teraz pani na to wpadła? Z tą kobietą?

Nabrała głęboko powietrza.

– Od jakiegoś czasu przewija się przez tę całą historię ktoś z długimi, czarnymi włosami. Mój sąsiad z Kościeliska twierdził, że widział kobietę o takich włosach z moim partnerem. Tylko te włosy, nie dostrzegł twarzy, ale twierdził, że to kobieta. Gdy Grzeliński uciekał z willi Klubu 526, za kierownicą siedział ktoś z długimi włosami. Też nie widziałam szczegółów, tylko zarys postaci, ale to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi głowy, kiedy ją zobaczyłam: że ten ktoś ma długie włosy. Po wizycie w domu dziecka w Łobzie, kiedy okazało się, że mój partner i Matt przebywali tam w młodości razem, w tym samym czasie, pod uwagę brałam kogoś jeszcze: chłopaka, który trzymał się razem z nimi i miał wtedy dosyć długie, czarne włosy. Ale on nie żyje od kilkunastu lat, i to jest potwierdzone, więc ten trop

prowadzi donikąd. No i nie potrafię sobie wyobrazić kobiety strzelającej całą serią do człowieka. Kobiety tak nie zabijają…

Zamilkła tak nagle, bo pomyślała, że to wcale nie jest takie nieprawdopodobne i że wystarczy zerknąć w lustro.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym wszystkim wcześniej? – zapytał Bruś po chwili milczenia.

– Wspominałam o moim partnerze i domu dziecka.

– Mówię o reszcie.

– O czym miałam panu mówić? – odpowiedziała zmęczonym głosem. – To po pierwsze tylko domysły, i to naprawdę odjechane, a po drugie…

– Po drugie?

– Trop się urwał. – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Powiedziałam panu, ten człowiek nie żyje od kilku lat.

– Na przyszłość: chciałbym wiedzieć o każdych, podkreślam: każdych, nawet najbardziej, jak pani to określiła, odjechanych podejrzeniach, rozumiemy się?

– Tak – odparła krótko.

– Dobrze, wracając do zabójstwa Gąsienicy…

– To jeszcze nie oznacza, że nie stoi za tym Matt, skoro na miejscu znaleziono magazynek z jego odciskami palców. Rozmawialiśmy przecież, że ktoś musi mu pomagać, i to najprawdopodobniej właśnie ta osoba. I niekoniecznie kobieta, tylko ktoś z długimi włosami. Co prawda nie widać tego na filmie, bo zamachowiec nosi kominiarkę, ale przecież mógł je pod nią schować. A Matt tym razem był ubezpieczeniem i to on prowadził auto podczas ucieczki.

– Przepraszam, ale jakie włosy ma pani partner? – Bruś trochę zaskoczył ją tym pytaniem.

– Krótkie, nie bardzo krótkie, ale nie można ich nazwać długimi – odparła bez wahania. – Dosyć wcześnie zaczął siwieć, więc jest szpakowaty. Nigdy nie farbował włosów ani ich nie zapuszczał.

Bruś milczał, Iwona słyszała w telefonie tylko jego cichy oddech.

– Pomyślał pan o peruce, prawda? – zapytała go po chwili.

– Tak.

– Ja też. Tylko po cholerę miałby ją nosić? Przyzna pan, że to dosyć dziwny i niewygodny sposób na zmianę wyglądu? I chyba nawet jeszcze bardziej zwraca uwagę, a ma przecież ją odwracać. Poza tym mój sąsiad

widział Krzyśka i tę osobę w tym samym czasie. Krzysiek był wtedy w domu, a ona na zewnątrz, mignęła mu przez okno.

Nie miała za złe Brusiowi, że insynuuje udział Krzyśka w tym szalonym rajdzie Grzelińskiego. W końcu sama mu to wcześniej zasugerowała.

– No to mamy tę sprawę załatwioną – stwierdził Bruś z jakąś ulgą w głosie i była mu za nią wdzięczna.

Drobny gest, ale dużo dla Iwony znaczył. Kiedy masz w życiu tak niewiele, cieszysz się naprawdę drobiazgami. Tylko że mimo wszystko musiała być z Brusiem szczera. I ze sobą samą również.

– To dalej nie rozwiązuje kwestii powiązania Grzelińskiego i Krzysztofa – powiedziała powoli.

– Uważa pani, że ten związek zahacza również o naszą sprawę?

– Tak. Tak mi się wydaje, bo jego zniknięcie akurat wtedy, kiedy to wszystko się zaczęło, nie może być przypadkiem. – Wzięła głębszy oddech. – Krzysztof dzwonił do mnie jakiś czas temu. Powiedział, że zrobił coś złego i musi to naprawić. Tylko tyle.

– Co to mogło być?

– Nie mam pojęcia.

– A może jest kolejną z osób, które ściga Grzeliński?

Iwona nie mówiła nic przez dłuższą chwilę. Nie wierzyła w to, bo Krzysiek był dobrym człowiekiem i nie dał jej nigdy powodów, by w to mogła wątpić. Nie miała również żadnych podejrzeń, że coś mogło być nie tak z jego preferencjami seksualnymi. A poza tym… W porównaniu z dotychczas zidentyfikowanymi krezusami korzystającymi z usług Klubu 526 był biedny jak kościelna mysz.

– To, że znali się w dzieciństwie, może być tylko przypadkiem – dodał Bruś.

– To raczej niemożliwe – ucięła krótko. – Z różnych względów.

– A może jest na odwrót? – zapytał inspektor. – Może to on ściga Grzelińskiego?

Iwona zastygła z telefonem przy uchu.

– Nie wiem… – Poczuła, że sztywnieje jej kark. – Tu wszystko jest możliwe, panie inspektorze. Wszystko…

POGRZEB

Tego dnia lało jak z cebra. Gdy umierają dobrzy ludzie, żałobnicy zwykli mawiać, że nawet niebo płacze nad tą stratą. Dla Iwony lejące się z niego strugi zimnej wody były zwyczajnym deszczem, uprzykrzającym ludziom zwyczajową powinność towarzyszenia zmarłemu w jego ostatniej, ziemskiej drodze.

Na pogrzeb przyszło kilkoro sąsiadów matki, którym z jakiejś nieznanej Iwonie przyczyny wyraźnie przewodziła Kaliszczakowa. Zjawił się też milczący gryzipiórek z sądu, w którym orzekała matka aż do przejścia w stan spoczynku. Przyniósł ze sobą ogromny wieniec ze wstęgą z napisem „ostatnie pożegnanie", jakby nikt w sądzie nie pomyślał, że można by ją jakoś spersonalizować, choćby dla dobrego wrażenia, jeśli już nie z racji tego, że nikt już tam pewnie matki nie pamiętał. Chłopak był wyraźnie skrępowany, a nawet wyglądał na złego, że musiał tu być. Kaliszczakowa z kolei była wręcz oburzona, że ceremonia w bocznej sali cmentarnej kaplicy odbywa się bez udziału księdza. Komentarz rzucony w cichej rozmowie z drugą sąsiadką nie uszedł uwagi Iwony i chyba nawet nie miał, bo Kaliszczakowa powiedziała to dosyć głośno. Potem odstawiła cyrk przy urnie: kiedy pracownik zakładu pogrzebowego przeniósł ją do karawanu, zanim zamknął klapę, zdążyła pogłaskać jej ściankę, wykrzywić twarz i rozpłakać się. Tym teatralnym gestem zraziła do siebie Iwonę ostatecznie. Podejrzewała, że babsko użala się nad sobą, a nie nad matką, bo obie były w tym samym wieku. Ojciec Iwony mawiał w takich sytuacjach: „już z naszej półki biorą", póki ten gnojek w oplu nie zabrał i jego. Ale kiedy chwilę później Iwona skrzyżowała z Kaliszczakową spojrzenia, zobaczyła w jej oczach wyrzut: ty nie chcesz, ale ktoś musi.

Po ceremonii wynajęty przez firmę pogrzebową śmierdzący stęchlizną autokar zawiózł wszystkich do przygotowanej wcześniej mogiły, gdzie leżał też ojciec Iwony i jej brat. Wysłużona setra dożywająca swych lat, nabijając ostatnie kilometry po alejkach Cmentarza Centralnego, przedzierała się przez niego w ślad za karawanem, a wycieraczki ślizgające się po zmatowiałej przedniej szybie piszczały przeraźliwie. Autokar był niemal

pusty, wystarczyłby zwykły bus. Nad grobem Iwona wygłosiła krótkie przemówienie. Było żenująco sztampowe, pozbawione osobistej nuty i emocjonalnego zaangażowania, ale kiedy na koniec zaproponowała, że jeśli ktoś ma ochotę, może również powiedzieć kilka słów, wszyscy spuścili głowy i zaczęli udawać, że sprawdzają, czy deszcz nie przemoczył im butów. Zrobiła to specjalnie, żeby zamknąć im gęby. Wracała do głównej bramy sama, zmarznięta, z parasolką targaną podmuchami wiatru, ciesząc się, że to już koniec.

Gdy przyszła do domu, postanowiła, że zrobi wreszcie coś dla siebie. I to od razu, nie czekając, aż minie jakiś czas, aż dojdzie do siebie po pogrzebie i oswoi się z nową sytuacją. Z niczym nie musiała się oswajać. Śmierć otaczała ją od kilku miesięcy, ludzie wokół niej ginęli i umierali, a ona zobojętniała już chyba na nią, tak jak żołnierze na wojnie. To albo mechanizm obronny, albo stoicki spokój i pewność, że i tak w tym wszystkim nie ma żadnego sensu.

Iwona po prostu wiedziała już, że pewnych rzeczy nigdy nie zdoła pojąć ani zrozumieć, choćby nie wiadomo jak bardzo się starała.

Co nie oznaczało, że nie będzie się starać.

Wyciągnęła z szafy strój kąpielowy, spakowała ręcznik, klapki i szlafrok i pojechała do kompleksu Pazimu, do spa i wellness. Ze względu na porę w środku było niewielu ludzi. Wymoczyła się w jacuzzi, posiedziała w saunie i postała pod prysznicem wrażeń, wystawiając twarz na zmianę pod ciepłą tropikalną ulewę i zacinający, chłodny deszcz, przypominający ten na cmentarzu. Potem otulona szlafrokiem położyła się na profilowanej i podgrzewanej leżance i zamknęła oczy, nie myśląc o niczym. Było jej ciepło i dobrze. Tuż przed zaśnięciem pomyślała, że nic wielkiego by się nie stało, gdyby się już nie obudziła i z tą myślą odpłynęła w niebyt.

Drzemała około pół godziny. Kiedy się obudziła i powoli dochodziła do siebie, słuchając szumu wody i głosów nielicznych ludzi, jej myśli jak zwykle krążyły wokół sprawy, którą się zajmowała. Nagle minęło ją trzech mężczyzn w białych szlafrokach. Zachowywali się dość głośno, wyglądali na pracowników korporacji, którzy odwiedzili ten przybytek w ramach karty multisport. Niewykluczone, że przedtem skoczyli do „Żabki", żeby podlać wyjście zawartością paru małpek. Iwona przypomniała sobie, jak w ramach zaleconego jej przez Grzelińskiego staczania się na dno robiła to samo i obejrzała się za mężczyznami dyskretnie.

Trzech muszkieterów. Znów przypomniała sobie imiona, których nie słyszała od dzieciństwa. Atos, Portos i Aramis. Nagle otworzyła szeroko usta i zastygła tak na moment z uniesioną głową, aż wydostał się z nich zduszony szept.

– Ja pierdolę…

Niespodziewanie uświadomiła sobie, że kogoś jej tu brakuje. Bo przecież gdzie było trzech muszkieterów, tam był również D'Artagnan. Zerwała się z leżanki, poprawiła szlafrok i pobiegła do szatni. Otworzyła swoją szafkę, wyciągnęła z niej telefon i znalazła numer łobeskiego domu dziecka. Odebrał dyżurny wychowawca, z którym Iwona stoczyła małą słowną batalię, zanim zdołała go przekonać, żeby jak najszybciej przekazał dyrektor Imielskiej informację, że dzwoniła i że prosi o oddzwonienie. Również jak najszybciej.

Imielska oddzwoniła, kiedy Iwona wychodziła już na zewnątrz, z jeszcze lekko wilgotną grzywką.

– Dzień dobry, mam ogromną prośbę: czy mogę porozmawiać jak najszybciej z pani mamą? – Iwona nie bawiła się w przydługie wstępy.

– A stało się coś? – zaniepokoiła się dyrektorka.

– Nie, ale w związku z moją niedawną wizytą coś jeszcze przyszło mi do głowy i chciałam o to dopytać. Zrobi to pani dla mnie?

– Oczywiście, nie ma problemu. Oddzwonię za pięć minut, muszę pójść do mamy.

– Jasne! – Iwona się ucieszyła. – Czekam na telefon.

Zdążyła dojść na wielopoziomowy parking centrum handlowego Galaxy, gdzie zostawiła auto, a kiedy do niego wsiadała, telefon znów zadzwonił. Tym razem rozległ się w nim głos pani Basi.

– Barbara Imielska – przedstawiła się starsza pani.

– Dzień dobry, pani Barbaro, serdecznie dziękuję za pomoc. – Iwona spojrzała w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy nie rozmazał się jej makijaż. – Mam jedno szybkie pytanie.

– Słucham.

– Czy oprócz tych trzech muszkieterów był ktoś jeszcze? Wracam do kwestii Grzelińskiego, Reinerta i Łaszcza.

– Nie rozumiem?

– Wie pani, też czytałam Dumasa, jak byłam mała. I pomyślałam, że przecież był ktoś ważniejszy niż trzej muszkieterowie, ważniejszy niż Atos,

Portos i Aramis. To D'Artagnan, prawda?

Imielska roześmiała się cicho.

– Ma to sens – powiedziała, wciąż lekko rozbawiona.

– No więc właśnie, czy nie było kogoś jeszcze, kto się z nimi trzymał? Nawet nie o to chodzi, że im przewodził, ale po prostu był blisko z tą trójką?

– Byli dość hermetyczni – stwierdziła Imielska kategorycznie, a Iwonę dopadło nagłe zniechęcenie. – Ale jak tak sobie ich wszystkich przypominam, to jedna rzecz przychodzi mi do głowy, choć nie jestem pewna, czy o to dokładnie pani chodzi.

– Tak?

– Piotrek Łaszcz miał siostrę.

– Słucham?

– Piotrek miał siostrę, która została adoptowana, kiedy miała dziewięć lat.

Iwona wstrzymała oddech. To jeszcze niczego nie oznaczało, ale podświadomie czuła, że jakiś związek istnieje. Zresztą nie miała innego tropu, więc musiała iść tym, na który wpadła, choć nie była pewna, czy w ogóle nim jest.

– Za jakieś dwie godziny będę w Łobzie – zdecydowała się nagle. – Poświęci mi pani chwilkę?

D’ARTAGNAN

– Wie pani, nie sądziłam, że to takie istotne, myślałam, że chodzi pani o Mateusza, a o resztę chłopców pyta pani przy okazji – mitygowała się starsza pani, kiedy spotkały się dwie godziny później, niemal co do minuty.

Była wyraźnie zmieszana. Siedziały przy stole w kuchni w jej maleńkim mieszkanku, przed Iwoną stała szklanka z herbatą malinową. Miała nawet metalowy koszyczek z uszkiem, co Iwonę rozbawiło i rozczuliło jednocześnie.

– Absolutnie proszę się nie przejmować, to w ogóle nie jest pani wina – uspokoiła Imielską i zdecydowała się uchylić rąbka tajemnicy. – Powiem szczerze, choć nie mogę zdradzić wszystkiego. Mateusz Grzeliński zaginął. Po pierwsze jest wysokim rangą funkcjonariuszem policji, sama pani rozumie, że musimy potraktować sprawę wyjątkowo poważnie. A po drugie, sądzimy, że jego zaginięcie ma związek z przeszłością. I przepraszam, że wprowadziłam panią w błąd poprzednim razem, ale rozumie pani… – Urwała i chrząknęła znacząco.

Dała Imielskiej odrobinę prawdy otoczonej woalem tajemnicy. Było za nim widać niewiele, a ton, jakiego użyła, miał sprawić, że tym wyznaniem równocześnie wzbudzi w niej zaufanie i da do zrozumienia, że o nic więcej nie należy pytać. I nawet zgrabnie jej wyszło z tym „przepraszam, że wprowadziłam panią w błąd”. Zawsze to lepiej niż banalne „przepraszam, że panią okłamałam”.

– Z jego przeszłością tutaj?

– Nie – skłamała Iwona. – Jest samotnikiem, nie ma rodziny ani zbyt wielu znajomych. Czepiamy się wszystkiego, co może nam pomóc, a jak wspomniałam, może chodzić o jakieś jego dawne sprawy. Szukamy ludzi z jego przeszłości. Każdego, kogo uda nam się ustalić.

– Rozumiem – szepnęła Imielska. – Krzyśka już pani znalazła?

– Jeszcze nie – odpowiedziała z kamienną twarzą.

– A Piotrka?

– Zginął w wypadku kilka lat temu, przykro mi.

– Och… – Imielska stropiła się wyraźnie, a potem spojrzała na Iwonę. – No tak, gdyby z nim pani rozmawiała, to wiedziałaby pani pewnie o Lidce.

– Pewnie tak. W takim razie może przejdźmy do sprawy siostry Łaszcza, dobrze? – Iwona uśmiechnęła się ciepło, choć z lekkim przymusem.

– Oczywiście! – Imielska się ożywiła. – Poszłam do córki i wszystko sprawdziłam. Daty też, i to w przypadku całej trójki, czy raczej czwórki, więc może zacznę od początku?

– Tak będzie najlepiej – zgodziła się Iwona.

– Do domu pierwszy trafił Mateusz, tak jak pani ostatnio wspominałyśmy, to był siedemdziesiąty dziewiąty rok, miał wtedy dziewięć lat. Rok później przybył Piotrek z siostrą Lidką. On miał wtedy też dziewięć, a Lidka niecałe pięć. W osiemdziesiątym pierwszym, dosłownie na kilka dni przed stanem wojennym, trafił do nas Krzysztof, jego historię pani zna…

Iwona pomyślała, że nie do końca, ale milczała, przytaknęła tylko krótkim skinieniem głową.

– Jakoś tak wyszło, że chłopcy zaczęli się trzymać razem. Byli w podobnym wieku, wszyscy mieli za sobą tragiczne przejścia.

– A dlaczego trafili tu Łaszczowie? – zapytała Iwona.

– Wychowywali się bez ojca, który zniknął tuż po narodzinach Lidii. Nie miałyśmy żadnych informacji, co się z nim stało, milicja nigdy nie ustaliła miejsca jego pobytu. Ich matka była krawcową w zakładach odzieżowych „Dana” w Szczecinie, ale trudniła się też niestety prostytucją. Została znaleziona martwa w jakimś mieszkaniu, sprawca ją udusił, nigdy nie ustalono, kto nim był. Dzieci miały jeszcze babcię, ale ona też wymagała opieki, bo była sparaliżowana po wylewie, pamiętam, że zmarła kilka tygodni po przeniesieniu do jakiegoś zakładu opiekuńczego. Piotrka i Lidkę umieszczono tutaj, nie bez pewnych perturbacji związanych z niejasną sytuacją ich ojca. W końcu uznano go za zmarłego.

– Wszyscy byli tu do osiągnięcia pełnoletności?

– Tylko chłopcy.

– A Lidka?

– Została adoptowana w osiemdziesiątym piątym roku przez pewnych ludzi. Też to dla pani sprawdziłam, bo pamięć już nie ta. Zygmunt i Bożena Juszczak. On był urzędnikiem Wojewódzkiej Rady Narodowej, ona pracowała jako kontroler w „Społem”. Wiem, że jemu wkrótce potem

zaproponowano posadę w polskiej ambasadzie w Berlinie Wschodnim i razem wyjechali na placówkę.

– Nie rozumiem. – Iwona pogładziła się po grzbiecie nosa. – Chce mi pani powiedzieć, że rozdzielono rodzeństwo? W dodatku biologiczne?

Imielska spojrzała na nią smutno.

– Wie pani, adopcja to szalenie skomplikowana sprawa, nie tylko pod względem prawnym, ale przede wszystkim psychologicznym. Ale musi pani pamiętać, że rzeczą, która zawsze w takich przypadkach brana jest pod uwagę jako najistotniejsza, jest dobro dziecka.

– Rozdzielenie rodzeństwa jest dla tych dzieci dobre?

– W sytuacji dziecka wychowującego się bez rodziców w takiej placówce jak ta chyba nic nie jest dobre, prawda? Ale kiedy dostaje szansę na nowy dom… Sama pani przyzna, że w takim wypadku możemy mówić o jego dobru? – Spojrzała na Iwonę uważnie, jakby oczekiwała potwierdzenia.

– Jasne, rozumiem – przyznała Iwona, choć jeszcze nie do końca to rozumiała, ale miała nadzieję, że Imielska zaraz jej to jakoś wytłumaczy. – Tylko dlaczego jedno, a nie oboje?

– Dobrze, a więc znów od początku. – Starsza pani westchnęła. – Choć sama nie wiem, gdzie jest ten początek. Jak wspomniałam, kwestią kluczową jest dobro dziecka. Mimo że w polskim prawie nie istnieje definicja tego pojęcia. Kiedy zjawia się para wyrażająca chęć adopcji, przeprowadza się całą procedurę. To nie jest tak, jak w schronisku dla psów, gdzie można sobie wybrać psa i wyjść z nim praktycznie od razu…

– Nawet tak nie pomyślałam – skłamała Iwona.

– Nie ma sensu tłumaczyć zawiłości tych procedur w przypadku adopcji, skupmy się na kwestii rodzeństwa. Kiedyś, choć i dziś też, nie każde małżeństwo mogło sobie pozwolić finansowo na posiadanie dwójki dzieci. To zawsze, podkreślam: zawsze, jest sprawa indywidualna.

– Dlaczego nie wybiorą jedynaka?

Imielska spojrzała na nią zagadkowo.

– Nie wybiera się najładniejszego dziecka – powiedziała przeciągle. – Albo najmądrzejszego. Wybiera się to, z którym poczuje się jakąś więź. Pamiętam pierwszy raz, kiedy jako bardzo młoda wychowawczyni zobaczyłam, jak chętni do adopcji ludzie przyjechali do domu dziecka, w którym wtedy pracowałam. To były jeszcze lata sześćdziesiąte. Przeżyłam wtedy wstrząs, wie pani? Niektóre dzieci chowały się po kątach. Udawały,

że nie istnieją, albo były opryskliwe, żeby zniechęcić do siebie gości. Inne zaś odwrotnie: rozpaczliwie starały się zwrócić na siebie ich uwagę. Żebrały o nią. Starały się przedstawić siebie w jak najlepszym świetle. Czepiały się ich rękawów. Mówiły do nich: mamusiu, tatusiu, jakby chciały, żeby jak najszybciej zaczęli się przyzwyczajać właśnie do nich. Maluchy niemające pojęcia o psychologii instynktownie walczyły o to, żeby ludzie, z którymi widzieli się pierwszy raz w życiu, wybrali na synka czy córeczkę właśnie ich. Nie mogłam się pozbierać przez tydzień. Ale widziałam też sytuacje, kiedy między dorosłymi a dzieciakami od razu wyczuwało się jakąś chemię. Znam kilka takich przypadków, kiedy przysposobione dzieci stały się dla swoich adopcyjnych rodziców jak własne. Wyrosły na wspaniałych ludzi, opiekowały się tymi rodzicami do końca życia. Wiem to, bo mamy kontakt. Każde dziecko to inna historia, jedne kończą się smutno, inne radośnie. Rozumie pani, o czym mówię?

– Chyba tak.

– Kiedy w domu dziecka przebywa rodzeństwo, a ktoś, jak już wspomniałam, z różnych względów wyrazi chęć adopcji tylko jednego z nich, pod uwagę brane są dwie kluczowe rzeczy: istnienie więzi między rodzeństwem lub jej brak oraz brak zgody na przysposobienie wyrażony przez jedno z dzieci. O tym pierwszym orzekają oczywiście psychologowie dziecięcy, choć niektórzy z nich twierdzą, że ona zawsze będzie i nigdy całkiem nie zaniknie. Jeśli jednak w ocenie specjalistów ta więź z jakichś powodów zanikła, to sąd nie ma problemu z otwarciem drogi prawnej do przysposobienia tylko jednego z rodzeństwa.

– Między nimi nie było więzi?

– Była. – Imielska popatrzyła gdzieś w ścianę ponad głową Iwony. – Była…

– To dalej nic nie rozumiem.

– Piotrek wykazał się ogromną dojrzałością. Czternastolatek zachował się jak odpowiedzialny dorosły. Lidka spodobała się tym ludziom od początku. Była śliczną dziewczynką. Dość dobrze się uczyła, była sympatyczna. Matki praktycznie nie pamiętała, jej całe świadome życie to był nasz dom. Ona bardzo chciała iść do tych ludzi. A Piotrek nie. On pamiętał matkę i nie wyobrażał sobie, żeby obca kobieta mogłaby ją zastąpić i musiałby do niej mówić „mamo”. Juszczakowie byli zachwyceni Lidką, przyjeżdżali tu praktycznie co kilka dni. Byli już wtedy po czterdziestce, dojrzali ludzie,

ona była bezpłodna, a w tamtych czasach, z czego pewnie zdaje sobie pani sprawę, nie było instytucji surogatki.

– Dziś też nie ma.

– Zgadza się, ale obie wiemy, o czym mowa. W każdym razie Piotrek wolał, żeby jego siostra dostała szansę na normalny dom z nowymi rodzicami, zamiast mieć ją przy sobie tutaj. Rozmawialiśmy na ten temat wiele razy. I nie bez znaczenia była tu rola Mateusza.

– Przekonał go do tego?

– Nie wiem, czy można tak to nazwać. – Imielska wzruszyła leciutko ramionami i upiła łyk swojej herbaty. – Dyskutowali o tym po prostu.

– A Reinert? – Iwona z premedytacją użyła nazwiska Krzyśka, choć jej samej zazgrzytało to w uszach. – Jaki on miał stosunek do tej kwestii?

– Nie wiem. O tym akurat Piotrek mi nie mówił. Ale… – Imielska zmarszczyła lekko brwi i spojrzała gdzieś w bok, jakby coś jej się nagle przypomniało.

– Ale? – podpowiedziała łagodnie Iwona.

– Coś mi przyszło do głowy. – Starsza pani wróciła wzrokiem do twarzy Iwony. – Pamięta pani, kiedy mówiłam, że Krzysiu Reinert miał problemy emocjonalne i spędził trochę czasu w szpitalu psychiatrycznym na obserwacji?

– Tak. – Iwona poczuła zimno pełzające jej pod koszulką.

– Właśnie sobie skojarzyłam, że to się stało niedługo po wyjeździe Lidki.

– Myśli pani, że to ma jakiś związek?

– Nie mam pojęcia, ale wątpię. – Uśmiechnęła się lekko. – Po prostu teraz mnie to uderzyło.

– Co się działo potem?

– Lidia została w końcu adoptowana przez państwa Juszczaków i opuściła placówkę. Mieszkali w Szczecinie, czasem dzwoniła do Piotrka, pisali do siebie listy, a raz na miesiąc, dwa cała trójka przyjeżdżała do Łobza, zresztą taka była cicha umowa: Piotrek i Lidia nie chcieli absolutnie zrywać ze sobą kontaktu. A potem Juszczakowie wyjechali na kilka lat do NRD. Po zmianie ustroju, kiedy wrócili, straciłam z nimi kontakt, a Piotrek osiągnął pełnoletność i usamodzielnił się. Podejrzewam, że Juszczakowie mu trochę pomogli, bo utrzymanie się na studiach bez wsparcia jest trudne, nawet z tym stypendium, które mu załatwiliśmy. W latach dziewięćdziesiątych

tylko Piotrek odezwał się do nas kilka razy, potem przestał, a teraz już wiem, że wyjechał do Australii.

– Lidia kontaktowała się z państwem kiedykolwiek później?

– Nie. – Imielska zdecydowanie pokręciła głową. – Nigdy. Nie mam pojęcia, co się z nią teraz dzieje. Juszczakowie muszą być albo w podeszłym wieku, albo już nie żyją, nie oszukujmy się, czas jest nieubłagany. – Uśmiechnęła się lekko, bardziej do siebie niż do Iwony, a ona w tej samej chwili pomyślała o matce.

– Czy dysponuje pani jakimś jej zdjęciem? – zapytała Imielskiej, odganiając te myśli.

– Oczywiście! – Starsza pani uśmiechnęła się szeroko.

– Ten wasz album, co? – Iwona uniosła lekko kąciki ust.

– Został w domu. To znaczy w placówce. Wzięłam tylko jej fotografię. – Imielska sięgnęła do leżącego na blacie notesika, w jakim starsi ludzie zwykle lubią sobie notować różne rzeczy albo trzymać paragony, i otworzyła go. – Proszę, tak wyglądała Lidka.

Położyła zdjęcie przed Iwoną, a ona na chwilę wstrzymała oddech.

Widoczna na nim dziewczynka faktycznie była prześliczna. Przypominała trochę Winnie Cooper, bohaterkę serialu *Cudowne lata,* w której oprócz Kevina podkochiwała się połowa chłopaków z podwórka Iwony, a może i z całego kraju. Miała sięgającą brwi grzywkę i długie, błyszczące w słońcu włosy. Mieniły się jak pióra kruka i to, że zdjęcie było czarno-białe, nie miało znaczenia: widać było na pierwszy rzut oka, że w rzeczywistości były czarne jak smoła.

„Carne jako noc huncfuty".

Iwona chwyciła zdjęcie zachłannym, niemal drapieżnym ruchem.

– Muszę je wziąć – powiedziała niskim z napięcia głosem.

– Oczywiście. – Imielska było lekko zdziwiona, ale nie oponowała. – Z tyłu napisałam datę jej urodzenia.

Iwona upiła kilka łyków herbaty, która zdążyła już trochę ostygnąć.

– Jeszcze raz serdecznie pani dziękuję. – Wstała od stołu.

– Czy zadzwoni pani do mnie, kiedy Mateusz się znajdzie? – zapytała starsza pani.

Iwona zwróciła uwagę, że powiedziała: kiedy, a nie jeśli.

– Obiecuję – odparła poważnie.

Natychmiast po wyjściu zadzwoniła do Giluka.

– Potrzebuję pilnie informacji – wydyszała do telefonu, wpatrując się w zdjęcie dziewczynki. – Lidia Juszczak, urodzona jako Lidia Łaszcz trzynastego sierpnia siedemdziesiąt sześć. Nazwisko zmienione po adopcji, nie wiem, jak to wygląda teraz, czy go znów nie zmieniła albo czy nie ma nowego, na przykład po mężu. Znajdź mi ją, proszę. Adres zamieszkania, zameldowania, cokolwiek. Aha, jeszcze jedno: jak już ją znajdziesz, to sprawdź, czy nie jest na nią przypadkiem zarejestrowany land rover.

– Jaki?

– Nie wiem, jaki konkretnie, taki kanciasty, charakterystyczny, to chyba starszy model… Ciemny lakier. Zresztą nieważne. Jeśli tak, to na pewno będzie ten. Czekam.

– Okej, zadzwonię, jak coś znajdę.

– Na razie. – Rozłączyła się i jeszcze przez kilkanaście sekund wpatrywała się w ciemne oczy siostry Łaszcza, trzeciego z muszkieterów, a potem zapytała: – Kim naprawdę jesteś, D'Artagnanie?

UDERZENIE

Ledwo Iwona zdążyła wrócić do domu i odsapnąć, dostała dwa telefony. Tego od Giluka się spodziewała. Dał jej warszawski adres Lidii Juszczyk i potwierdził z lekkim zdziwieniem, że faktycznie jest na nią zarejestrowany land rover discovery w kolorze eiger grey, czyli zapewne jakimś odcieniu szarego. Podał jej numer rejestracyjny, który zapamiętała.

– Miałem o nic nie pytać, ale korci mnie – powiedział na koniec Giluk.

– Wyobrażam sobie – odparła tylko i pożegnała się ze śmiechem.

Telefonu od Brusia się nie spodziewała.

– Dzień dobry, panie inspektorze – przywitała się, zastanawiając się, czy mówić mu o Lidii Juszczak.

Ale Bruś nie dał jej nawet szansy.

– Nie taki dobry – powiedział ponurym głosem. – On znów uderzył.

– Kurwa… – wyrwało jej się. – Gdzie tym razem? I kto?

– Warszawa. Szycha z jednej z farmaceutycznych korporacji. Pasuje do schematu, co?

– Jak ulał. – Głośno wypuściła powietrze przez nos. – Późnym wieczorem będę u pana.

– Chyba nie ma sensu, żeby się pani spieszyła. Zanim pani dojedzie, miejsce będzie uprzątnięte.

– I tak muszę tam przyjechać.

– Skoro tak…

– Być może mam trop. Kobieta, o której panu mówiłam.

– Ta brunetka?

– Tak.

– W jaki sposób jest z nim powiązana?

– Przez dom dziecka.

– Jednak?

– Jednak.

– A teraz?

– Jak jest z nim powiązana teraz, to dopiero zamierzam ją zapytać.

– Dobrze, w takim razie niech pani przyjedzie jutro, bez pośpiechu. Porozmawiamy na spokojnie.

Iwona nie wiedziała, co zrobić z czasem. Popołudnie i wieczór spędziła, snując się po domu, robiąc pranie i skacząc po programach telewizyjnych. Zarezerwowała sobie na Bookingu jakiś tani hotel w Warszawie i nie wiedząc kiedy, zasnęła na kanapie z laptopem na kolanach. Obudziła się po dwudziestej trzeciej i przeniosła do łóżka. Ze Szczecina wyjechała o czwartej rano, i tak nie mogła spać, więc uznała, że nie będzie tracić czasu. Kiedy jechała niemal pustą ekspresówką, jak zwykle przypomniała sobie okres pracy dla Klubu 526. Sporą część czasu, jaki poświęcała na poszukiwanie Matta, spędzała w samochodzie, często nocami. A potem wróciła wspomnieniami jeszcze dalej w przeszłość i uświadomiła sobie, że jeździ po całej Polsce jak kiedyś, w robocie, kiedy była szefową zespołu realizującego zatrzymania. Od ciągłej, wymuszonej pozycji w fotelu kierowcy drętwiał jej już kark i bolał dół pleców.

Kiedy koło południa przyjechała do siedziby komendy głównej CBŚP, jakiś policjant w cywilu przejął ją tuż przy drzwiach i zaprowadził do gabinetu Brusia. Zastępca komendanta nie bawił się w zbędne ceregiele i od razu posadził Iwonę przed swoim laptopem.

– Adrian Krępicz, dyrektor zarządzający w polskiej filii jednej z dużych amerykańskich firm farmaceutycznych – zaczął, wpatrzony w monitor, suwając myszą po blacie. – Absolwent matematyki, studia MBA, potem typowa ścieżka korpo: pracował w różnych firmach po kilka lat, również za granicą, zdobywał doświadczenie, zajmował coraz wyższe stanowiska. Siedziba firmy mieści się w warszawskim Mordorze, to właśnie przed biurowcem Krępicz został zastrzelony w biały dzień. Facet był samotny. Mieszkał w Wilanowie. Współpracownicy określają go jako raczej niesympatycznego, choć często imprezował, ale nie wiemy, w jakim towarzystwie. Sąsiedzi twierdzą, że często sprowadzał do siebie kobiety, ale to były przygody na jedną noc i niemal zawsze były to bardzo młode dziewczyny. Nie utrzymywał kontaktów z sąsiadami, więc nie znamy żadnych szczegółów. To film z monitoringu przy wejściu do biurowca, w którym pracował.

Kliknął przyciskiem myszy i zastygłe w zatrzymanym kadrze postacie ożyły. Iwona widziała szerokie schody przed wejściem do biurowca. Kilka osób wchodziło po nich albo z nich schodziło, praktycznie wszystkie były

w garniturach, a w dłoniach dzierżyły teczki, atrybuty korposzczurów. Tylko jedna, stojąco nieruchomo postać nie pasowała do tego obrazu. Ubrana była w długi, ciemny płaszcz, na głowie miała czapkę z daszkiem, a na twarzy okulary przeciwsłoneczne i maseczkę. Na ramieniu wisiała jej wielka torba na ciężkie zakupy z logo jednego z hipermarketów. Człowiek ten przypominał trochę bezdomnego zaliczającego uliczne śmietniki w poszukiwaniu rzeczy, które pozwolą mu przetrwać na ulicy. Iwona wiedziała, że to zamachowiec. Kamera zainstalowana nad wejściem uchwyciła nagle kolejną postać. Iwona widziała ją od tyłu: łysina, wąskie plecy okryte granatową marynarką, wąskie spodnie i płaszcz przewieszony przez przedramię, w drugiej ręce oczywiście teczka.

– Krępicz – mruknął Bruś, gładząc się po podbródku.

Iwona stała za jego plecami, patrząc mu przez ramię na monitor.

Mężczyzna zaczął zbiegać truchtem ze schodów, kierując się w stronę człowieka w płaszczu. W tej samej chwili ów człowiek sięgnął do torby, wyjął z niej karabinek i prawie nie mierząc, puścił krótką serią w stronę Krępicza. Ten zgiął się wpół jak szmaciana lalka i upadł na schody z szeroko rozrzuconymi rękami. Osoby znajdujące się w kadrze rozpierzchły się na wszystkie strony.

Bruś kliknął pauzę.

– Jak na jakimś filmie, co? – rzucił, odwracając głowę. – Mówię o okolicznościach: jak to jest wykadrowane. Wybrał chyba najbardziej wyeksponowane miejsce.

– Nie robi tego po cichu i ukradkiem. Ryzykuje, ale widać chce, żeby pozostali się bali. Jak Rzechulak.

– Możliwe.

– Jak uciekł?

– Uberem.

– Słucham? – Iwona spojrzała na Brusia zaskoczona.

– Dosłownie dwie minuty po zamachu pod sąsiedni budynek podjechał samochód z ukraińskim kierowcą. Zamówiony z aplikacji, z telefonu, uwaga: Krępicza.

– Jego morderca odjechał z miejsca zbrodni autem zamówionym przez ofiarę z jej telefonu?

– Tak. Nie wiemy, jak to możliwe.

– W zasadzie to nic niemożliwego. – Iwona wzruszyła ramionami po chwili zastanowienia. – Mógł mu kazać to zrobić.

– Zamówić sobie ubera?

– Krępicz wyraźnie szedł w jego stronę. Widać tamten kontaktował się z nim wcześniej i kazał na umówioną godzinę wezwać ubera, którym mieli gdzieś razem pojechać. Może pod pozorem szantażu?

– Dlaczego pozorem?

– Szantaż jest wykluczony. To kara. No i koniec końców rozwalił go, prawda?

– Fakt.

– Trzepiecie już jego gadżety? Maki i iPhone'y?

– Oczywiście.

– Co dalej z tym uberem?

Bruś wykrzywił usta.

– Zawiózł go niedaleko, w rejon Okęcia. Tam wysiadł, sprawdzono okoliczny monitoring i okazało się, że wziął taksówkę z postoju. Ustalono, jaka to korporacja, ale to trochę trwało. Ten drugi zawiózł go do Ursusa w okolice pływalni i tam niestety trop się urwał.

– To mogłoby potwierdzać, że wykorzystał Krępicza do zmylenia pogoni – mruknęła w zamyśleniu Iwona. – Musiał mieć zorganizowaną drogę ucieczki, a skoro skorzystał z tego ubera, to oznacza, że był jej elementem, stąd moje podejrzenia co do wcześniejszego kontaktu z Krępiczem. Może to jakoś wyjdzie po sprawdzeniu komunikatorów. Kierował się na południe…

Bruś spojrzał na nią.

– Wspominała pani, że podejrzewa, że przyczaił się gdzieś w rejonie Warszawy. Ursus?

– Niekoniecznie. To także okolice, gdzie są wylotówki.

– Niby tak… No nic, obejrzyjmy dalej.

Bruś znowu nacisnął trójkącik „play" i obraz ponownie ożył. W kadrze były już wyłącznie dwie osoby: Krępicz i jego zabójca. Ten drugi podszedł do ciała, chowając karabinek do torby. Taki sam, z jakiego Matt rozwalił Golczewskiego. Iwona nie mogła z całą pewnością stwierdzić, że ten sam, ale nie miała wątpliwości, że to Heckler&Koch. Pochylił się nad Krępiczem, a potem nad nim kucnął. Poły jego płaszcza okryły go jak mały namiot, z którego wystaje tylko głowa, ale i tak widać było, jak delikatnie przesunął

mankiet marynarki swojej ofiary, odsłaniając zegarek, jakby chciał sprawdzić, która godzina.

– Czemu traci czas? – zapytał Bruś.

– Nie przyjechał jeszcze uber.

– Jest niewiarygodnie opanowany. Każdy na jego miejscu kręciłby się, szukał już drogi ucieczki, a on nic. Zwleka. Jest… – Przez chwilę inspektor szukał właściwego słowa. – Beznamiętny.

– Nie ma aż tak dużo ludzi – zauważyła Iwona. – To taka pora, kiedy wszyscy siedzą w pracy. Już do niej przyszli, jeszcze nie poszli na lunch, brunch czy jak tam to się w korpo nazywa. Workowata czapka, słoneczne okulary, maseczka na twarzy, która wciąż jeszcze nikogo nie dziwi. Nie do rozpoznania. A pod taką czapką można ukryć sporo.

– Co pani ma na myśli?

– Włosy. Długie, gęste włosy.

– Znów ta kobieta? Kim ona jest?

– Za chwilę panu powiem… – Spojrzała na ciemną postać stojącą nad ciałem Krępicza.

Nie klęczał już nad nim, tylko stał z pochyloną głową. Nagle coś przyszło jej do głowy, ale natychmiast umknęło, kiedy zauważyła, że zamachowiec zaczyna się dziwnie zachowywać.

– Co on robi? – zapytała.

Bruś zbliżył twarz do ekranu i podniósł okulary, przyglądając się uważniej.

– Jakby się trząsł – stwierdził.

– Jezu, on płacze…

– Płacze?

– Tak, płacze.

– Rozkleił się.

– Na to wygląda. I traci przez to czas. Matt nigdy by sobie na to nie pozwolił. Ani na płacz, ani na stratę czasu, zwłaszcza w takiej sytuacji.

– Sądzi pani, że to nie Grzeliński?

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ekran w milczeniu.

– Znowu strzela prawą ręką. To nie on. A płaczą zwykle kobiety, prawda?

– Nie tylko, pani Iwono. Każdy ma słaby punkt. Każdy. Może on właśnie dotarł do swojego?

– Nie Matt. – Zamknęła na chwilę oczy i pokręciła przecząco głową. – Nie on.

Bruś zsunął okulary z czoła na nos, ale po chwili zdjął je i zaczął wycierać szkła specjalną czarną szmatką. Robił to starannie i metodycznie, jakby dawał sobie czas do namysłu.

– A nie dopuszcza pani myśli, że z racji niewielkiej odległości nie musi strzelać tak, jak się nauczył, tylko tak, jak mu wygodniej? – zapytał. – Mam na myśli, że nie musi celować, bo strzela z bezpośredniej odległości, poza tym wspominała pani, że został ciężko pobity. Mogli mu złamać lewą rękę, albo chociaż uszkodzić na tyle, że nie jest w stanie sprawnie się nią posługiwać.

– W willi jakoś strzelał… – przypomniała mu.

– Może był w szoku i nie czuł jeszcze bólu? – Założył okulary na nos i spojrzał przez nie, jakby się upewniał, czy szkła są czyste.

Iwona westchnęła. Tu wszystkie pytania zaczynały się od „może”.

– Wie pan przypadkiem, ile wzrostu miał ten Krępicz? – zapytała Brusia.

– Nie. Wygląda na wysokiego. A zamachowiec dorównuje mu wzrostem, więc to kolejna rzecz, która pozwala zakładać, że to jednak Grzeliński.

Iwona milczała przez chwilę, potem objęła się wpół i spojrzała na Brusia spod zmarszczonych brwi.

– Kobieta, o której panu mówiłam, to siostra przyjaciela Grzelińskiego z domu dziecka. Została adoptowana jeszcze w dzieciństwie przez pewnych ludzi, jej brat został w placówce. Razem w Grzelińskim i moim partnerem. Nazywali ich tam trzema muszkieterami, bo trzymali się razem. Byli ze sobą bardzo związani. I tak sobie myślę, że z jakichś powodów znów się wspierają i pomagają sobie.

– Wspierają się w zabijaniu zboczeńców? A co ma z tym wspólnego pani partner?

– Tego właśnie nie wiem. Jak pan sobie zapewne wyobraża, kreślę w głowie różne scenariusze, niektóre czarne…

„Carne jako noc…”

Przypomniała sobie, jak zapytała o to Matta przez telefon. Zapytała, czy Krzysiek ma z tym coś wspólnego, czy może nawet w jakiś sposób jest związany z grupą zwyrodnialców zwaną Klubem 526. Przysiągł jej wtedy, że nie. Powiedział, że nie ma pojęcia, co się z nim stało, dlaczego odszedł,

dlaczego zniknął z jej życia. Nie zająknął się nawet słowem, że go zna. Okłamał ją. Łgał. A skoro łgał w jednym, to dlaczego nie w innych rzeczach?

– Mam nadzieję, że to nie jest tak, że pod pozorem poszukiwań inspektora Grzelińskiego tak naprawdę szuka pani swojego partnera – powiedział cicho Bruś.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Pan jeszcze nie rozumie, że to to samo? Że jak znajdę Grzelińskiego, to znajdę i Krzyśka? I na odwrót?

– A ta kobieta?

Poczuła, jak bezwiednie marszczy jej się nos.

– Ona mnie do nich doprowadzi.

– Potrzebuje pani wsparcia?

– Nie teraz. Ewentualnie poproszę o obserwację, ale o tym dam panu znać po rozmowie z nią. Nie wiem jeszcze, czy w ogóle przebywa pod wskazanym adresem, a przede wszystkim czy naprawdę chodzi o nią. – Iwona wskazała podbródkiem na komputer Brusia. – Teraz przynajmniej wiemy, że nie przestał, a tylko czekał na okazję.

– Niech go pani znajdzie. – W głosie Brusia usłyszała oprócz zmęczenia jakieś twarde tony.

– Robię, co mogę, panie komendancie – powiedziała, patrząc mu w twarz. – Jeżdżę po całej Polsce, nie sypiam po nocach, nurzam się w ludzkim szambie, wysłuchuję od ludzi rzeczy, których nie powiedzieliby nawet najbliższym…

– Pani mnie źle zrozumiała – przerwał jej. – Nie mam do pani pretensji, że to się przedłuża, tylko…

– Wiem. – Zrobiła to samo, przerywając mu praktycznie w pół słowa. – Wiem, że nie o to panu chodziło.

Pożegnała się z Brusiem, nie oglądając filmu do końca, wyszła z budynku odprowadzona przez tego samego młokosa i znalazła na ulicy swój samochód. Wsiadła, posiedziała chwilę z głową opartą o zagłówek fotela, a potem nastawiła nawigację. Według informacji od Giluka Juszczak mieszkała na Woli przy ulicy Obozowej. Gdy Iwona zajechała na miejsce, zobaczyła niewysokie bloki z płaskimi dachami, wszystkie takie same, jak z jednej sztancy, ustawione równolegle do siebie jak zęby grzebienia i odgrodzone od ulicy zielonym płotem. Odnalazła właściwy i skorzystała, że ktoś akurat z niego wychodzi. Złapała zamykające się drzwi i weszła na

klatkę schodową. Juszczak mieszkała pod jedynką. Iwona stanęła pod drzwiami i wcisnęła przycisk dzwonka. Usłyszała rzężenie po drugiej stronie i zrobiła głęboki wdech, jakby chciała, żeby tego powietrza starczyło jej na bardzo długo. Trzask zamka przyspieszył bicie jej serca. Poczuła, jak pocą jej się dłonie.

A potem drzwi się uchyliły i kiedy tylko Iwona ujrzała kobietę, która je otworzyła, serce niemal stanęło jej w piersi.

Znalazła swojego D'Artagnana.

LIDKA

– Czy pani Lidia Juszczak? – zapytała bez tchu.

W oczach kobiety zobaczyła szok i niedowierzanie. I coś jeszcze. Ona ją poznała. Wiedziała, kim jest Iwona i nie potrafiła tego ukryć. Zbladła wyraźnie, a czerń włosów tylko pogłębiła kontrast z alabastrową skórą.

– Ttak – wyjąkała, starając się ukryć zmieszanie. – Pani w jakiej sprawie?

– Wie pani dobrze w jakiej. – Iwona obrzuciła wzrokiem całą jej postać.

Juszczak była dość niska i dlatego nie pasowała na potencjalnego zamachowca. Oczywiście nie wykluczało to współpracy, ale to na pewno nie ona strzelała.

– A więc kto?

– Nie wiem, o czym pani mówi – upierała się. – Nie wiem, kim pani jest i o co pani chodzi.

– Dobrze. – Iwona westchnęła ciężko. – Komisarz Iwona Banach, Centralne Biuro Śledcze Policji. Lepiej? – Spojrzała kobiecie w oczy i dodała z niemałą satysfakcją: – Tak, znów jestem policjantką, bo widzę, że trochę to panią zdziwiło. Dlatego bardzo proszę o wpuszczenie mnie do środka. Chyba musimy porozmawiać.

Juszczak oblizała usta.

– Ja niczego nie muszę. Ani z panią rozmawiać, ani tym bardziej wpuszczać pani do środka – powiedziała, mrużąc ciemne oczy. – Nie ma pani prawa wejść do mojego mieszkania bez nakazu. Pani wizyta tutaj nie jest również związana z postępowaniem w niezbędnym zakresie określonym w artykule trzysta osiem kodeksu postępowania karnego. Nie zakłócam ciszy nocnej ani porządku, nie dzieje się tu nic, co uzasadniałoby pani wejście do mojego mieszkania. A więc nie, nie będziemy rozmawiać. Do widzenia.

Iwona nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

– To Matt nauczył panią numerków i paragrafów, co? – zapytała.

Zobaczyła w oczach Juszczak, że trafiła.

– Nie uniknie pani tej rozmowy, odbędzie się prędzej czy później, ale raczej prędzej. – Iwona kuła żelazo, póki gorące. – Daję pani szansę na

porozmawianie na pani terenie. Na spokojnie. Daję pani szansę na rozmowę, po prostu.

– Pani mi grozi?

– Ja? Skąd. Informuję panią, jaka jest sytuacja. Bo pani chyba rozumie, że ja nie mam nic do stracenia, prawda?

– Pani to mówi jako policjantka czy prywatnie ma mi pani coś do zarzucenia?

– Nie wkurwiaj mnie – warknęła, zanim się zorientowała, co mówi.

Juszczak przegięła. Ona też, ale tamta była pierwsza. Iwona była pewna, że wie o wszystkim, a jednak ośmieliła się zagrać nieczysto. Mogła zgrywać głupią do końca i iść w tym na całość, a tymczasem wbiła jej szpilę, jakby miała gdzieś, że rani ją tym do żywego. Może miała?

– Proszę stąd odejść. – Głos Juszczak zmienił się w szept, a jej twarz odrobinę złagodniała, jakby właśnie uświadomiła sobie, co zrobiła, choć nie zmieniło to jej podejścia. – Nie mam pani nic do powiedzenia.

Iwona nie miała wyjścia, musiała dać za wygraną, przynajmniej w tej chwili.

– Wrócę tu – zapowiedziała. – I nie będę już taka grzeczna.

– Znów mi pani grozi.

Iwona zgarbiła się lekko i zmrużyła oczy.

– Nie wiem, czy wiesz, jak to jest stracić wszystko – syknęła. – Jakie to uczucie, kiedy tracisz wszystko oprócz życia, ale i tak zastanawiasz się, czy nie warto stracić także jego, bo przestaje mieć sens. A potem dostajesz szansę, żeby odzyskać choć część tego, co straciłaś.

Juszczak lekko wychyliła się na korytarz i Iwona była pewna, że ją złamała. Że zaraz wpuści ją do środka i wtedy będzie mogła ją wreszcie zapytać o Matta. Może to będzie trudna rozmowa, pełna emocji i łez, może będzie ją musiała jeszcze przekonywać, rozgrywając wszystko naprawdę z głową, ale dostanie to, po co przyszła.

– Dobrze wiem, jak to jest – wyszeptała, patrząc Iwonie w oczy: była tak blisko, że poczuła zapach papierosów dochodzący z jej ust. – Nie masz pojęcia, jak bardzo dobrze to wiem. A teraz idź już. Nie wiem, gdzie on jest. I nie chcę wiedzieć.

Drzwi zamknęły się nagle z hukiem, a Iwona drgnęła zaskoczona hałasem. Zdziwiona jak cholera tym, co powiedziała Juszczak, nie zarejestrowała momentu, w którym za nimi zniknęła. Zupełnie jak w Łodzi,

umknęła jej sekunda, może dwie, choć tym razem nie było konsekwencji. Stała ze stężałymi mięśniami, zastanawiając się nad ostatnimi słowami Juszczak. Kogo miała na myśli? Matta? Czy Krzyśka?

Postała jeszcze przez chwilę pod drzwiami niezdecydowana, co robić dalej, a potem nie pozostało jej nic innego, jak tylko wzruszyć ramionami i się zmyć. Wyszła na ulicę i zadzwoniła do Brusia.

– Znalazłam ją. Odmówiła wpuszczenia mnie do mieszkania, a nawet rozmowy. Poznała mnie, jestem tego pewna. Była zaskoczona, widząc mnie w drzwiach. Poproszę o zorganizowanie ekipy do obserwacji. Wiem, że z podsłuchem trochę to zajmie, ale pewnie teraz gdzieś dzwoni, może do Matta, może do mojego Krzyśka. Sprawdźcie połączenia. Czekam na ekipę, Obozowa sześćdziesiąt siedem. – Rozłączyła się i schowała telefon.

W oczekiwaniu na przyjazd policjantów spacerowała wzdłuż płotu, nie spuszczając wejścia z oczu. Myśli kłębiły jej się w głowie, ale żadnej nie potrafiła złapać i zatrzymać na dłużej. Patrzyła na niemal bezlistne korony drzew, potem znów na blok i nagle w oczach stanął jej dom Jończyka. Otwarte drzwi. A potem usłyszała samą siebie, jak tłumaczy prokuratorowi Holzowi, że ten ktoś, kto wtedy był w jego domu, mógł uciec przez okno. Przeklinając własną głupotę, pobiegła wzdłuż płotu, będąc niemal pewna, jaki widok zastanie z tyłu bloku. Niestety, nie pomyliła się. Otwarte na oścież okno mieszkania na parterze było jak symbol jej porażki. Rozejrzała się dookoła, ale nie zobaczyła Juszczak. Zerknęła na zegarek: od rozmowy z Brusiem mogło minąć niecałe dziesięć minut i tyle wystarczyło Juszczak w zupełności. Bezsilnie zaciskając pięści, wsiadła do swojego volkswagena i trzasnęła drzwiami, aż niewielkie auto się zatrzęsło. Nie miała wyjścia; znów wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Brusia.

– Spierdoliła mi – poinformowała go krótko. – Proszę o podanie namiarów patrolom na mieście: ciemnoszary land rover discovery o numerach rejestracyjnych Wojciech Renata trzynaście osiemnaście Agata. Bez podejmowania czynności, tylko informacja zwrotna i śledzenie, jeśli trafi na nią radiowóz, niech jak najszybciej przejmie ją jakiś nieoznakowany. Być może Juszczak nim się porusza, niech po prostu mają oczy otwarte, bo nic innego w tej chwili nie mamy.

Powtórzyła numer rejestracyjny, rozłączyła się i ruszyła ulicą Ożarowską w stronę Deotymy i dalej Obozowej. Nagle wdepnęła pedał hamulca, zatrzymując się gwałtownie, aż napięły się pasy bezpieczeństwa.

– Kurwa! – zmełła w ustach przekleństwo, uderzając otwartą dłonią w obręcz kierownicy.

Na chodniku stał zaparkowany land rover Lidii Juszczak. Pusty. Iwona wpatrywała się w niego smętnie przez jakiś czas, aż z tyłu rozległ się krótki sygnał klaksonu. Zerknęła w lusterko; za nią stał jakiś samochód, któremu blokowała drogę. Uniosła dłoń w geście przeprosin i ruszyła, a kiedy znalazła wolne miejsce do zaparkowania, zjechała, wyłączyła silnik, ponownie wybrała numer Brusia i odwołała alarm z samochodem.

– Przepraszam, spierdoliłam to koncertowo – podsumowała.

Bruś przyjął wieści ze stoickim spokojem.

– To nie pani wina. Przecież nie mogła się pani rozdwoić.

Iwona zacisnęła zęby.

– Mogłam mieć już na miejscu ekipę obserwacyjną – warknęła. – Albo stać tak, żeby mieć na oku obie strony bloku.

– Gdybanie nie ma już chyba sensu?

Miał rację. Mleko się rozlało. Zresztą i tak Juszczak pobiegła pewnie od razu w stronę Obozowej, głównej arterii komunikacyjnej warszawskiego Koła, przebiegającej po drugiej stronie rzędu bloków.

– Kiedy spotkamy się ponownie, inaczej będziemy rozmawiać. – Mocą wypowiedzianych słów Iwona chciała przekonać nie tyle Brusia, ile samą siebie.

– A jak chce pani ją zmusić do mówienia? – zapytał inspektor.

Spojrzała sobie w oczy w lusterku wstecznym.

– Jest tylko jeden sposób. Trzeba ją zatrzymać, a najlepiej aresztować.

– Pod jakim zarzutem?

– Podejrzenia o udział w zdarzeniach na Śmiałej.

– Żartuje pani?

– Nie. Widziałam ją tam. Jej samochód i ją w środku.

– Numery pani też widziała?

– Tak.

– Twierdziła pani, że nie.

– Przypomniałam sobie.

– Pani Iwono… My nie żyjemy w Rosji.

– Trzeba tylko pogadać z prokuratorem. Nie takie rzeczy się załatwiało.

– Są granice. Nie będę ich przekraczał.

– Już dawno je pan przekroczył. Grzeliński też. Nie wspominając o Chyle i Golczewskim. Naprawdę ma pan skrupuły? Juszczak jest jedyną dostępną osobą, która w jakiś sposób jest powiązana z tym wszystkim. Swoją ucieczką dała jasny sygnał, że jest w tym umoczona jak cholera! Czego więcej panu trzeba?

– Kto będzie świadkiem, który widział ją i jej auto?

– Ja – odparła twardo.

– To, że była w tamtej chwili na ulicy…

– Widziałam, jak wybiega z willi tuż przed wybuchem i wsiada do szarego land rovera na radomskich numerach. Zapamiętałam je nawet. Może być?

Bruś milczał. Iwona słyszała jego cichy oddech i czuła, że facet walczy ze sobą.

– Najpierw przekonuje mnie pan, że zbyt prędko podejrzewam, że to mój partner jest zabójcą. Potem ja panu daję podejrzaną niemal na tacy. Czego jeszcze panu potrzeba? Ona zniknęła. Jej zniknięcie kosztuje nas czas. A ten działa na korzyść mściciela. Być może właśnie na jej korzyść. Czy to do pana nie dociera? Prokuratorzy wnioskują o areszt dla podejrzanych, którzy w momencie popełnienia przestępstwa byli na drugim końcu kraju czy Europy, mogą to bez trudu udowodnić, a oni i tak im nie wierzą. A sądy do tych wniosków się przychylają. A ona ma coś na sumieniu. Ona naprawdę tam była, rozumie pan? Jest wspólniczką Grzelińskiego!

Bruś milczał. Podejrzewała, co dzieje się teraz w jego głowie. To było jego być albo nie być, choć podobno i tak pogodził się już z nieuchronnym.

– Śledztwa w sprawach zamachów nie są powiązane z tym prowadzonym w sprawie masakry na Śmiałej – powiedział wreszcie.

– Nie szkodzi.

– Ale jeśli ona przyzna przed prokuratorem, że tam była, to powie też o Grzelińskim. Powie o wszystkim.

– Nie sądzę. Podejrzewam, że będzie konsekwentnie odmawiać wyjaśnień, bo tak naprawdę nic na nią nie mamy i ona to wie.

– A pani zeznania?

– Właśnie, tylko to. A mnie nie chodzi o to, żeby rozmawiał z nią prokurator. Chodzi mi o przyciśnięcie jej. To ja z nią muszę porozmawiać, najlepiej od razu po zatrzymaniu, zanim jeszcze prokurator złoży wniosek o areszt. Jeśli przekona nas, że jest niewinna, przekonamy proroka do wycofania wniosku albo uchylenia aresztu, jeśli będzie za późno.

– A jeśli jednak jest winna i pęknie?

– Cóż, musimy się z tym liczyć. – Iwona wiedziała, do czego zmierza Bruś.

– Wtedy Grzeliński stanie się już oficjalnie podejrzanym i sprawy zostaną powiązane. Nie da się już dłużej ukrywać jego udziału w akcji na Żoliborzu i w zabójstwach biznesmenów. I pani udziału też. Mówię o tym pierwszym, oczywiście.

– To teraz nie ma znaczenia – mruknęła buńczucznie. – Kiedy go znajdziemy, wszystko się wyjaśni. Ja będę jego ofiarą, ofiarą jego matactw i to będzie moja linia obrony. Poza tym… On i pan jesteście jedynymi osobami, które wiedzą o moim udziale w całej sprawie. – Nie wspomniała o Roksi ani o Bennerze. – Pan nic nie powie, a on… Nawet jeśli, to będzie słowo przeciwko słowu. A proszę pamiętać, co mi zrobił, mówię o naszym spotkaniu w komendzie i małej scysji z rękoczynami przy wyjściu. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy skonfliktowani. Ale zależy mi na tej rozmowie z Juszczak, zanim zajmie się nią prokurator. Będziemy przynajmniej wiedzieć, na czym stoimy.

– Znam osobiście prokuratora, który prowadzi sprawę Śmiałej – powiedział. – To syn mojego przyjaciela. Wiem, że praktycznie niczego nie mają, błądzą po omacku, mnożą hipotezy. Ale to nie jest głupi chłopak. Będę musiał coś mu dać, rozumie pani?

– Tak, rozumiem.

– Tylko że jest jeszcze jeden drobiazg: Juszczak formalnie nie postawiono zarzutów, więc prokurator nie ma podstaw do wystawienia listu gończego. Ale możemy spróbować procedury poszukiwania w celu ustalenia miejsca pobytu. Do systemu wrzuci się adnotację o natychmiastowym poinformowaniu najbliższej jednostki CBŚP, a najlepiej komórki Giluka. To chyba jedyna rozsądna i możliwa rzecz, jaką możemy w tej sytuacji zrobić.

– Dobrze. – Iwona westchnęła. – Zawsze coś. Niech pan robi, co uzna za słuszne. Czekam na wieści.

Iwona pojechała prosto do hotelu, ale nie zamierzała wracać rano do Szczecina.

Wszczęcie tej procedury nie oznaczało, że może sobie zrobić przerwę. Musiała coś robić, a nie biernie czekać na rozwój wydarzeń. Chociaż głupio to brzmiało, jedyne, co jej przychodziło do głowy, to pojechanie do Kościeliska i popytanie sąsiadów, czy nie widzieli kobiety o długich,

czarnych włosach. Z Warszawy miała tam „tylko” czterysta kilometrów, a nie siedemset pięćdziesiąt.

Znów musiała iść za cieniutką nicią, jedyną, jaką miała.

Swoją drogą, tak charakterystyczny znak rozpoznawczy był dla niej darem od losu. Iwona od zawsze nosiła fryzurę na chłopczycę, ale wiedziała, że kiedy ktoś ma takie włosy jak Juszczyk, poświęca im mnóstwo pracy i czasu. Są jak druga skóra i mimo że przeszkadzają w wielu czynnościach, ich posiadacze godzą się na to, nie zmieniając fryzury latami. Przyzwyczajenie to jedno, ale niektóre kobiety po prostu z zasady nie związują ich czy nie upinają, nosząc je zawsze rozpuszczone, jakby były ich płaszczem. Juszczak najwyraźniej do nich należała.

I Iwona liczyła, że właśnie to ją w końcu zdradzi.

PIERWSZY ŚNIEG

Pierwszy śnieg spadł w Kościelisku zgodnie z zapowiedziami synoptyków. W górach leżał już od września, szczyty od dłuższego czasu przykrywał gruby puch, ale ten, który spadł na położone w dolinach wsie, ledwo powlókł dachy i pola cienką, niemal przezroczystą warstwą. Drzewa dalej czerniały nagimi gałęziami, tylko mróz ścisnął lekko, ścinając pokrywającą drogi wilgoć, i dlatego Iwona jechała przez wieś wyjątkowo ostrożnie.

Zatrzymała się przy Stasince. Dochodziło południe. Giewont zasłaniały chmury, pozostałe szczyty ledwie majaczyły w gęstej wacie z wilgoci. Zdążyła zmarznąć w drodze z samochodu do drzwi chaty. Klucz zaciął się w zamku, więc zaczęła nim szarpać, aż wreszcie dał się przekręcić i drzwi stanęły otworem. Weszła szybko do środka i dopiero kiedy rozpalała w kozie, uświadomiła sobie, że nie pomyślała o Michasiu. Czas uleczył rany? Czy miała inne rzeczy na głowie? A może obie te rzeczy naraz? Patrząc, jak drzazgi zajmują się ogniem, i zaciągając się zapachem dymu, zamknęła drzwiczki i szybrem wyregulowała dopływ powietrza. Wiedziała, że zanim piec się rozgrzeje i w wyziębionej chacie zrobi się ciepło, minie trochę czasu.

Przeszła się po niej, zaglądając w stare kąty, ale starannie omijając wzrokiem wiszące na ścianie zdjęcie jej i Krzyśka z Michasiem. Kiedy czubek buta zapadł się jej nagle w niewielkim wgłębieniu pod starym dywanem, przypomniała coś sobie. Odwinęła jego róg i obrzuciła spojrzeniem kwadratowy fragment podłogi wyraźnie odcinający się od reszty. Deski klapy ułożone były prostopadle w stosunku do pozostałych, a na jednym z boków, lekko pogrążona w specjalnym wyżłobieniu, leżała przytwierdzona do niej rączka. Iwona chwyciła ją z wahaniem. Nigdy nie lubiła tam wchodzić. Nie miała klaustrofobii, ale w środku było zimno, śmierdziało stęchlizną, a pod wilgotnymi ścianami czaiły się kątniki. Podniosła klapę i zaświeciła do środka latarką z telefonu, a potem ostrożnie zeszła po chybotliwych, stromych schodkach. Stanęła w snopie niezbyt mocnego światła padającego z góry przez otwór w podłodze i omiotła latarką wnętrze piwniczki. Cienie tańczyły po ścianach, powodując u niej

zawrót głowy. Zmęczony mózg wysyłał sygnały o swej nie najlepszej kondycji. I wtedy Iwona doznała szoku.

Pomieszczenie wyglądała jak nora. Nora, w której Matt albo Krzysiek, a może obaj musieli żyć przez jakiś czas, Krzysiek pewnie od czasu, kiedy zniknął ponad dwa miesiące temu, a Matt – po akcji na Śmiałej. Na podłodze leżały materace i śpiwory, na małym stoliku stał elektryczny czajnik. W kącie dostrzegła lampę o dużej mocy, jakich używają budowlańcy, a na ścianie wisiała korkowa tablica. Pusta. Iwona podeszła do lampy i przejechała palcem po obudowie. Była pokryta kurzem. Potem zerknęła na czajnik. Rachunki za prąd dostawał i opłacał Jasiek Wawrytko, a oni zwracali mu pieniądze przelewem raz na kwartał. Gdyby ona je dostawała, podejrzane zużycie prądu w teoretycznie pustej chacie zwróciłoby jej uwagę. Znów pokręciła głową nad własną głupotą.

Od czasu wydarzeń w Łodzi była tu już parę razy i przez cały czas miała ich kryjówkę pod stopami. I była tak głupia, że nie przyszło jej nawet do głowy zajrzeć do piwniczki. No ale czy mogła sobie to wyrzucać? Po chwili doszła do wniosku, że jednak tak. Powinna była odłożyć względy osobiste, przestać myśleć jak skrzywdzona kobieta i ofiara systemu, a zacząć tak, jak robią to śledczy. To, że nigdy nim nie była, niczego nie zmieniało. Najęła się na psa, to musiała szczekać i z całych sił starać się wykonać zlecone zadanie, zwłaszcza że robiła to również dla siebie, żeby poznać prawdę o sobie. Powinna była, do kurwy nędzy, skupić się, naprawdę się skupić. Zwłaszcza że znalazła już kiedyś ślady bytności Krzyśka i kogoś jeszcze, pewnie Juszczak, w Stasince. I że to nie dało jej do myślenia?

– Chryste… – westchnęła, jeszcze raz omiatając promieniem latarki z telefonu kąty piwniczki.

Zadrżała i nagle ogarnęła ją przemożna chęć, by jak najszybciej stąd wyjść. Wspięła się po schodkach, wypełzła na podłogę, a potem z hukiem zatrzasnęła klapę, aż w powietrze wzbiły się miliony drobin kurzu. Z furią kopnęła dywan, by zakrył kwadratowy kawałek podłogi, za którym kryła się kolejna tajemnica Krzyśka. I Matta. Poprawiła jego skraj czubkiem buta i przeszła do kuchni, żeby zrobić sobie wreszcie herbaty. Ogień buzował za okopconą szybką kozy, wokół niej powietrze było wyraźnie cieplejsze, ale to wciąż jeszcze nie było to. Otwierając szafkę, Iwona podświadomie obawiała się, że w środku znów natknie się na jakąś przykrą niespodziankę, ale nie: na półce była tylko puszka z herbatą, słoik z kawą rozpuszczalną,

cukiernica i pół tabliczki gorzkiej czekolady, która leżała tam nie wiadomo jak długo. Iwona pstryknęła czajnik i wpatrywała się przez chwilę w niebieskie światełko włącznika, potem wsypała do lekko wyszczerbionego kubka trochę herbaty i cukru i czekała, aż woda się zagotuje. Zalała wiórki wrzątkiem i obserwowała, jak brązowe smugi snują się w wodzie, która ciemniała coraz bardziej, aż zrobiła się prawie czarna. Dolała do kubka trochę wody mineralnej z butelki, ułamała kawałek czekolady, włożyła go sobie do ust i popiła herbatą, czując, jak rozpuszcza się na języku. Prosta przyjemność, jedna z niewielu, jakie ostatnio miała.

Stała z kubkiem wpatrzona w okno i myślała, jak obco czuje się w tym domu. Przez te wszystkie lata zdążyła zapomnieć, jak tu jest, nie czuła się w nim jak u siebie, tak jak kiedyś, kiedy już dotarło do nich, że babcia Stasinka zapisała im chatkę i skończyli w niej remont. A potem umarł tu Michaś i Iwona przestała przyjeżdżać, za to zaczęła wymazywać chatkę i góry z pamięci. Czasem myślała, co porabia tu Krzysiek, kiedy przyjeżdża do Górkówki bez niej, na te kilka dni wyrywa się z roboty i jedzie w Tatry, które oboje kochali. Jak rozpala w kozie po powrocie ze szlaku, jak grzeje sobie herbatę, jak czyta na łóżku i wstaje rano, żeby obejrzeć wschód słońca albo pójść na spacer nad Dunajec czy odwiedzić Jaśka Wawrytkę i zjeść razem z nim śniadanie. Przez prawie osiem lat nie przełamała się, wciąż pamiętała swój rozpaczliwy płacz na progu i to straszne uczucie, że wolałaby umrzeć, niż wejść jeszcze raz do domku, w którym umarł jej synek.

I Krzysiek wykorzystał to, bo to on musiał udostępnić im chatę bez jej wiedzy i zgody. Co więcej, był tu razem z nimi. Co jeszcze z nimi robił? Wciąż nie dopuszczała do siebie myśli, że może mieć coś wspólnego z zabójstwami biznesmenów.

Myśląc o tym, wciąż gapiła się w okno, choć dywan przyciągał wzrok. Nie odwróciła głowy, nie spojrzała na niego, tylko zaczęła studiować widok za oknem, skupiając na nim całą uwagę.

Łąka za domem pokryta była cienką warstwą śniegu, źdźbła trawy wystawały ponad jego pokrywę, pstrząc białą powierzchnię tysiącami ciemnozielonych przecinków. Nagle Iwona zmarszczyła brwi. Pod starą jabłonią zauważyła ciemniejszą plamę. Nie mogła być wynikiem zatrzymania padającego śniegu przez gałęzie, bo nie miały liści i były zbyt rzadkie, poza tym plama ta była zbyt regularna. Miała kształt prostokąta

zwróconego krótszym bokiem w stronę domu. Odstawiła kubek, włożyła kurtkę i wyszła z domku na zewnątrz, w tej samej chwili podmuch przenikliwego, zimnego wiatru wcisnął się jej pod ubranie. Podeszła pod jabłoń i stanęła zamyślona nad ciemniejszym fragmentem trawnika. Niepokoił ją. Mniejsza ilość śniegu oznaczała, że pod spodem jest jakaś pusta przestrzeń, w której panuje wyższa temperatura niż ta, jaką miał zmarznięty grunt. Czyżby kolejna piwnica, o której istnieniu nie miała pojęcia?

Iwona rozejrzała się dookoła i pod ścianą domku zauważyła niewielką deskę. Była złamana, z jednego z jej końców sterczały drzazgi. Chuchnęła w dłonie, roztarła je i wzięła deskę, a potem wróciła do plamy na trawie, wbiła ją w ziemię na skraju i podważyła. Płat trawy oddzielił się od reszty z łatwością, jakby nie był z nią związany. Po chwili Iwona zrobiła to samo drugi raz, potem trzeci. Dźgała trawę z jakąś zajadłością, jakby wkurwiała ją kolejna tajemnica. Nagle na coś natrafiła i kiedy rozgrzebała ziemię, żeby sprawdzić co to, zastygła z otwartymi ustami, z wyciągniętą przed siebie deską, nieświadoma pozycji, w jakiej się znajdowała.

Myliła się podczas rozmowy z Brusiem, twierdząc, że Matt spędzi resztę życia w więzieniu.

Na wystającej spod ziemi nodze tkwił identyczny wojskowy but, jaki widziała u Grzelińskiego w willi Klubu 526.

Nie mogła mieć stuprocentowej pewności, bo w tej sprawie nic nie było takie, na jakie wyglądało, ale najprawdopodobniej Mateusz Matt przez dwa „t” Grzeliński nie żył. Żeby się upewnić, musiałaby zdjąć trawę z drugiej strony ciemniejszego prostokąta, ale na to nie było jej stać. Wyciągnęła telefon i wybrała numer Brusia.

– Znalazłam go – powiedziała krótko, kiedy odebrał, nawet się z nim nie witając. – Znalazłam Matta.

– Gdzie? – Słyszała, że na chwilę stracił dech.

– W Kościelisku. Nie żyje.

– Jak to nie żyje?

– Znalazłam jego ciało. Pochowane.

– Nic nie rozumiem. Gdzie pochowane?

– Na łące przy moim domku w górach. Szukaliśmy nie tego człowieka.

– Chryste… Więc kogo musimy szukać? Tej Juszczak?

– Juszczak to nie wszystko…

– Więc kogo, do cholery? – Bruś podniósł głos i Iwona pierwszy raz usłyszała, jak traci nad sobą panowanie.

Przez chwilę nie była w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie, choć znała ją: stanęła jej przed oczami w tym samym momencie, w którym ujrzała but Matta. Z samego dna gardła wyrwał się jej krótki szloch.

– Halo, jest pani tam? – Głos Brusia brzmiał w jej uszach, jakby dochodził z jakiejś otchłani.

Iwona zamknęła oczy. Nie mogła już wykrztusić ani słowa. Opuściła rękę z telefonem i rozpłakała się.

PODEJRZANA

Iwona obserwowała przez okno kuchni ekipę techników kryminalistycznych z zakopiańskiej powiatówki ekshumujących ciało Matta pod okiem antropologa sądowego z Krakowa i prokuratora prokuratury rejonowej w Zakopanem, który pewnie był akurat na dyżurze. Bruś stał obok niej i robił to samo.

Jakiś czas temu powiedziała mu, że największy problem ze znalezieniem ukrywających się ludzi dotyczy tych, którzy wiedzą, jak to robić. I że Matt zdecydowanie do nich należy. Teraz okazało się, że jest w miejscu, gdzie już nikt nie może go dopaść. Ani o nic zapytać. Pytanie, gdzie jest Krzysiek, ostatni z żyjących muszkieterów, zrobiło się nagle istotniejsze niż to, gdzie był Matt. Jego słowa: „zrobiłem coś strasznego i muszę to naprawić", które wyszeptał jej do telefonu tuż po zniknięciu, nabrały nagle nowego znaczenia. Iwona w zasadzie nie miała już wątpliwości, że ma to związek z tym, co zrobił Grzeliński, a skoro tak, to również z nią. To wszystko było kłębkiem, w który zamotani byli i ona, i Krzysiek, i Grzeliński, i pierdolony Klub 526. Pozostało go tylko rozplątać i zobaczyć, o co chodzi, co kryje się za gąszczem nitek.

Ciało Matta leżało już na szarej płachcie rozpostartej na trawniku. Wyglądało koszmarnie. Dało się rozpoznać twarz, choć w miejscu oczu ziały dwie czarne dziury, nos przypominał te u egipskich mumii, a odsłonięte ściągniętymi wargami zęby szczerzyły się ku niebu w upiornym uśmiechu. Kto go zabił? Kto pochował? Juszczak? Pokłócili się o coś? Wypadek? Zmarł z ran zadanych mu przez Chyłę i Golczewskiego? Na odpowiedzi na większość tych pytań Iwona musiała poczekać do czasu wyników z autopsji. Rozmowa z Lidią Juszczak mogła popchnąć sprawę naprzód, problem w tym, że nie mogła się odbyć z oczywistych względów.

Przez jej, Iwony, nieudolność.

Westchnęła ciężko.

– Wszystko o kant tyłka potłuc – stwierdziła gorzko. – To nie był on. To od początku nie był on. Leży tu od dawna. Nie trzeba być specjalistą, żeby to stwierdzić. Mówiłam panu, że szukaliśmy nie tego człowieka, prawda?

Bruś milczał. Nie było sensu potwierdzać oczywistości. Iwona pobielałymi palcami ściskała uchwyt kubka z herbatą, a drugą dłoń grzała o jego ściankę i wpatrywała się w trupa.

Matt nie żył. I to nie on zabijał klientów Klubu 526. Został jeden muszkieter, choć wciąż była jeszcze szansa, że to nie Krzysztof jest tajemniczym mścicielem. Została też Lidia Juszczak. D'Artagnan. A może raczej milady de Winter? Wredna, zdradziecka suka, zabójczyni, żona jednego z muszkieterów, Atosa? Co wspólnego mieli oni wszyscy z Jończykiem, cholernym księgowym mafii? Od tego wszystko się zaczęło, przynajmniej dla niej. A dla nich? Gdzie był ich początek? Iwona nie potrafiła uwierzyć, że jej partner mógłby kogoś zabić z zimną krwią. Wynosił pająki z domu, mimo że się ich brzydził. Kiedy oglądali razem filmy, jego oczy wilgotniały, choć starał się to ukryć, a ona udawała, że tego nie widzi. Ciepły, wrażliwy facet. Dobry człowiek.

Człowiek, który ją zostawił w najgorszym momencie jej życia…

– Ten z Krakowa to profesor Dźwigaj, szef Katedry Medycyny Sądowej Collegium Medicum UJ-u – powiedział nagle Bruś, wskazując go podbródkiem. – Kiedy tu jechaliśmy, ubłagałem go, żeby wyniki były na wczoraj. Teraz nam pewnie niewiele powie ze względu na stan zwłok, ale obiecał, że się postara. Bardzo postara. Zostaniemy w Krakowie do czasu autopsji, jeśli pani chce.

Skinęła obojętnie głową. Obojętność była jej tarczą. Ile można, kurwa, znieść?

– Pewnie ciągle dostaje takie prośby od prokuratorów – stwierdziła. – Nie dziwił się, że tym razem prosi go o to policja?

– Dziwił się.

– A prorok? On się nie dziwił?

– Nie wie o tym. To było po drodze z Krakowa, a on jest stąd.

– A nie budzi jego podejrzeń wizyta na miejscu szychy z CBŚP?

– Budzi. – Bruś westchnął. – Ale jest pani obecnie naszą funkcjonariuszką, więc to naturalne, że jako pani przełożony interesuję się tym i wolę doglądać wszystkiego na miejscu. Ale to nie moja obecność tutaj jest problemem. – Wskazał kciukiem na okno. – Jak skończy, pewnie będzie panią maglował.

Iwona patrzyła na Brusia zamyślona.

– Wspominał pan wczoraj, że śledztwa w sprawie Falent i zamachów są prowadzone niezależnie. Jest jeszcze to w sprawie Jończyka i kolejne. – Wskazała okno. – Razem cztery oddzielne śledztwa i w sumie dziewięć trupów, nie licząc samego Jończyka i Synka.

W myślach przeleciały jej twarze i nazwiska: Golum, ochroniarz Romek z willi, Kura, Chyła, Golczewski, Kordula, Gąsienica, Krępicz i teraz Matt. Plus Rzechulak traktowany jako samobójca, Damiano zastrzelony przez nią, porąbany rzeźnickim toporem i spalony w piecu przez Goluma. Ale o Damiano nikt nie wiedział. No i nieznana liczba ofiar Klubu 526.

– A wszystkie te sprawy powinny być objęte jednym śledztwem – kontynuowała. – I to się w końcu stanie. A wtedy zacznie się dziać. Więc musimy zrobić to tak, żeby zaczęło się jak najpóźniej. I dlatego nie mam pojęcia, kim jest denat. Pan też nie. – Przełknęła głośno ślinę. – Zrobili sobie tu bazę wypadową. Kryjówkę.

– Matt i ta kobieta?

– Oraz mój partner – dodała gorzko. – Skoro był tu widziany z Juszczak, to też musiał w tym uczestniczyć, to oczywiste. Udostępnił im chatę, wiedząc, że nigdy tu nie przyjadę.

– Nigdy?

Spojrzała na Brusia z zaciętą miną.

– W tym domu osiem lat temu zmarł nasz synek. Miał siedem miesięcy. To była dla mnie trauma. Pan pozwoli, że nie będę niczego więcej tłumaczyć?

– Oczywiście. – Bruś chrząknął w zwiniętą dłoń. – Rozumiem…

Spojrzeli w okno i zobaczyli, że prokurator idzie w stronę domu. Dostrzegł ich i lekko pokiwał głową, jakby dawał im do zrozumienia, że mają się szykować, albo potwierdzał ich domysły, bo zorientował się, że wiedzą, po co idzie do chaty.

– Powodzenia, pani Iwono – mruknął Bruś i niczego więcej nie zdążył powiedzieć, bo prokurator wszedł do środka.

Skinęli sobie głowami i Bruś wyszedł na zewnątrz. Iwona odprowadziła go wzrokiem i oparła się o kuchenny blat pośladkami.

Prorok był około pięćdziesięcioletnim mężczyzną w ciemnym płaszczu i mokasynach, które teraz uwalane były błotem z rozkopanej mogiły Matta. Miał zmęczoną życiem twarz, lekko czerwony nos; nie wiadomo, czy

z zimna, czy z innego powodu, i zaparowane okulary o szkłach mieniących się fioletowymi błyskami powłoki antyrefleksyjnej.

– Prokurator Miłosz Rzepecki – przedstawił się oficjalnie Iwonie, obejrzał jej dowód osobisty i odznakę, wypytał, w jakich okolicznościach nastąpiło, jak się wyraził, ujawnienie zwłok, a potem rozejrzał się po wnętrzu z uznaniem.

– Fajna miejscówka – stwierdził, wracając spojrzeniem do twarzy Iwony i przypatrując się jej zagadkowo: podejrzewała, że to jego służbowy nawyk. – Też lubię góry. Pani jest właścicielem posesji?

– Właścicielką.

– Jedyną? – Nie zareagował na zaczepkę.

– Nie.

– Kto jest współwłaścicielem? Albo współwłaścicielką? – zrewanżował się.

– Mój partner.

– Jak się nazywa?

– Krzysztof Reinert.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i objęła się wpół.

– Nie wie pani? – Rzepecki spojrzał na nią spod zmarszczonych nagle brwi, jakby powiedziała coś dziwnego.

– Nie. – Zastanawiała się, czy ukrywać fakt zaginięcia Krzyśka, ale uznała, że to nie ma sensu.

Nie mogła powiedzieć nawet, że po prostu od niej odszedł, bo formalnie był poszukiwany jako osoba zaginiona i przemilczenie tego mogło zadziałać na jej niekorzyść.

– Zniknął ponad dwa miesiące temu – powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał dość obojętnie, choć nie całkiem beznamiętnie. – Zgłosiłam jego zaginięcie.

To też zabrzmiało podejrzanie jak cholera i była tego świadoma. Widziała to zresztą w oczach prokuratora.

– Czy to może być on? – zapytał Rzepecki, wskazując okno.

– Nie sądzę.

– A skąd ta pewność?

– To nie pewność. Powiedziałam, że nie sądzę, żeby to był mój partner, a nie że to na pewno nie on.

– Dobrze, więc dlaczego nie sądzi pani, żeby to był pani partner? Widziała pani denata, prawie nie ma twarzy.

– Coś zostało. Nie wygląda jak on. Ma inne włosy.

– I nie ma nawet cienia podejrzeń, kto to może być?

– Nie. W ciągu ostatnich paru lat byłam tu może ze trzy razy.

– Kiedy ostatnio?

– Dziś.

– A przedostatnio?

– Nie pamiętam dokładnie, ale niedawno. Aha, na pogrzebie sąsiada. Mieszkał w domu obok, przyjaźniliśmy się.

– Przyjaźniliście się tak bardzo, że była tu pani tylko trzy razy przez kilka lat?

– Istnieje coś takiego jak telefon. – Nie mogła się powstrzymać od uszczypliwości.

Prokurator szukał dziury w całym i rozumiała to, w końcu taka jego rola, ale mógł uszanować fakt, że jest policjantką i zna takie numery nie od dziś.

– Czy tutaj albo w państwa domu znajdują się przedmioty należące do pani męża? Przepraszam, partnera? – Nie wyglądało, żeby zrobił to specjalnie, po prostu się przejęzyczył i chyba nawet było mu głupio, choć udawał, że nic się nie stało.

Iwona też. Była mu nawet wdzięczna, bo oto dał jej szansę na odsunięcie w czasie chwili, w której ktoś powiąże to wszystko ze sobą.

– Tak – potwierdziła. – Nie wiem, jak dawno temu używane, ale jego. Tylko że u mnie w domu, w Szczecinie. Rozumiem, że chodzi o porównanie materiału DNA?

Pytanie było retoryczne. Wiedziała też, że nie znajdzie tu żadnych rzeczy Krzyśka nie dlatego, że ich tu nie było, tylko dlatego, żeby dostać jeszcze trochę czasu. Poza tym wolałaby nie wiedzieć, że na jego szczoteczce do zębów był materiał genetyczny jakiejś kobiety. Na przykład Juszczak.

– Tak. – Prokurator pokiwał głową. – Myślę, że najbardziej prawdopodobną wersją jest ta, że to niestety i wbrew temu, co pani sądzi, jest jednak pani partner. – Spojrzał na nią badawczo. – Pani to rozumie, prawda?

– Oczywiście. – Westchnęła.

– Myślę, że jako policjantka rozumie pani również, że nie jest to nasza ostatnia rozmowa?

Miała świadomość, że będzie pierwszą podejrzaną, zwłaszcza przy założeniu, jakie przyjął prokurator.

– Naturalnie – odparła spokojnie. – Tylko chciałam panu przypomnieć, że to ja odkryłam zwłoki i ja powiadomiłam policję i swojego przełożonego. Gdyby nie to, leżałyby tu do końca świata.

Kolejność powiadomienia była odwrotna, ale prorok nie musiał o tym wiedzieć.

– Zgadza się, dlatego wyjdzie pani stąd jako wolna osoba. Nie każę pani zgłaszać każdego wyjazdu z miejsca zamieszkania, proszę jednak nie opuszczać kraju bez mojej wiedzy. Chciałbym mieć z panią kontakt. Pan komendant za panią ręczy, więc mam nadzieję, że nie wywinie pani żadnego numeru. Przykro mi z powodu uciążliwości, które panią czekają, ale cóż… – Rozłożył ręce i przywołał na usta przepraszający uśmiech.

Prawie wybuchnęła nerwowym śmiechem. Co ten facet mógł wiedzieć o uciążliwościach w jej życiu?

– Do widzenia pani – rzucił od drzwi, wychodząc.

Skinęła mu głową, wciąż objęta wpół, świadoma, że ta poza wiele mu mówi, ale miała to gdzieś. Zyskała trochę czasu.

Tuż po tym, jak za Rzepeckim zamknęły się drzwi, do środka wszedł Bruś, jakby tylko czekał, aż prokurator wyjdzie.

– I jak? – zapytał, rozcierając zmarznięte dłonie.

– W normie. – Wykrzywiła usta. – Nie był nachalny, nic nie insynuował, poza oczywistymi podejrzeniami, ale wiedział, że ja wiem, z czym to się je.

– To dobrze. – Bruś wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Tak, tylko zastanawiam się, czy zmieni zdanie, kiedy w końcu zidentyfikują Matta. Kiedy to nastąpi, to posiedzenie sądu w sprawie wydania postanowienia o moim aresztowaniu będzie trwało trzydzieści sekund. Ktoś się w końcu zorientuje, panie inspektorze. Zaginiony policjant, zwłoki o nieustalonej tożsamości na posesji policjantki, która pobiła go w komendzie. Układanka dla trzylatków.

– W sprawie jego zaginięcia nie ma formalnego dochodzenia.

– I dzięki Bogu…

Iwona czuła, że traci grunt pod nogami. O ile jeszcze jakiś czas temu mogła mieć jakieś poczucie, że ma nad czymś kontrolę, bo wszystko zależało tylko od niej, to teraz nie zależało od niej praktycznie nic. Naprawdę bała się, że ktoś w końcu połączy kropki, choć paradoksalnie mnogość

postępowań prowadzonych w dodatku przez prokuratury w różnych częściach kraju mogła dawać jej nadzieję, że nie nastąpi to zbyt prędko.

Nagle przypomniała sobie o obietnicy, którą złożyła Imielskiej z domu dziecka. Miała dać jej znać, kiedy Mateusz się znajdzie. Spojrzała na swoje stopy i pomyślała, że odłoży to na później.

Kiedy prokurator się zwinął, pojechali z Brusiem do Krakowa.

BLIŹNIAK

Kolejne dni ciągnęły się jak smoła. Iwona spędziła je w Krakowie, czekając na wyniki ekspertyzy: sama, bo Bruś wrócił jednak do Warszawy. Spacerowała po mieście, usiłując nie myśleć o tym, co było i co będzie. Profesor Dźwigaj dotrzymał obietnicy i sprawił się w miarę szybko. Na trzeci dzień po przyjeździe do Krakowa zaprosił ją na prośbę Brusia do zakładu medycyny sądowej. Iwona miała tylko nadzieję, że nie będzie musiała znowu oglądać Matta w takim, a nawet jeszcze gorszym stanie po sekcji. Nie musiała. Profesor spotkał się z nimi w swoim gabinecie. Wyglądał nienagannie i elegancko, ubrany w garnitur, który kojarzył się Iwonie z menedżerem wyższego szczebla, a nie z człowiekiem, który kroi ludzkie zwłoki. Dźwigaj zasiadł za swoim biurkiem, przed nim na blacie leżała teczka, którą w milczeniu otworzył i spojrzał na Iwonę.

– No dobrze – zaczął. – Wciąż nie wiemy, kim jest denat. To z pewnością mężczyzna rasy białej, około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu, ale jego tożsamość jest nieznana. Został pochowany z miesiąc temu, leżał dość płytko, co spowodowało, że zmiany nie są tak rozległe, jak byśmy mogli się spodziewać. Jest jesień, temperatura w ciągu ostatnich kilku tygodni często spadała poniżej dziesięciu stopni, stan zachowania zwłok bez problemu pozwolił ustalić jednoznaczną przyczynę śmierci.

– Czyli? – Iwona nie wytrzymała.

– Krwotok wewnętrzny powstały w wyniku urazów narządów wewnętrznych. Pęknięta śledziona, jelito grube, połamane żebra, odma płucna. Obrażenia spowodowały wynaczynienie sporej ilości krwi do jam ciała, a pęknięcie jelita zapalenie otrzewnej. Chodzi najprawdopodobniej o ciężkie pobicie, choć szczerze mówiąc, ten człowiek wygląda, jakby przejechał po nim czołg albo co najmniej samochód. I to spory. Nie było natomiast złamań kości, z wyjątkiem trzech żeber, ani obrażeń czaszki. Nie stwierdziłem też oznak obrażeń mózgu, choć niezbyt dużo z niego zostało. Mózg zaczyna się rozkładać bardzo szybko – dodał.

Iwona zagryzła wargi. Wiedziała, że to nie był samochód ani czołg, tylko dwóch ludzi. „Skakali po mnie”, powiedział jej wtedy Matt. I wiedzieli, jak

to robić. Miało boleć, ale miał być świadomy. To było przesłuchanie prowadzone gestapowskimi metodami.

– Jak szybko nastąpił zgon? – zapytała.

– To zależy. – Profesor cmoknął kącikiem ust.

– Od czego?

– Od wielu rzeczy – odparł Dźwigaj. – Od masywności krwotoku przede wszystkim. Krwi musiało się wylać sporo, choć to mógł być proces rozciągnięty w czasie. Jeśli uszkodzone jest duże naczynie i organizm nie radzi sobie sam poprzez zakrzep, to idzie szybko. Ale on miał wiele obrażeń. To mogło trwać parę godzin albo parę dni. Trudno powiedzieć.

Kilka dni, pomyślała. Czas zgonu pokrywał się z akcją na Śmiałej. Nawet te sugerowane parę dni nie tłumaczyło niemal błyskawicznego działania zamachowca, bo już nie myślała o nim jako o Grzelińskim. Nie było szans, żeby w takim stanie Matt mógł zrobić cokolwiek poza ruszaniem głową. A jeżeli śmiertelne obrażenia nastąpiły później? I to stąd ta przerwa między ofiarami, bo jednak Chyła z Golczewskim mimo starań nie dali Mattowi rady? W takim razie kto go pobił i kto kontynuował wendetę?

– Czy to możliwe, żeby on mógł w takim stanie na przykład iść? – zapytała. – Tuż po tym, jak został… – Zawahała się. – Nie wiem, przejechany czy pobity?

– Cóż. – Profesor rozłożył szeroko ramiona. – Musiało go boleć jak cholera, urazy narządów są dość bolesne. Ale wie pani, wiele zależy od motywacji. Od konstrukcji psychicznej, indywidualnej odporności na ból i innych rzeczy. Myślę, że mógł kawałek przejść, zanim osłabł. Był silny i dość wysportowany, więc to możliwe. – Uśmiechnął się lekko do niej.

A Iwona znów miała przed oczami obraz Matta wsiadającego z laptopem pod pachą do samochodu prowadzonego przez kogoś z długimi włosami i jego uniesioną ku nocnemu niebu i ściągniętą paroksyzmem bólu twarz. Był wtedy śmiertelnie ranny. Pewnie jeszcze o tym nie wiedział, a może jednak zdawał sobie sprawę. Ale nie skorzystał z pomocy lekarskiej. A może ktoś mu na to nie pozwolił. Pytań było coraz więcej, nabierała przekonania, że to Krzysiek ma z tym coś wspólnego. Nie Juszczak. Krzysiek.

Rozejrzała się po gabinecie, zastanawiając się, czy jeszcze o coś zapytać. W zasadzie wiedziała wystarczająco dużo, przynajmniej na temat przyczyn śmierci Matta. Na pozostałe setki pytań profesor nie mógł jej odpowiedzieć.

Podziękowała mu więc, pożegnała się i prosto z Krakowa ruszyła do Warszawy, żeby spotkać się z Brusiem. Przyjął ją u siebie, poprosiwszy sekretarkę o dwie herbaty. Czekając na nie, Iwona zreferowała mu rozmowę z Dźwigajem i wnioski, do których doszła. Kiedy sekretarka przyniosła dwie filiżanki i cukiernicę, Bruś wstał zza biurka i zamknął za nią drzwi, jakby nie mógł się doczekać, aż przejdą do dalszej części rozmowy.

– Dostałem rano wiadomość, że na zegarku Krępicza znaleziono ślady krwi Grzelińskiego – obwieścił grobowym tonem, znów siadając za biurkiem. – Prokurator jeszcze tego nie wie, ubłagałem szefa laboratorium, żeby się wstrzymał kilka dni z informacją.

– Jak to? – Drgnęła, z trudem oderwała wzrok od widoku za oknem i spojrzała na Brusia. – I skąd mieli próbki do porównania?

– My im je daliśmy. – Bruś spojrzał na nią nieco bezradnie, a ona tylko pokiwała głową. – Pamięta pani, że kucnął przy Krępiczu i zrobił ruch, jakby sprawdzał godzinę. Może się zaciął zamkiem od karabinka?

– Dźwigaj określił czas zgonu na jakiś miesiąc. Najprawdopodobniej zmarł zaraz po akcji na Śmiałej. Więc skąd ślady jego krwi na miejscu zabójstwa Krępicza? I skąd wcześniej magazynek z jego odciskiem palca?

– Może to jednak nie Grzeliński leżał u pani na łące?

– Grzeliński. – Pokiwała głową i grzywka załaskotała ją w czoło, a Iwona pomyślała niespodziewanie, że czas ją podciąć. – Przecież nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Są. Nie mamy jeszcze potwierdzenia, to wciąż NN.

– Ale ja to wiem. I pan też to wie, oglądaliśmy zwłoki, mimo częściowego rozkładu widać było ewidentnie, że to on. To zaprzeczanie jest wyparciem. To również pan wie, prawda? – Spojrzała na niego krzywo.

– A może miał brata bliźniaka? – Bruś zastrzelił ją tym pytaniem.

Zastygła na moment, ale po chwili odrzuciła tę sugestię jako zupełnie nieprawdopodobną.

– Niewykluczone – przyznała jednak z lekkim ociąganiem, bo dotychczasowe doświadczenia nauczyły ją, że w tej sprawie wszystko było możliwe. – Ale skoro w domu dziecka nikt o nim nie wiedział, to raczej mało prawdopodobne.

Iwona nie wyobrażała sobie, że podczas drugiej wizyty w Łobzie Imielska mogłaby jej o czymś takim nie powiedzieć. Pamiętała, jak kajała się, że nie wspomniała o siostrze Łaszcza.

– Może rozdzielono ich, zanim jego rodzice zginęli? – zasugerował Bruś.

– I nagle się spotkali już jako dorośli i zmontowali taką akcję?

– Musi być jakieś wytłumaczenie.

– Oczywiście, że jest. – Prychnęła. – Bardzo proste. Ktoś po prostu usiłuje nas przekonać, że zrobił to Matt.

– Kto i jak?

– Kto? Tego jeszcze nie wiem, ale oboje wiemy, kto może wiedzieć. A jak to robi? Podrzucając przedmioty z jego odciskami palców. Jak ten magazynek przy Gąsienicy.

– Przypominam pani, że ślady krwi w przypadku Krępicza były na jego zegarku. Magazynek magazynkiem, ale zegarek bez wątpienia należał do Krępicza i miał go na ręku w momencie śmierci. On nie założył mu go po zabójstwie, widzieliśmy to na własne oczy. Tylko go dotykał.

– O, właśnie. Po co dotykał zegarka?

– Widziała pani na filmie.

– Ale po co? Kto sprawdza godzinę na zegarku faceta, którego właśnie zabił na oczach ludzi?

– Chciał mu go zdjąć? To drogi zegarek. A może sprawdzał tętno?

– Upewniał się, że nie żyje po wystrzeleniu w niego połowy zawartości magazynka z niecałego metra? Pan żartuje? Nie wiem, o co chodzi, ale on chciał zostawić te ślady. I wiedział, że wszędzie tam jest monitoring i to się nagra. – Zapaliła się nagle, bo przypomniała sobie to, co umknęło jej w gabinecie Brusia, kiedy oglądali film z zabójstwem Krępicza. – Teatrzyk, panie komendancie! To teatrzyk. Chciał, żebyśmy widzieli, że dotyka tego cholernego zegarka, żeby zdjąć odciski, a właściwie znaleźć ślady krwi. Z magazynkiem to samo, chyba nie wmówi mi pan, że go zgubił? To tak, jakby zostawił na miejscu swój dowód osobisty. Śmierdzi na kilometr ściemą.

– Przepraszam, pani Iwono, ale… Pani wie, że to niemożliwe. Grzeliński już wtedy nie żył, jeśli to faktycznie on leży w chłodni na sądówce, jak pani twierdzi.

– Jak pan jednak widzi, to jest możliwe. Magazynka mógł dotykać wcześniej, przed śmiercią, i jego odciski po prostu na nim zostały. Teraz tylko musimy ustalić, jak zrobili numer z krwią. Jeśli to nie Juszczak, to musi być ktoś jeszcze. Ona nie pasuje wzrostem, ale może wiedzieć, kto jeszcze w tym uczestniczył. I robi to dalej.

– Pani partner?

Zassała wargę i zacisnęła powieki. Mocno. Wiedziała, że Bruś to zasugeruje.

– Może ktoś inny. – Otworzyła oczy. – A może on. Nie mogę się dłużej oszukiwać, prawda? To już nie ma sensu. Sama przed chwilą powiedziałam, że zaprzeczanie to forma wyparcia. Nie będę dłużej tego robić.

Zamilkła. Nadzieja, że Krzysiek nie ma jednak z tym nic wspólnego, słabła, już ledwie się tliła. Podtrzymywała ją jeszcze tylko myśl, że wersja z tym cholernym bliźniakiem wcale nie musiała być aż tak nieprawdopodobna.

Nagle Bruś złapał się za połę marynarki, kiedy z wewnętrznej kieszeni dobiegł dźwięk dzwonka. Odebrał, nie przedstawiając się ani nie witając, i przez dłuższą chwilę słuchał kogoś uważnie, strzelając oczami na wszystkie strony, jakby wizualizował sobie to, co słyszy. Kiedy zorientował się, że Iwona go obserwuje, na jego twarzy wykwitł zmęczony uśmiech.

– Dzięki – rzucił do telefonu, potem odsunął go od ucha, jeszcze raz się uśmiechnął, tym razem szeroko, i powiedział: – Wreszcie jakieś dobre wiadomości. Mamy tę Juszczak.

KAJA

– Żartuje pan? – Iwona prawie zachłysnęła się śliną. – Jak?

– Przypadkowa kontrola straży granicznej w pasie przygranicznym w Lubuskiem. Jechała busem do Berlina, tak twierdzi. Nie wie, o co chodzi. I milczy. Jedziemy. Natychmiast.

Kilkanaście minut później wpadli do budynku Komendy Stołecznej Policji, do której została przewieziona Juszczak. Wnętrze części przeznaczonej na PdOZ przypominało wszystkie inne, które Iwona odwiedziła z racji wykonywanych czynności w całej swojej nagle przerwanej karierze. Bezosobowe i odpychające. Do pomieszczenia, w którym dokonywano zwykle czynności formalnych z udziałem zatrzymanych, weszła sama, bez Brusia.

Lidia Juszczak od momentu zgłoszenia przez zastępcę komendanta figurowała w systemie nie tylko policji, ale i innych służb, między innymi straży granicznej. Nie było formalnego nakazu jej zatrzymania, funkcjonariusze straży nie mieli pojęcia o celu poszukiwań, więc została tylko poproszona o poczekanie na stacji benzynowej na przyjazd patrolu, który niezwłocznie przewiózł ją do Warszawy. Tam poinformowano ją enigmatycznie, że nie została zatrzymana, jednak zaleca się jej poczekanie na przyjazd funkcjonariuszy CBŚP, którzy udzielą jej wszelkich niezbędnych wyjaśnień. Teoretycznie mogła powiedzieć, że ma to gdzieś, wstać i wyjść, jednak została i Iwona uważała, że to może być jej szansa. Widać uznała, że ukrywanie się nie ma sensu, i zdecyduje się na podzielenie się z nią swoją wiedzą o Matcie i Krzyśku.

Iwona zdawała sobie sprawę, że ma mało czasu i tylko jedną szansę, więc musiała to dobrze rozegrać.

Nie poznała w pierwszej chwili swojego D'Artagnana. Juszczak siedziała na krześle pochylona nad stołem, z głową zwieszoną między uniesionymi ramionami. Pierwszą rzeczą, na jaką Iwona zwróciła uwagę, były jej włosy. „Carne jako noc huncfuty" zniknęły. Nie miała już ich długiej, ciężkiej peleryny spływającej po ramionach; zamiast niej na głowie sterczały krótkie, skołtunione kosmyki. Nie ufarbowała ich, pewnie nie miała czasu,

o czym mogła świadczyć nowa fryzura. Musiała je obciąż nożem albo tępymi nożyczkami, i to w pośpiechu. A to oznaczało, że się bała. Jej, Iwony.

– Musiało boleć, co? – zapytała, kiedy policjant zostawił je same w pomieszczeniu. – Ostatni raz miałam długie włosy, kiedy byłam w podstawówce, ale wyobrażam sobie, że nie było łatwo.

Juszczak uniosła głowę i spojrzała na Iwonę zaskoczona. Oczy miała zaczerwienione, a twarz w odcieniu wosku. Kontrastowała z kruczoczarnymi włosami, pogłębiając upiorne wrażenie.

– Nie było. – Zanim to powiedziała, poruszała ustami, jakby były wyschnięte i musiała je rozdzielić, żeby wydostało się z nich jakiekolwiek słowo.

– Ostrzegałam wtedy, że jeśli nie porozmawiamy, to zobaczymy się w innych okolicznościach, prawda? – Iwona usiadła naprzeciwko niej.

– Co z tego?

– Właśnie to. – Potoczyła ręką po szarych ścianach bez okien. – Mogłyśmy porozmawiać u ciebie w domu. Na spokojnie. Teraz już za późno. Ale mimo wszystko pamiętaj, że nie jestem prokuratorem, a ta rozmowa nie jest protokołowana ani nagrywana.

– Za co zostałam aresztowana? – Jej głos by szorstki jak papier ścierny.

– Jak widzę, Matt wszystkiego jednak ci nie wytłumaczył. Nie zostałaś aresztowana. Jeszcze. Nie zostałaś nawet zatrzymana, tylko poproszona o udzielenie wyjaśnień. Przykro mi, że musiałam się uciekać do takich metod, ale nie dałaś mi wyboru.

Milczała.

– Nie mam z tym nic wspólnego – powiedziała w końcu. – Chcę zapalić.

– Tu nie wolno palić, a ja i tak nie mam fajek. Mamy mało czasu, Lidia. Masz jeszcze szansę, tylko pozwól sobie pomóc.

– Niby jak?

– Opowiedz mi o wszystkim – zaproponowała i w tej samej chwili skleła się w myślach.

Nie tak miało być. Przez intonację zabrzmiało to jak żebranie, a nie jak propozycja.

Juszczak spuściła głowę i dłońmi zaczęła mierzwić włosy. Iwona widziała, że zamknęła się w sobie. Musiała nią wstrząsnąć.

– Matt nie żyje – powiedziała, tym razem starając się, żeby to zabrzmiało obojętnie.

– Pierdolisz. – Juszczak wychynęła zza zasłony rąk i spojrzała na nią z politowaniem.

– Mam ci pokazać zdjęcie? Został zakopany na łące pod moją chatą w Kościelisku. Moją i Krzyśka chatą. Tą, w której byłaś, prawda?

Podbródek kobiety zaczął drżeć, a jej ciemne oczy wypełniły się łzami.

– To nieprawda! – krzyknęła. – Kłamiesz! Nie zmusisz mnie do mówienia! Słyszysz? Nic nie wiem!

– Tak ci pewnie kazał mówić, ale wszystko się zmieniło, nie rozumiesz? Nie pomoże ci już. Zabił kilka osób, sam zginął i jesteś tylko ty i Krzysiek.

– Jak zginął?

– Nie wiesz?

– Nie – szepnęła.

– Został pobity na śmierć.

– Przez tych skurwysynów?

– Masz na myśli…

– Chyłę i Golczewskiego.

– Czyli jednak coś wiesz.

– Pytałam go tylko, tam w samochodzie, czy został postrzelony. Powiedział, że nie. Że go tylko uderzyli kilka razy. – Spojrzała na Iwonę. – Skąd wziął się w Stasince? – zapytała.

Iwona odebrała to jak policzek. To była ich nazwa. Intymna i tylko ich.

– Przecież ty go tam zawiozłaś prosto z Żoliborza, prawda? – zadała to pytanie spokojnym tonem. – Swoim land roverem. Widziałam cię na Śmiałej. Widziałam twoje włosy. Nie da się ich pomylić z żadnymi innymi. Nie dało.

Juszczak opuściła nisko głowę.

– Odwiozłam go tylko do Ursusa.

Znów ten Ursus…

– A potem?

– Potem przejął go Krzysiek.

Za każdym razem, kiedy Juszczak wymieniała imię jej partnera, Iwona czuła ukłucie gdzieś poniżej mostka.

– Nie powiedzieli ci, dokąd jadą? – zapytała.

– Nie. Od tamtej pory nie miałam z nimi żadnego kontaktu. Żadnego. Tak się umówiliśmy.

– Słyszałaś o zabójstwach biznesmenów?

– Tak. – Wzruszyła ramionami. – Każdy słyszał.

– To nie ty?

– Co: ja?

– Nie ty ich zabijałaś?

– Zwariowałaś?!

Jej wybałuszenie oczu nie mogło być udawane. Było w nich zdziwienie pomieszane z zaskoczeniem i czymś jeszcze: może rozbawieniem, że ktoś w ogóle może insynuować tak nieprawdopodobną rzecz. Lidia Juszczak mówiła prawdę.

– Dobrze, skoro nie wiesz, co było po Śmiałej, to porozmawiajmy o tym, co wydarzyło się wcześniej.

– Nie chcę – szepnęła.

– Wiem. Ale nie masz wyjścia i dziwię się, że jeszcze tego nie rozumiesz. Krzysiek cię zostawił. Tak jak mnie. Dobry w tym jest, no nie? W zostawianiu swoich kobiet.

– Nie masz prawa tak o nim mówić – syknęła. – To najlepszy człowiek na tej cholernej planecie.

– Dobrzy ludzie nie zabijają innych ludzi. Ani nie porzucają rodzin.

Juszczak odchyliła głowę do tyłu.

– Nic nie rozumiesz…

– To mi wytłumacz. – Iwonę wiele kosztowało zachowanie kamiennej twarzy.

Skoro nie zaprzeczyła, że Krzysiek zabił, i to nie ona zabijała biznesmenów, ani nie wiedziała, co stało się z nim i z Mattem po akcji w willi Klubu 526, to mogło oznaczać tylko jedno.

– Dlaczego zabił mojego kolegę z zespołu? – zapytała ją cicho.

– To był wypadek. Nie tak miało być…

– Kurwa, a jak? – Podniosła głos.

– Miał strzelić nad waszymi głowami, ukryty za drzwiami. Miał spowodować strzelaninę, ten księgowy miał zostać zabity, a ty miałaś zostać obarczona odpowiedzialnością za nieudaną akcję. Tylko ten cholerny pies…

– Matt tak to wymyślił?

– Tak…

– To idiotyczne! – Nie mogła uwierzyć w naiwność tego planu, a przede wszystkim w to, że to Grzeliński go obmyślił. – Co prawda osiągnął swój cel, ale w takich sytuacjach nie da się przewidzieć, co się wydarzy, i on to

musiał wiedzieć. Musiał liczyć się z tym, że Jończyk zginie. Musiał liczyć się z tym, że zginą policjanci. I ja też mogłam zginąć. I co, wysłał tam Krzyśka, tak?

– To on sam chciał. Chciał cię chronić…

Iwona wybuchnęła śmiechem tak głośnym, że do pomieszczenia zajrzał klawisz. Dała mu ręką znać, że wszystko w porządku, i zniknął za drzwiami.

– Chciał mnie chronić, mówisz? – Rozbawienie mieszało się z wściekłością. – A przed czym? Po co w ogóle to wszystko? Dlaczego, do kurwy nędzy, zniszczyliście mi życie? Cała trójka? Dlaczego? Po co? Odpowiedz mi na to pytanie, rozumiesz? Jesteś mi to winna. Wszyscy jesteście mi to winni.

– Potrzebowaliśmy cię – wyszeptała Juszczak, nie patrząc na Iwonę.

– My? Ty też?

– Tak.

– Chodziło o Klub? Tak jak mówił mi Matt?

– Tak. To wszystko prawda.

– Co ty masz z tym wspólnego? Kim Matt dla ciebie był? Wyszłaś z Łobza, kiedy miałaś dziewięć lat, więc nie mogliście się przyjaźnić. Małe dziewczynki nie przyjaźnią się z nastolatkami, nie uwierzę, że aż tak, żeby trzydzieści lat później zrobić dla tej osoby coś takiego. Więc?

– Był moim partnerem. Kiedyś.

– To też nie tłumaczy twojego udziału w tym całym gównie. Różne rzeczy robi się z miłości, ale nie takie.

Juszczak spojrzała na Iwonę szeroko otwartymi oczami. Była w nich rozpacz, bezdenna.

– Moja córka padła ofiarą tych skurwysynów – wyszeptała i tama puściła.

Juszczak płakała rzewnymi łzami, rozdzierająco i głośno. Iwona nie była w stanie na to patrzeć. Zapukała w drzwi i policjant siedzący w dyżurce otworzył jej.

– Koniec? – zapytał.

– Nie. Palisz?

– Tu nie wol…

– Chuj mnie to obchodzi. Palisz?

Rozejrzał się po korytarzu i wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę pall malli.

– Są twoje. – Podał jej paczkę. – Jakby co, ty dostajesz po dupie.

– Powieszą mnie za to? – Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę. – No właśnie. Jeszcze ogień.

Podał jej zapalniczkę i Iwona zamknęła drzwi. Drżącymi dłońmi wyciągnęła z pudełka papierosa, zapaliła, chciwie się zaciągnęła, a potem podała go Juszczak. Ta wyjęła go jej z ręki i włożyła w usta, a w jej mokrych od łez oczach błysnęła wdzięczność. Iwona wyciągnęła kolejnego papierosa i zapaliła go, potem wysypała resztę z pudełka na stół i postawiła je otwarte przed Juszczak.

– Kaja była śliczna, miała urodę po ojcu. – Biała rurka wypełniona ersatzem leku na uspokojenie drżała jej w palcach. – Piękna dwudziestoparolatka, dość nieśmiała, ale świadoma swojej wartości. Chodziła na imprezy jak każda dziewczyna i na jednej z nich poznała jakiegoś człowieka, który się nią zainteresował. Powiedział jej, że ma niebanalną urodę, że on jest fotografem luźno współpracującym z agencjami modelek i co prawda nie może jej niczego obiecać, ale postara się zainteresować nią ludzi od modellingu, bo uważa, że jest tego warta, a on ma oko. Ujął ją tym, że nie obiecywał złotych gór i kariery na wybiegach w Mediolanie, tylko powiedział, że spróbuje. To uśpiło naszą czujność, bo o wszystkim mi powiedziała. Pojechałam z nią na tę sesję, do jakichś starych zabudowań na Pradze, a nie do studia. Trochę mnie to zdziwiło, ale on twierdził, że potrzebuje naturalnego światła i swobodnych ujęć, a nie krzywienia się do aparatu na tle białej ściany. Kazał jej się ubrać w obcisłe ciuchy, ale nie wyzywająco. To naprawdę wzbudzało zaufanie, w końcu to Warszawa, prawda? Zrobił jej te zdjęcia i obiecał, że się odezwie. Kilka dni później Kaja nie wróciła na noc do domu. Jej telefon był nieaktywny, żadne z jej znajomych, do których dotarłam, nie wiedziało, dokąd i z kim pojechała. Zadzwoniłam do Matta, nie byliśmy już wtedy razem od jakiegoś czasu, ale rozstaliśmy się we względnej zgodzie. Poruszył niebo i ziemię. A potem przyjechał któregoś dnia ze zdjęciem martwego człowieka, który miał prawie odciętą głowę. Spytał, czy to ten fotograf. To był on. Wyłowiono go podobno z Kanału Żerańskiego…

Iwona zamknęła oczy. Człowiek, który za dużo mówił. Ofiara Kury. A więc tak to się zaczęło.

– Matt skojarzył wtedy fakty. – Juszczak chlipnęła nagle, kiedy gardło zacisnęło się jej w spazmie mijającego płaczu. – Pracowali w Biurze nad

pewną sprawą…

– Klub 526. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

– Tak. Nie miał wątpliwości, że Kaja padła ich ofiarą. Oszalał. Nigdy wcześniej nie widziałam go takiego, a znaliśmy się przecież od dziecka. On… Wymyślił plan.

– Zemsty.

– Nie zemsty. Ukarania ich.

– Granica jest bardzo cienka. A raczej płynna.

– Co ty byś zrobiła? – Juszczak popatrzyła jej w oczy.

Iwona milczała. To pytanie już jej ktoś kiedyś zadał. Matt.

– Na pewno nie w taki sposób. – Pokręciła głową, spuszczając wzrok.

– Skontaktował się z Krzyśkiem i…

– Wiedział, że jego partnerka jest oficerem policji, prawda? – przerwała jej.

– T-tak… – Juszczak spojrzała na nią zagadkowo, ale Iwona nie zwróciła na to uwagi. – Spotkaliśmy się we trójkę u mnie. Wypytał Krzyśka o ciebie: jaka jesteś, czy masz odporność na stres, jak zachowujesz się w sytuacjach wymagających zdecydowanej reakcji… Pasowałaś mu. Chodził po pokoju w moim mieszkaniu jak tygrys w klatce i powtarzał: uda nam się, uda nam się. Dowiedział się przez kogoś ze Szczecina, że pojedziesz do Łodzi zatrzymać tego księgowego. To był ostatni klocek, cieszył się jak dziecko, przekonywał nas, że nawet los nam sprzyja. Ale Krzysiek uparł się, że on to zrobi. Chciał być na miejscu i wiedzieć, że nic ci się nie stanie, chciał cię chronić.

– Ale coś poszło nie tak już na samym początku, co? – wtrąciła Iwona.

Juszczak pokiwała głową, nie patrząc na nią. Kąciki jej warg zadrgały lekko i opadły.

– Pies – powiedziała cicho. – Gdyby nie ten cholerny pies…

PIES (WCZEŚNIEJ)

Stał pod drzwiami domu na ulicy Kryzysowej w Łodzi i czuł, jak pocą mu się dłonie. Przykryte ciasną czapką włosy swędziały, przyciśnięte nią do głowy zauszniki i mostek zbyt małych okularów wrzynały się w skórę, a golf czepiał się kilkudniowego zarostu, ciągnąc boleśnie za włoski przy każdym ruchu głową.

Plan był ryzykowny, ale opracowany w wielu szczegółach, choć zawsze mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego. W zasadzie wszystko odbywa się podobnie za każdym razem, tłumaczył Matt, gestykulując. Wszystko opiera się na praktycznie bezpośrednim kontakcie z zatrzymanym. Twarzą w twarz, rozumiesz? To nie jest wejście na pełnej piździe i darcie ryja: gleba, gleba, tylko spokojna rozmowa: gość jest zaskoczony i grzecznie robi to, o co się go poprosi. Pakuje się, zabiera leki, żegna z żoną albo dzwoni do swojego prawnika. I dlatego, kiedy w skrajnych przypadkach dojdzie do niespodziewanej konfrontacji, reakcja gliniarzy jest szybka i bezpośrednia. To nie są żółtodzioby po szkółce, tylko wyjadacze. Koleś fika, reagują. Wyciąga klamkę, oni wyciągają swoje, nie ma pierdolenia się. Kiedy nastąpi strzał, zareagują automatycznie, bo mają to wdrukowane. Będziesz miał kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund, zanim się ogarną; to nie kontrterroryści. Wyjadacze, ale nie kontrterroryści, i to jest nasza szansa. Przygotujesz sobie wszystko, będzie tylko jedno podejście. Strzał i spieprzasz, nieważne, co się będzie działo. Tak mówił Matt, a on kiwał głową. Na pewno dasz radę? – pytał Matt, patrząc na niego uważnie, a on odpowiadał: dam, najważniejsza jest motywacja.

I miał motywację.

Wziął wykonanie tej części ich planu na siebie. Lidka nie mogła tego zrobić, Matt musiał być w pracy widziany przez współpracowników, żeby uniknąć powiązania z tą akcją, a on musiał wiedzieć: musiał mieć pewność, że Iwonie nic nie będzie. Był przygotowany. Ryzykował, ale mimo wszystko był przygotowany. Nauka strzelania z Mattem była niedługa, ale intensywna, w końcu miał solidne podstawy i jako dzieciak był dobry w te klocki. Lepszy od Matta i to była chyba jedyna rzecz, w jakiej był od niego

kiedykolwiek lepszy. Nie strzelał od dekad i nigdy z broni krótkiej, ale wciąż pamiętał zasady. Kilka wizyt na strzelnicy i jakiś tysiąc wystrzelonych pocisków wystarczyło, by znów był lepszy od Matta, jak kiedyś w Łobzie. No i końcu nie miał trafić z dwudziestu pięciu metrów w środek tarczy, tylko z góra trzech, czterech w nogę i miał wiedzieć, jak zareagować w przypadku zacięcia broni.

Po wszystkim miał od razu jechać do Warszawy, zostawić auto Lidce, a potem niezwłocznie wracać do Szczecina i jedną z rzeczy, która go trapiła, było to, jak spojrzy w twarz Iwonie. Będzie stał przy niej, będzie ją wspierał, ale bolało go, że będzie ją musiał mimo wszystko okłamywać. Ale nie dało się tego inaczej załatwić. Mimo wątpliwości, bo zawsze są jakieś wątpliwości, plan Matta był realny. Nie mogli darować skurwysynom, nie mogli pozwolić, żeby to trwało dalej, musieli ich znaleźć, i to jak najszybciej. Matt miał rację. Bycie policjantem to poświęcenie. Bycie partnerem policjantki też. Chodziło o ludzkie życie. I nie tylko o jedno…

Zerknął na zegarek. Iwona z zespołem mieli zjawić się za jakieś dwadzieścia minut. Sprawdził na komórce lokalizację jej telefonu: byli jeszcze w okolicach hotelu, pewnie dopiero się zbierali. Nie miał dużo czasu, ale tak miało być. Jończyk nie mógł dostać szansy na ucieczkę, musiał tylko wpaść w panikę. Matt uważał, że facet jest kłębkiem nerwów, czuł, że ziemia pali mu się pod nogami, choć jak każdy, kto łamie prawo, miał głupią nadzieję, że mu się upiecze. Ponadto zaplątał się w układy, a te go przerosły i splotły nierozerwalnie z ludźmi, dla których pracował, nie miał szans na zniknięcie. Wiedział, że tamci by go szybko znaleźli. Teraz on miał mu powiedzieć, że był w błędzie, że oto prawo upomniało się o niego, choć to i tak nie miała być najgorsza opcja. Ale wszystko zależało od tego, jak pokieruje rozmową. Wszystko w tej fazie planu tak naprawdę zależało tylko od niego.

Zwinął dłoń w pięść i zapukał do drzwi. Rozejrzał się jeszcze: ulica była pusta. Z wnętrza domu dobiegło ujadanie psa. Przycisnął łokieć do boku, czując twardą wypukłość schowanej w kaburze pod pachą broni i to go trochę uspokoiło. Na nic więcej nie miał czasu, bo drzwi otworzyły się i stanął w nich Jończyk.

– Czy pan Marcin Jończyk? – zapytał cicho.

Widział, że to pytanie wzbudziło w Jończyku nawet nie tyle ostrożność, ile ukłucie strachu. Wiedział też, w przeciwieństwie do tamtego, że zaraz

zginie.

– O co chodzi? – Pytanie było zadane opryskliwym tonem maskującym przestrach.

– Przyszedłem pana ostrzec.

– Słucham?

– Zostałem przysłany przez pana przyjaciół, żeby pana ostrzec.

Kłamstwo: Jończyk nie miał przyjaciół. Był zadufanym w sobie sukinsynem, samotnym i przekonanym o własnej bezkarności. Ufającym ludziom, którym nie należy ufać, a nieufnym wobec wszystkich innych. To zawsze w końcu się mści.

– Przed czym ostrzec? – Jończyk zmarszczył brwi.

– Wpuści mnie pan? Mamy mało czasu.

– Kim pan jest?

– Teraz mamy jeszcze mniej czasu. – Powstrzymał się przed zerknięciem na zegarek, wiedział, że zostało osiemnaście minut, może dziewiętnaście, jeśli będą korki. – Szczur, mówi ci to coś?

Oczywiście, że mówiło. To dla niego Jończyk prał forsę z prochów.

Masz go zmiękczyć jak plastelinę, mówił Matt. Ma się posrać, ma być chaotyczny i splątany, może wyciągnąć swoje zabawki, ale wtedy masz go kontrolować, Iwonie nie może stać się krzywda. Wszystko zależy od ciebie, Krzysztof. Masz być kurewsko przekonujący, masz zagrać rolę życia. Dasz radę? – dopytywał się, a on, patrząc w oczy jemu i Lidce, odpowiadał za każdym razem: dam, dam radę.

Jończyk, gapiąc się na niego nieufnie, wpuścił go do środka, a on odetchnął z ulgą. Pierwsze koty za płoty. Minęli przedsionek i znaleźli się wewnątrz domu.

Bardzo dobrze znał wnętrze domu Jończyka. Matt włamał się tu dwa tygodnie temu i przeszedł się po nim z kamerą i dalmierzem laserowym, a on obejrzał ten film dziesiątki razy, aż poznał rozkład pomieszczeń, szczególnie w strefie wejściowej. Zbudowali nawet z kartonu małą makietę wnętrza i wyznaczyli optymalną pozycję, którą miał zająć w krytycznym momencie. Teraz, będąc w środku, czuł, jakby był tu nie raz i nie dwa. Pies był przyjazny, choć nieco natrętny, jak to labrador, i to też wiedział wcześniej od Matta. Mimo biszkoptowej maści wabił się Koks. To było nawet w jakiś sposób zabawne, że Jończyk dał mu dwuznaczne imię nawiązujące trochę do swojego zajęcia, czyli prania forsy z narkotyków. Mniej zabawny

był fakt, że konsekwencją tego zajęcia miała być śmierć jego pana. Każdy jest kowalem swojego losu, każdy uczynek ma swoje konsekwencje, a Jończyk zalegalizował zyski z wprowadzenia do obrotu ton syfu, który brały też dzieci. To nie jest czyn karany śmiercią w tym kraju, porywanie, gwałcenie i zabijanie bezbronnych dziewcząt również nie. A szkoda. Czasem naprawianie niedoskonałości systemu wymaga ponoszenia ofiar. Jedną z nich miał być Jończyk. I pośrednio Iwona.

– Dobra, kim jesteś? – Jończyk, patrząc na niego uważnie, zaczął podwijać rękawy białej koszuli.

– Chemikiem – odparł spokojnie.

– Kurwa, kim? – Palce zawinięte w biały materiał znieruchomiały nagle.

Cały bajka, którą miał zaraz poczęstować Jończyka, była przećwiczona dziesiątki razy. Jak teatralna rola, gdzie znaczenie ma nie tylko kreacja aktorska, ale i czas. Musiał się zmieścić w tej jego ilości, jaka mu pozostała, wszystko było ściśle wyliczone.

Przełknął ślinę i rozejrzał się nerwowo po domu. Nawet nie musiał za bardzo udawać tego zdenerwowania.

– Pracuję… Pracowałem dla Szczura, tak jak ty. Była wsypa…

– Jaka wsypa? – Jończyk pobladł nagle i wybałuszył na niego oczy.

Teraz spojrzał na księgowego z udawanym zaskoczeniem.

– Nie powiedzieli ci, co? – zapytał. – Nikt nie zadzwonił, nikt od nich cię nie ostrzegł… Jasne, nie ma się czym chwalić. To idzie po cichu, bo psy chcą wyłowić wszystkich. Wszystkich znaczniejszych i tych trochę mniej ważnych, ale istotnych. Jak ty i ja. To ja zorganizowałem im laboratorium. I ja odpowiadałem za produkcję. Nieważne, chuj… – Machnął ręką. – Zaczęły się już zatrzymania. A ja… Ja za dużo wiem, rozumiesz? Próbowali mnie zabić, zanim dorwą mnie psy, ale uciekłem. Nie przysłali mnie tu żadni przyjaciele, przyszedłem sam. Wiedziałem o tobie i wiem, że twoje zatrzymanie też jest kwestią czasu. Może jutro, może pojutrze, nie wiem. Musisz spierdalać. Ale zanim to zrobisz…

– No?

– Chcę trochę forsy. Uciekłem tak, jak stałem. Jestem goły. Potrzebuję kasy, żeby dostać się do Niemiec, albo gdzieś dalej, rozumiesz? Później sobie poradzę, ale muszę mieć coś na początek. Dziesięć tysięcy, minimum. Przyznasz, że to chyba niewiele za uratowanie życia?

– Nie trzymam w domu tyle gotówki.

– A ile masz?

– Ze trzy.

– Może być. – Zobaczył, że Jończykowi drżą dłonie i ten widok go ucieszył.

– Ja jestem tylko chemikiem – kontynuował, patrząc, jak Jończyk idzie w stronę komody stojącej pod ścianą salonu. – A ty… Ty wiesz o nich wszystko. Masz niebezpieczną wiedzę. Będą się naprawdę starać, żeby cię znaleźć, może zapytają twoją matkę, gdzie jesteś, czy gdzie możesz być. Są bezwzględni i obaj to wiemy. I mają za dużo do stracenia. Ale jeśli przyjdzie ci do głowy, że lepiej dać się aresztować i zostać koronnym, a potem zniknąć…

Jończyk odwrócił się nagle w jego stronę, lekko mrużąc powieki. Oczywiście, że o tym pomyślał. Miał analityczny umysł i mimo strachu, który ewidentnie go ogarniał, od razu zaczął kalkulować.

A on zerknął na zegarek. Wszystko rozegra się w ciągu kilku, kilkunastu najbliższych minut.

– Nie wiem, dlaczego jeszcze żyjesz… – kontynuował, przyspieszając lekko. – Ale wiedz jedno: nawet jeśli przed twoim zatrzymaniem nie przyjdzie nikt od Szczura, to nie dojedziesz do aresztu.

– Co? – Jończyk zapomniał, co miał zrobić.

Stał i gapił się z jednym rękawem koszuli podwiniętym do łokcia.

– Wiesz, kto próbował mnie sprzątnąć? – Zbliżył się do niego. – Gliniarze. Tak, jechałem w nocy do labu i zatrzymał mnie patrol drogówki. Autentyczny patrol, rozumiesz? Nie jacyś przebierańcy, tylko jebani gliniarze. Niczego nie podejrzewałem, kazali dać dokumenty, a ja grzecznie czekałem w aucie, niczego nie podejrzewając. Potem kazali wysiąść, więc wysiadłem. To była zasadzka, jeden zaszedł mnie od tyłu, założył duszenie, a drugi wyciągnął gnata i powiedział: nic osobistego stary, ale Szczur za bardzo kocha wolność… Rozumiesz to? Tego z tyłu walnąłem z główki i odpadł ode mnie. Ten z przodu zrobił błąd, bo był za blisko, a ja zawsze mam przy sobie żel pieprzowy. Zawsze, rozumiesz? Przed agresorem nie zawsze obronisz się nożem, kijem bejsbolowym czy rękami, ale taki żel skutecznie studzi zapędy. Strzeliłem mu nim w oczy i było po sprawie, tamten drugi zaczął się ogarniać, więc jemu też zadałem pieprzu. Gdybym nie miał przy sobie tego żelu, już bym nie żył, rozumiesz? Nie zastrzeliłem ich, bo rzuciliby za mną wszystkie siły. A tak, kiedy już się otrzepali, pewnie nawet nie zameldowali o incydencie. Nie wracałem do siebie, tylko

zadzwoniłem do jednego takiego i od razu się zorientowałem, że on wie. Drugi telefon tylko mnie upewnił, że to koniec, bo odebrała dziewczyna kolesia, który był moim łącznikiem z górą. Siedział już, zwinęli go kilka godzin wcześniej. Jemu się udało, choć kto wie, może wkrótce popełni samobójstwo w celi? Więcej mi nie trzeba, chłopie, potrafię dodać dwa do dwóch. Wszystko, cały interes posypał się jak domek z kart. Wypieprzyłem telefon do rzeki i przyjechałem prosto do ciebie… – Wziął głęboki oddech i czekał na reakcję Jończyka na tę historię.

Była dokładnie taka, jakiej się spodziewał i jaką przewidział Matt.

Żeby być częścią takiego interesu, trzeba być twardym i mieć nerwy ze stali. A Jończyk nie był ani twardy, ani nie miał stalowych nerwów. W końcu nie był bandziorem, tylko księgowym. I nie miał pojęcia o świecie, o który ledwie się otarł.

– To nie ma sensu. – Jończyk miał błędny wzrok. – Może się mylisz? Dlaczego mieliby mnie chcieć zabić?

Brzęczenie zegarka na nadgarstku. Za pięć siódma. Iwona powinna już powoli dojeżdżać, może w ciągu minuty, dwóch, góra trzech. Miał nadzieję, że nie stało się nic po drodze: żadna stłuczka, złapana guma czy głupi przypadek, który opóźniłby wszystko.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? – Choć jego głos był spokojny, czuł, że w środku trzęsie się z emocji. A potem zobaczył pod powiekami piękną, okoloną ciemnymi kosmykami twarz i ogarnął go jakiś spokój. – To nieważne, kto po ciebie przyjdzie. Karki od Szczura czy psy. Bo psy będą mieć zlecenie od nich. To sprzedajne świnie. Oficjalnie nie rozwalą cię ot tak, wiadomo. Rzucisz się na któregoś z nich w radiowozie i będą cię musieli odstrzelić, tak będą to tłumaczyć. Tak jak ja miałem się pewnie rzucić na tych z drogówki.

I wtedy rozległ się sygnał domofonu. Jończyk aż podskoczył. Z pewnego siebie mężczyzny, którym był, kiedy otwierał mu kilkanaście minut temu drzwi, zmienił się w wystraszone zwierzątko.

– Czekasz na kogoś? Jest siódma rano. – Postarał się, żeby na jego twarzy wykwitło zdumienie. – Kurwa, to… Wiesz, co to oznacza?

Błyskawicznie sięgnął po broń i wyciągnął ją.

– Co ty odwalasz, człowieku? – Jończyk miał szeroko otwarte usta.

– A co, mam się dać odstrzelić tym kurwom? – syknął. – Rób, co chcesz, ja spierdalam!

Jończyk zamknął usta i nagle się odwrócił. Podbiegł do komody i otworzył jedną z szuflad, a potem włożył do niej ręce. Rozległy się cztery piknięcia i nagle w dłoni Jończyka pojawiła się broń. Jończyk ujął ją mocno i przybliżył do twarzy, jakby sprawdzał, czy jest prawdziwa. Drugą ręką ponownie sięgnął do szuflady i po chwili magazynek znalazł się wewnątrz pistoletu. Przeładował go i stał przez chwilę nieruchomo, a potem drgnął, jak gdyby coś do niego dotarło.

– Może to nie oni? – wyszeptał.

– A kto, listonosz?

Jończyk odłożył broń na komodę i podszedł do wiszącego na ścianie obok telewizora małego ekraniku: części systemu inteligentnego sterowania domem. Nacisnął coś i pojawił się obraz. Przed drzwiami stało dwoje ludzi, a w tle widać było jeszcze jednego. Przed furtką stał samochód. Zostawiając Jończyka ze wzrokiem wlepionym w ekran, podszedł do okna i wyjrzał dyskretnie, udając, że przypatruje się czemuś.

– Są – syknął. – Tam też są. Otoczyli dom, skurwysyny…

Kłamał. W ogrodzie nie było nikogo. Wiedział, że przyjadą tylko we trójkę, w końcu to miało być rutynowe zatrzymanie, w dodatku księgowego. Zrobił to, zanim Jończykowi przyszło do głowy spróbować uciec przez okno: stopniowo i nieubłaganie pozbawiał go możliwości manewru. Cel był jeden: sprawić, by księgowy znalazł się przy drzwiach wyjściowych.

– To nie ma sensu. – Jończyk jęczał spanikowany, oddychając spazmatycznie. – Już po mnie. Już, kurwa, po mnie…

Wyglądał jak skazaniec, do którego właśnie dotarło, że nadeszła ta chwila i że nic już nie uratuje go przed wykonaniem wyroku. Pod pachami pojawiły się ciemniejsze plamy. Jeden rękaw koszuli był podwinięty, drugi, z odpiętymi guzikami mankietu, powiewał luźno przy każdym ruchu ręki. Twarz Jończyka była pozbawiona kolorów, zmierzwione włosy sterczały na wszystkie strony. Koks podszedł do swojego właściciela i uniósł łeb, a wtedy Jończyk pogłaskał go po nim i szepnął:

– Żegnaj, piesku… Mama się tobą zajmie.

Z trudem oderwał rękę od psa i spojrzał w okno, a potem smutno pokręcił głową. Wyglądał, jakby zaczął zbierać się do kupy, a to niedobrze.

– To niemożliwe – mruknął. – Nie mogą mnie zabić.

– Rób, co chcesz – warknął w odpowiedzi. – Mnie nie wezmą żywcem.

Patrzył, jak księgowy powoli, powłócząc nogami, rusza w kierunku wyjścia. Wszystko szło świetnie. Kiedy Jończyk zniknął za drzwiami do przedsionka, Krzysztof skoczył w kierunku komody. Idealnie. Wiedział od Matta, że Jończyk ma legalną broń, i teraz nadarzyła się okazja, żeby z niej skorzystać. Sig sauer był zimny i ciężki. Widział, że Jończyk przeładowywał go, ale tak jak uczył go Matt, delikatnie odsunął pokrywę zamka, upewniając się, że nabój tkwi w komorze. Był na miejscu, mosiądz błysnął ciemną żółcią w czarnej szczelinie. Puścił pokrywę, dobił ją drugą dłonią i to samo zrobił z magazynkiem. Był gotowy. Zanim na palcach podbiegł do drzwi, które Jończyk zostawił uchylone, cichutko otworzył okno. Będąc już przy drzwiach, usłyszał głos Iwony – spokojny i rzeczowy. Nie spodziewała się niczego. Przyczaił się tuż za skrzydłem i ostrożnie wyjrzał. Nie musiał się za bardzo wychylać, bo widział wszystko w wielkim, wypełniającym całą ścianę lustrze, które optycznie powiększało przedsionek i dawało mu znakomity widok na wszystko, co działo się za drzwiami wejściowymi. To też przewidzieli, bo Matt niewiele rzeczy pozostawiał przypadkowi: na ścianie makiety wisiało maleńkie lusterko. Czuł, jak wali mu serce, i zmusił się, żeby je uspokoić. Wziął głęboki oddech. Powietrza musiało mu wystarczyć do momentu strzału: ruch klatki piersiowej w chwili jego oddawania nie pomagał w celowaniu.

Kiedy młody policjant pojawił się nagle za Iwoną, uznał, że trafia się doskonała szansa. Teraz. Cofnął się o krok i wymierzył. Szpara w drzwiach miała może dwadzieścia centymetrów, stał jakiś metr od nich i zdawał sobie sprawę, że jest całkowicie niewidoczny dla ludzi na zewnątrz, on zaś widział wszystko doskonale. Tył głowy Jończyka, potarganą jak zwykle grzywkę Iwony i tego młodego policjanta. Nie widział tylko jego nogi i musiał zmienić plan. Celem było ramię. Powoli zaczął wypuszczać powietrze z płuc, palec zaczął ściągać język spustowy, muszka tkwiła idealnie pośrodku szczerbinki. Gdyby nie miał pewnego strzału, strzeliłby po prostu gdzieś ponad ich głowami, powodując natychmiastową reakcję, ale zranienie funkcjonariusza automatycznie czyni dużo poważniejszymi konsekwencje, które ponosi szef grupy. A o to przecież im chodziło. O poważne konsekwencje.

I wtedy w ułamku sekundy wszystko nagle wzięło w łeb.

– Broooooń! – słyszy wrzask tego młodego.

Nie ma pojęcia, jak tamten go wypatrzył, ale nie ma czasu na zastanawianie się nad tym. Naciska spust odrobinę mocniej i w tym samym momencie coś trąca go w nogę. Ruch ciała jest minimalny, ale to wystarcza. Lufa drga o milimetr, uchwyt na kolbie delikatnie słabnie, a gwałtowne ściągnięcie spustu zrywa strzał. Huk jest ogłuszający, skowyt psa, który stoi tuż obok niego, też. Z przerażeniem widzi, jak policjant cofa się o krok, pochyla głowę, a potem osuwa się na ziemię. Kolejny strzał, tym razem z zewnątrz, i ciało Jończyka ląduje na podłodze przedsionka. Po drodze uderza w drzwi, które uchylają się gwałtownie i uderzają jego. Odruchowo cofa się do wnętrza mieszkania, co prawdopodobnie ratuje cały plan. Widzi, że na zewnątrz panuje zamieszanie. Kolega Iwony wrzeszczy coś, ale on nie słyszy co. Jończyk wpatruje się w niego nieruchomym wzrokiem, koło nosa ma czerwoną kropkę, z której sączy się krew. Rusza ustami, z których nie wychodzi żadne słowo, oczy gasną powoli. Ale on widzi inne oczy: ciemne, prawie czarne i to pomaga mu się ogarnąć. Zanim wzbiera w nim panika, strach, żal i rozpacz, wyciera niezdarnie siga skrajem koszuli, klęka i delikatnie kładzie go obok głowy Jończyka, który jest już martwy, a potem, połykając łzy, rzuca się w stronę okna. Wyskakuje przez nie na miękki trawnik, który rośnie w cieniu dorodnych orzechowców, przez co jego większość stanowi mech. Ugina się pod jego stopami, które zapadają się lekko w miękkim dywanie, a on zauważa to wszystko w jakiś niezrozumiały sposób, jakby jego mózg chciał się skupić w stu procentach na tym, co teraz, a nie na tym, co przed chwilą. Ucieka panicznie, gałęzie krzewów drapią go po twarzy, mija mały budynek z tyłu ogrodu, przesadza jednym susem ogrodzenie i jest już na ulicy Honorowej, równoległej do Kryzysowej. Dopada do land rovera Lidki i zamyka się w nim, potem wyciąga komórkę i dzwoni do Matta.

– Zabiłem go, rozumiesz? – krzyczy do telefonu. – Zabiłem! Ten cholerny pies!!!

– Uspokój się! Kogo zabiłeś? Jończyka?

– Nie, policjanta, który był z Iwoną!

– Jesteś pewien?

Rzeczowy głos Matta otrzeźwia go.

– N-nie, nie jestem… – mamrocze. – Ale na pewno trafiłem go w korpus. Dostał w pierś. Wszystko poszło zgodnie z planem, ale w ostatniej chwili potrącił mnie pies, rozumiesz?

Matt milczy, słyszy świst powietrza w jego nosie.

– Przyjeżdżaj do Warszawy, zostaw auto i wracaj do domu. Trzymaj się planu – mówi w końcu. – Zachowuj się normalnie. Ogarnij się, pamiętaj, o co gramy, słyszysz?

– Tak, słyszę…

– W kontakcie.

Matt rozłącza się, a on trzęsącymi się rękami przekręca kluczyk w stacyjce i rusza. Godzinę później, kiedy dojeżdża do Warszawy, w wiadomościach w radiu słyszy straszną prawdę. Nie jest w stanie prowadzić. Zjeżdża w awaryjną zatokę postojową, wyskakuje z samochodu i podbiega do barierki. Przewieszony przez nią, z pasem blachy wrzynającym się w brzuch wymiotuje, łapiąc w przerwach powietrze. Czuje, jakby miał zaraz umrzeć. Potem jak automat wsiada z powrotem do samochodu i jedzie dalej. Dociera pod blok Lidki, parkuje land rovera i zostawia kluczyki za tylnym kołem, potem ściąga ubera i jedzie na dworzec. Nie pamięta, co działo się po drodze: nie pamięta, co robił na dworcu, w pociągu ani w tramwaju, którym w końcu dojeżdża do domu. W pustym mieszkaniu siada przy stole i tępo wpatruje się w ścianę przed sobą. A potem po prostu wstaje, idzie do kuchni, bierze leżący na parapecie długopis i kreśli nim na jakimś kawałku papieru słowa: „Kocham. I przepraszam”. Podchodzi do lodówki, odczepia magnes z widoczkiem Zakopanego i wsuwa pod niego karteluszek. Stuk magnesu o powierzchnię drzwi lodówki w ciszy mieszkania brzmi jak echo wystrzału, które wciąż ma pod czaszką, razem z krzykami Iwony i jej kolegi. Potem jeszcze przez kilka sekund wpatruje się w tandetny gadżet, odwraca się, idzie do pokoju, bierze swój laptop i wychodzi z mieszkania.

Na zewnątrz świeci słońce.

W jego duszy panuje mrok i Krzysztof wie, że zostanie tam już do końca.

DWOJE

Iwona usłyszała w głowie skowyt psa, jedną z niewielu rzeczy, które się tam wydarzyły i które wryły jej się w pamięć. Miała rację. Od początku miała rację, a teraz to się potwierdziło. Krzysiek zabił Knobla. Zabił policjanta. Zabił człowieka.

Zacisnęła powieki. Kiedy je otworzyła, Juszczak siedziała wyprostowana na krześle i wpatrywała się w nią.

– Czemu na to wszystko przystał? – zapytała jej cicho, niemal szeptem. – W imię przyjaźni? Nawet tak silnej więzi, jaka łączyła go z Mattem w domu dziecka? To było dziesiątki lat temu. Przecież nie utrzymywali ze sobą kontaktu przynajmniej od czasu, kiedy byliśmy razem, wiedziałabym o tym. Czy… – Iwona zrobiła głęboki wdech. – Mój sąsiad widział was w Stasince, już po tym, co stało się w Łodzi. Czy ty i Krzysiek… Czy wy…

Juszczak uniosła głowę.

– Mogę jeszcze jednego? – zapytała, wskazując na rozsypane na blacie papierosy.

Iwona w milczeniu skinęła głową, więc chwyciła najbliższego czubkami palców, włożyła go między wargi i zapaliła.

– Krzysiek był zawsze bardzo wrażliwy. Bardzo, aż za bardzo. Trochę neurotyczny. A Matt to silna osobowość, urodzony przywódca, który potrafi porwać za sobą ludzi.

– Zmuszać do zabijania też potrafi?

– To nie tak – powiedziała Juszczak z naciskiem i powtórzyła: – To nie tak… On… Krzysiek mnie kochał.

– Słucham? – Iwona zamrugała kilka razy i gwałtownie wypuściła z płuc powietrze. – Więc jednak?

– Pozwól mi dokończyć. Kochał mnie od dziecka, kiedy jeszcze nie miał prawa, bo byłam za młoda. Jezu, miałam dziewięć lat, kiedy mnie stamtąd zabrali. Przeżył moje odejście z Łobza, wylądował nawet w psychiatryku na kilka tygodni. Powiedział mi to wszystko, kiedy któryś tam raz spotkaliśmy się po moim powrocie z rodzicami z Niemiec. Powiedział mi, że wciąż mnie kocha, ale… – Teraz Juszczak spojrzała na Iwonę. – Byłam brutalna. Nie

kochałam go i powiedziałam mu to wprost. Powiedziałam mu, że kocha śliczną jak cukiereczek dziewięciolatkę, a nie mnie, dorosłą kobietę, której w ogóle nie zna. Upierał się, że wie, co robi i co czuje. Rozczulił mnie tym, ale… Uważałam go za cudownego człowieka, do dziś tak uważam, zawsze był przystojny i w ogóle, ale czasem po prostu nie ma tego czegoś, rozumiesz? Nie ma tego czegoś, co sprawia, że dwoje ludzi lgnie do siebie.

– Tego, co miał Matt? – Iwona poczuła lekką ulgę, jeśli w ogóle w tej sytuacji i w świetle tego, czego się dowiedziała, można ją było czuć.

– Możliwe. – Juszczak wydmuchnęła dym z płuc, jego smuga zawirowała nad ich głowami i uleciała ku sufitowi, dołączając do pełzającej pod nim sinoszarej chmury. – Tylko że Matt miał tego za dużo. I chciał tym obdzielać zbyt wiele kobiet, a z tym nie umiałam się pogodzić.

Iwona przeszła na drugą stronę stołu i wreszcie usiadła przed Juszczak.

– Matt zemścił się na skurwysynach, którzy zabili mu córkę – stwierdziła, mimowolnie wędrując wzrokiem po skołtunionych włosach, nędznej resztce pięknej fryzury Juszczak. – Ale to dalej nie usprawiedliwia tego, co zrobił mnie i Krzyśkowi. I mojemu koledze z zespołu, mimo że zastrzelił go Krzysiek. Ani nawet tym, którzy na to zasługiwali. Od tego jest prawo, a nie tacy jak on, samotni mściciele wymierzający sprawiedliwość na własną rękę, w dodatku posługując się cudzymi. Nigdy wam nie wybaczę, że wciągnęliście w to Krzyśka.

– Ty nie rozumiesz…

– Czego nie rozumiem? – Sięgnęła po papierosa, ta rozmowa kosztowała ją mnóstwo nerwów i emocji.

– Kaja nie była córką Matta. – Juszczak znów zaczynała się trząść od płaczu.

– Słucham? – Iwona skamieniała, a jej wyciągnięta ręka zawisła nad blatem. – Przecież powiedziałaś, że ty i Matt byliście ze sobą? Wyjaśnisz mi to?

– Parę lat temu przypadkiem wpadłyśmy z Kają na Matta w kinie. Był z jakąś kobietą, przedstawił nam ją, wymieniliśmy się numerami i zadzwonił do mnie jeszcze tego samego wieczora. I jakoś… Oczarował mnie, znów, jak kiedyś, kiedy byłam w niego wpatrzona, mała gówniara zachwycona cudownym chłopakiem, który nawet na nią nie spojrzał. Zostaliśmy parą, byliśmy ze sobą te parę lat, ale on nie był wierny. Musiał

zdobywać, tak już miał. Ile można wybaczać, co? W końcu powiedziałam „dość” i kazałam mu się wynosić z mojego życia.

– Do rzeczy. – Iwona nie poznawała swojego głosu.

Czuła, że głowa jej zaraz eksploduje.

– Dobrze, do rzeczy. Uległam mu raz, jeden jedyny raz. – Juszczak opuściła głowę, wpatrzona w blat, z dopalającym się papierosem tkwiącym nieruchomo między palcami. – Dwadzieścia trzy lata temu poszliśmy na kolację, wypiłam trochę, on też i wylądowaliśmy u mnie. Byłam pierwszą kobietą, z jaką był, rozumiesz? Nie zdążył wyjść, nie miał wprawy, był zakochany i spełniło się jego marzenie. Skończył we mnie, rozumiesz? Chciałam mu ten jeden raz dać to, o czym marzył, odkąd był nastolatkiem. Żeby choć raz był z kobietą, którą kochał. I zaszłam w ciążę…

Iwona zamknęła oczy i poczuła, że zaraz upadnie. Zapomniała o papierosie.

– Chcesz mi powiedzieć, że… – wyszeptała i urwała.

Nie miała odwagi dokończyć. To było dla niej niewyobrażalne, choć banalne i przecież wcale nie niemożliwe. Jezu, takie rzeczy działy się ciągle i wszędzie. Dlaczego nie miałaby przydarzyć się jej? Dlaczego, kurwa?

– Kaja była córką twojego Krzyśka. – Juszczak dobiła ją, te słowa były jak nóż wsadzony prosto w serce. – Nie chciałam z nim być. Nie chciałam go oszukiwać, że może kiedyś się w nim zakocham, a nie wierzyłam w związek bez miłości z jednej ze stron. Pogodził się z tym, tak przynajmniej twierdził, a ja chciałam w to wierzyć. Kiedy Kaja się urodziła, wyjechałyśmy do Niemiec. Moi przybrani rodzice i tak już nie żyli, brat miał wyjeżdżać na stałe do Australii, więc nic mnie tu nie trzymało, a chciałam, żeby moja córka coś w życiu osiągnęła. Tam miała lepszy start. Krzysiek i tak niedługo potem poznał ciebie, zakochał się, ożenił i miał z tobą syna.

– On umarł – powiedziała Iwona pobielałymi wargami.

Miała pustkę w głowie. I w sercu też.

– Wiem. Przykro mi. Stracił dwoje dzieci, a nie jedno jak ty.

– To ma mnie, kurwa, pocieszyć? – zapytała ostrym tonem.

– Nic ani nikt nie jest w stanie pocieszyć rodzica, który stracił dziecko, coś o tym wiem, jeśli już zapomniałaś. – Oczy Juszczak pociemniały z gniewu. – Ale pomyśl: kiedy masz dwoje i stracisz jedno, to drugie w jakiś sposób wypełnia pustkę. Masz dla kogo żyć, prawda? Jeszcze nie wszystko stracone. Tak to sobie tłumaczysz, racjonalizujesz to, co jest niepojęte.

I żyjesz dalej, bo nie masz wyjścia. Wciąż jest ktoś, dla kogo musisz żyć. A kiedy nikogo takiego nie ma? Co pozostaje?

– Zemsta – odparła zimno. – Wam pozostała zemsta. Połączona z misją ocalenia kolejnych potencjalnych ofiar, ale jednak zemsta.

– Gdyby twój syn nie umarł z przyczyn naturalnych, tylko został zabity w najgorszy możliwy sposób, co byś zrobiła? – Pytanie Lidki zawisło pomiędzy nimi, a Iwona nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

Każda odpowiedź byłaby prawdą i kłamstwem jednocześnie.

– Przecież nie miał z nią kontaktu?

– Co z tego? – Juszczak wzruszyła ramionami. – Nie ze swojej winy, tylko z mojej. Można twierdzić, że to była obca osoba, ale jednak jego córka. Krew z krwi.

– Nie chciał jej widywać?

– Może i chciał…

– Ona nie chciała poznać ojca?

Juszczak milczała. Smród papierosowego dymu wisiał w sinym powietrzu, Iwona miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Nie z bólu, tylko z napięcia.

– Spytałam cię o coś – warknęła.

– Ona nie wiedziała, kto jest ojcem. – Słowa były ledwo słyszalne.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– Wychowałam ją na dobrego człowieka. Starałam się, żeby nigdy nie odczuła jego braku…

– Nie o to pytałam.

Juszczak spojrzała na Iwonę i sięgnęła po kolejnego papierosa.

– Co ci tak zależy? – zapytała.

Iwona powstrzymała się przed zwróceniem jej uwagi, żeby tego nie robiła.

– Chcę wiedzieć – powiedziała zamiast tego.

– Interesuje cię, czy twój facet utrzymywał kontakt z dzieckiem, które nie było wasze?

– Tak, nie jestem zwierzęciem.

Juszczak, nie patrząc jej w oczy, zapaliła kolejnego pall malla. Na blacie zostały tylko trzy białe rurki, pudełko było wypełnione popiołem i niedopałkami. Zapalniczka stuknęła o blat stołu i przejechała siłą rozpędu niemal na jego skraj.

– Nie chciałam mu komplikować życia – mruknęła. – Miał swoje z tobą, a my wiodłyśmy osobne, daleko stąd. To była moja decyzja, on się z nią pogodził, więc nie miej do mnie pretensji. Sorry, z całym szacunkiem, ale to nie jest twoja sprawa.

Iwona zagryzła wargi. Starała się zachować obiektywizm, choć wściekłość zaćmiewała rozum. Nie tylko samce walczą o swoje samice. To działa w obie strony. Formalnie Krzysiek jej nie zdradził, nie w tym powszechnym znaczeniu. Zataił tylko coś przed nią. Jakkolwiek by to nazwać, to też było nie fair. Jak wiele rzeczy, które jej zrobił.

– Zostawmy to – wydusiła z siebie w końcu. – Wróćmy do Krzyśka.

Juszczak z wyraźną ulgą wypuściła z płuc w kierunku sufitu smugę dymu. Była zmęczona równie mocno jak Iwona.

– Po tym, co się stało z Jończykiem, Krzysiek przeszedł kryzys. Załamał się. Prosto ze Szczecina pojechał do Kościeliska i zaszył się tam. Pojechałam za nim, żeby go wspierać, baliśmy się z Mattem, że coś sobie zrobi. Musieliśmy realizować plan, mimo wszystko. A to była dobra baza.

– Musieliśmy realizować plan? Ty też byłaś tak bardzo do niego przekonana?

Juszczak spojrzała na nią i zacisnęła usta. Zamiast nich na jej twarzy widać było tylko wąską poziomą linię.

– Straciłam jedyne dziecko. Ginęły kolejne dzieci, a ty mnie pytasz, czy byłam przekonana?

– Co było dalej?

– Matt pocieszał go, że ten policjant był przypadkową ofiarą i że to wina tych z Klubu, bo gdyby nie oni, nie doszłoby do tej sytuacji. Poza tym każdy policjant powinien być gotowy oddać życie, służąc społeczeństwu.

– To bełkot. – Słowa wylały się z gardła Iwony jak żółć. – Taka gadka miała go przekonać? Jest inteligentnym facetem, nie powiesz mi chyba…

Urwała w połowie zdania. Chyba przyszedł czas zmierzyć się z prawdą, że jej Krzysiek nie był do końca zdrowy psychicznie i łatwo dawał sobą manipulować, zwłaszcza ludziom, którzy mieli do tego predyspozycje. Jak Matt. Co trzeba mieć w głowie, żeby zniszczyć życie ukochanej osoby, nawet w imię jakiegoś wyższego celu? I co jest tym wyższym celem?

Kolejne słowa Juszczak mogły to potwierdzać.

– On… On się zmienił. – Juszczak spojrzała na Iwonę załzawionymi oczami, papieros sterczał z jej palców, z rozżarzonej końcówki sączyła się

smużka dymu; rysowała w powietrzu rozedrganą linię. – To go zmieniło, rozumiesz? Stał się już innym człowiekiem. Zawsze był małomówny, ale potem… Prawie się nie odzywał. Do nikogo. Ani do mnie, ani do Matta. Robił wszystko, słuchał, kiedy Matt opowiadał mu, jak sobie radzisz z tymi skurwysynami, ale przeważnie milczał albo odpowiadał półsłówkami. Rozgadał się dopiero wtedy, kiedy wpadłaś na ich trop. Wtedy to zaczęło mieć dla niego sens, tak teraz myślę. Może rzeczywiście, tak jak mówił Matt, zaczął traktować śmierć tego policjanta jak zło konieczne, jak ofiarę, która musiała zostać poniesiona dla wyższego celu. Zresztą… To naprawdę był wypadek. Przecież wszyscy to wiemy, prawda? Chyba nie sądzisz, że zrobił to specjalnie? Gdyby to był Matt… – Urwała nagle.

– To co?

Juszczak zaciągnęła się papierosem po raz ostatni i niedopałek dołączył do pozostałych. Siła nacisku rozepchała pudełko, jego ścianki wybrzuszyły się i przestało przypominać prostopadłościan.

– To co?! – powtórzyła Iwona głośniej i natarczywiej.

Juszczak popatrzyła jej w twarz i w tym spojrzeniu było wszystko: kpina, smutek, rozpacz i pewność.

– Myślę, że byłby w stanie świadomie poświęcić życie policjanta, żeby osiągnąć cel. Ten cel! – dodała po namyśle i z naciskiem, jakby chciała uniknąć jakichkolwiek wątpliwości.

– Poświęcił życie policjanta – powiedziała powoli i wyraźnie Iwona, akcentując pierwsze słowo. – I nawet nie mówię o Knoblu. Mówię o swoim.

– Swoje życie też poświęcił – zauważyła Juszczak.

Iwona zostawiła to bez odpowiedzi, choć korciło ją, żeby zapytać, czy to go tłumaczy. Na większość pytań, które pojawiały się w tej sprawie, po prostu nie było odpowiedzi. Przez dłuższy czas obie milczały: Iwona stała z założonymi na piersi rękami oparta plecami o ścianę, a Juszczak bawiła się naprędce zaimprowizowaną popielniczką. Kiedy milczenie się przedłużało, Iwona zerknęła na zegarek i sama się zdziwiła, ile czasu tu już spędziły. Potrzebowała świeżego powietrza. Jak najszybciej.

– Co było później? – zapytała. – Po akcji na Śmiałej? Muszę wiedzieć, co było dalej!

Juszczak spuściła głowę i włożyła ręce między kolana, jakby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

– Nie wiem, mówiłam ci już, że nie kontaktowałam się z nimi od tamtej chwili. Ani oni ze mną.

– Nie chciałaś wiedzieć?

– Po co? – Uniosła głowę. – Osiągnęliśmy cel. Zniszczyliśmy ich. Zdechli. Przestali istnieć. Spalili się, tak samo jak ich ofiary. Tego chcieliśmy, prawda? Żeby odpowiedzieli za to, co zrobili, i żeby więcej takie rzeczy się nie zdarzały. I tyle… – Wzruszyła ramionami. – Po prostu wysadziłam Matta w Ursusie, przesiadł się do Krzyśka i pojechali do Kościeliska. A ja… Ja wróciłam do domu, żeby jakoś żyć dalej.

ŚMIERĆ MUSZKIETERA (WCZEŚNIEJ)

Szarzeje, na tle ciemnego jeszcze nieba majaczy sylwetka potężnego słupa sieci elektroenergetycznej, po prawej widać bryłę kościoła.

Czeka na nich na parkingu nieopodal pływalni OSiR-u w Ursusie, ze zdenerwowania bębni palcami po kierownicy. Wie tylko, że Matt zadzwonił do Lidki, żeby po niego przyjechała. On ma tylko przejąć Matta właśnie w tym miejscu. Musiało się stać coś nieoczekiwanego. Nagle widzi zbliżający się od strony Warszawy samochód, którego kierowca na ułamek sekundy miga długimi światłami. Robi to samo. Land rover zbliża się, parkuje obok i ze środka wyskakuje Lidka. Podbiega do auta, w którym on siedzi: to bmw Matta. Matt pojechał na Śmiałą wysłużonym, niebieskim volvo kupionym kilka dni wcześniej. Opuszcza szybę, Lidka niemal wkłada głowę do środka i widzi, że płakała.

– Co się dzieje? – pyta bez tchu.

– To koniec, Krzysiek. Oni nie żyją. Starł to miejsce z powierzchni ziemi. Dosłownie.

– Dlatego płaczesz?

– Nie, nie dlatego. – Lidka ociera łzy. – Nie jest z nim dobrze, nie chce powiedzieć, co mu zrobili, ale nie wygląda dobrze. Chce jechać do Stasinki. Pomóż mi go przetransportować do ciebie.

Odsuwa się, robiąc mu miejsce, a on wysiada, czując, jak trzęsą mu się ręce. Idzie za Lidką, która otwiera drzwi land rovera. Matt siedzi z głową odchyloną do tyłu i opartą o zagłówek, na kolanach ma laptop. Otwiera oczy, które błyskają przez chwilę w półmroku rozpraszanym przez podsufitową lampkę.

– Mamy to. – Przytula laptop do piersi jak największy skarb. – Jednak nie byli tak obsesyjnie ostrożni. Przynajmniej nie we wszystkim.

– Chodź – mówi Lidka. – Nie mamy czasu.

Matt przekazuje jej laptop i próbuje wysiąść, ale nie daje rady. Krzysiek podaje mu rękę i wyciąga go z samochodu, Lidka kładzie komputer na dachu, doskakuje z drugiej strony i oboje zakładają sobie jego ramiona na barki i obejmują go wpół. Kuśtykają do bmw i praktycznie wrzucają Matta

na tylne siedzenie. Lidka zapina mu pas, a kiedy wycofuje się z wnętrza samochodu, Matt przytrzymuje ją niespodziewanie i całuje w policzek.

– Jesteś najlepsza, słońce – mówi z trudem i dodaje po chwili: – Gdzie laptop?

– Zaraz go dostaniesz – odpowiada Lidka, uwalnia się z objęć Matta i prostuje, unikając ich spojrzeń. Wraca do land rovera, bierze laptop z dachu i przynosi go Mattowi. – Jedźcie już – mówi cicho.

Ustalili wcześniej, że nigdy więcej się nie zobaczą. Nie będą wracać do tego, co się wydarzyło, nie będą ze sobą rozmawiać ani się spotykać. To wszystko ma na zawsze pozostać ich tajemnicą. Lidka wsiada bez słowa do swojego samochodu i odjeżdża, nie oglądając się. On odprowadza ją wzrokiem, aż tylne światła znikają za budynkiem pływalni. Dopiero wtedy wsiada do bmw. Matt ciężko oddycha na tylnej kanapie. Krzysiek uruchamia silnik, zapina pas i rusza.

– Co się stało? – pyta krótko, kiedy są już na ulicy.

– Nakryli mnie – syczy Matt i odsłania zęby z bólu.

– Jesteś ranny? – Patrzy w skupieniu na drogę.

– Chyba tak. – Matt obejmuje się wpół. – Kurwa, nakryli mnie. Załatwiłem ochroniarza, ale mieli jakiś system powiadamiania, cichy alarm czy coś, i przyjechali z Falent. Skatowali mnie, a potem wezwali Iwonę i tego gówniarza, z którym jeździła. Tego Kurę.

– Co z nią? – Czuje nagły przestrach.

– Wszystko w porządku. Nawet jej nie drasnęli. I już po sprawie, Krzysztof. Rozwaliliśmy ich na miejscu, nie mieliśmy wyjścia. A Iwona uratowała mi życie. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tu. Przegralibyśmy, rozumiesz? Działaliby dalej, a ty z Lidką już nic nie moglibyście zrobić. Nic.

Jadą przez chwilę w ciszy. Nagle Matt szarpie się w siedzeniu i kilka razy uderza pięścią w tapicerkę drzwi.

– Kurwa, kurwa mać – powtarza z wściekłością, ale to kosztuje go zbyt wiele sił i bólu.

Krzysiek nie reaguje, prowadzi spokojnie, czasem tylko mocniej zaciska palce na kierownicy.

– Jedź szybciej – prosi go Matt, kiedy już się uspokaja. – Nie jest dobrze.

– Co to znaczy? Złapali ją? Policja?

– Powiedziałem ci, z Iwoną wszystko w porządku. Uciekła. Ze mną nie jest dobrze.

– Chcesz się zatrzymać?

– Oby nie! – Zaczyna się nagle opętańczo śmiać, ale po chwili śmiech przeradza się w kaszel.

Matt zasłania ręką usta, a kiedy odrywa ją od nich, na palcach jest krew. Wyciera dłoń o spodnie. Jest ciemno, materiał jest czarny, więc nie widać żadnego śladu.

– Dowieź mnie na miejsce. – Dyszy ciężko. – Zaczyna naprawdę kurewsko boleć…

Dalsza jazda jest jak z koszmaru. Matt najpierw pojękuje, potem stęka, aż wreszcie momentami zaczyna z bólu tracić świadomość. Jest blady i spocony, kiedy Krzysiek zerka w lusterko, widzi jego twarz, która w świetle reflektorów jadących z naprzeciwka samochodów wygląda upiornie. On prowadzi w skupieniu, starając się nie słuchać, bo wie, że i tak nic nie zrobi, nie teraz. Dojeżdżają do Stasinki niecałe sześć godzin od wyruszenia z Ursusa. Jest pochmurnie i deszczowo. Mija chatę i jakieś sto metrów dalej wjeżdża na pole za ich łąką, w wąską, wyjeżdżoną oponami ciągnika ścieżynkę, z której zjeżdża niedługo potem, już na ich teren. Parkuje, ukryty za Stasinką przed oczami Jaśka Wawrytki. Wysiada z samochodu, obchodzi go i otwiera drzwi. Ostrożnie odpina pas Matta, który niemal leży na kanapie. W tej samej chwili Matt odzyskuje świadomość, a może budzi się z płytkiego, niespokojnego snu.

– Jesteśmy na miejscu? – Toczy błędnym wzrokiem dookoła i zatrzymuje go na Giewoncie.

– Jesteśmy w domu – mówi mu i pyta: – Dasz radę sam wysiąść?

– Za chuja. – Matt kręci głową. – Pomóż mi. I weź laptop, mój plecak i karabinek.

Robi to. Wysiada z samochodu i czuje na twarzy silny podmuch wiatru. Jest suchy i ciepły, to halny. Wyciąga z samochodu klamoty: zakłada na ramię szelkę ciężkiego jak diabli plecaka i sling karabinka, pod pachę wciska komputer i pomaga Mattowi wysiąść. Potem prowadzi go do chaty, otwiera klapę piwniczki i sprowadza go na dół, choć wygląda to raczej, jakby Matt tam po prostu wpadł. Patrzy, jak doczołguje się pod ścianę i opiera o nią, wzdychając ciężko i łapiąc się za brzuch. On ostrożnie kładzie laptop na stoliku, odstawia karabinek pod ścianę i czeka, co dalej.

– Weź apteczkę – mówi Matt. – Jest w plecaku.

Otwiera go. Na samym wierzchu leży zielona skrzyneczka z napisem First Aid Kit, przypominająca trochę większą apteczkę samochodową. Otwiera wieczko i widzi, że jej zawartość nie jest standardowym wyposażeniem apteczek, jakie wożą kierowcy. W tej, którą ma w rękach, są strzykawki, igły, ampułki, staza, bandaże i stapler skórny. Kładzie ją Mattowi na kolanach. Matt z trudem rozpakowuje igłę, zdejmuje zębami osłonkę i wypluwa ją, potem napełnia strzykawkę, kładzie sobie na kolanach i odłamuje czubek jednej ze szklanych ampułek.

– Pomóc ci?

– Dam radę – odpowiada, a on przypomina sobie inne pytania, które zadawał mu Matt, na które udzielał takiej samej odpowiedzi.

Dam radę. I dał.

Matt też daje radę. Odkłada napełnioną strzykawkę obok siebie, podwija rękaw i zaciska stazę na bicepsie. Potem kilka razy zaciska pięść, aż w zgięciu łokcia pokazuje się żyła. Jest ledwo widoczna, ale Matt podejmuje próbę. Wkłuwa się w skórę, odciąga tłok i kiedy w komorze pojawia się trochę krwi, naciska go, wtłaczając w żyłę zawartość strzykawki. Odrzuca ją w kąt i zamyka na chwilę oczy.

– Zaraz będzie lepiej, przynajmniej przez chwilę. – Oddycha głęboko i wznosi wzrok ku stropowi, a potem zerka na niego.

Patrzą na siebie, patrzą sobie w oczy tym specyficznym spojrzeniem mężczyzn połączonych dozgonną, choć trudną przyjaźnią, patrzą na siebie jak dwaj mężczyźni uwikłani w miłość do tej samej kobiety, świadomi wyborów, których kiedyś dokonała za nich ona.

– Znów razem, co, Aramisie? – Matt uśmiecha się słabo.

– Znów razem, Atosie – potwierdza, choć to wydaje mu się dziecinne i po prostu głupie.

Matt kiwa głową, jakby wyczytał to w jego myślach. A może w oczach.

– To koniec, Krzysiek. Rzygam krwią i krew leci mi z dupy. Wszystko mi drętwieje, zastrzyki nie pomogą na długo. Już po mnie, rozumiesz? I trudno. Dokończ to. Po prostu wyrwij chwasty, zanim zginą następne dzieciaki. Zanim czyjaś Kaja trafi znów do pieca.

Kiedy słyszy imię swojej córki, zaciska pięści i zamyka oczy. Kiedy je otwiera, widzi tylko twarz Matta.

– Pewnie się zastanawiasz, czy myślę, że było warto w kontekście tego, co ze mną będzie, co? – Zmęczone, pełne bólu oczy Matta patrzą na niego

badawczo.

– A było?

– Tak. – Matt wypowiada to słowo z mocą i pewnością. – Było warto. Kłamałem, zabijałem, ale było warto. Mimo wszystko…

Milczą obaj przez chwilę. Matt oddycha ciężko, spogląda w dół, na swoje przyciśnięte do brzucha ręce. Są blade i brudne.

– Pochowaj mnie tu – mówi. – Po prostu zakop na łące, za domem, kiedy już się ściemni. Zawsze to lepsze niż spalenie w piecu, co? – Wyszczerza zęby, ale po chwili drapieżny uśmiech gaśnie, zdmuchnięty paroksyzmem bólu.

On opuszcza głowę, a Matt orientuje się, że to, co powiedział, było niestosowne.

– Przepraszam – szepcze. – Wybacz trupowi.

– Przestań! – krzyczy do niego.

Matt kiwa powoli głową, każdy ruch kosztuje go kolejne ukłucie bólu.

– Miałem fajne życie, mimo wszystko – mówi, przełykając ślinę zmieszaną z krwią. – Miałem kobiety, wolność i zajebistą robotę. Robiłem coś dobrego. A to, co zdziałaliśmy razem, to ukoronowanie tej roboty. Cena jest… – Znów zaciska powieki i wyszczerza pokryte mazajami krwi zęby, ale tym razem z bólu. – Cena jest wysoka, ale liczyłem się z nią. Od początku, rozumiesz? Od początku. Miałem nadzieję, że wszystko pozostanie w tajemnicy. Niezbyt dużą nadzieję, ale zawsze. Ważne, że się udało. Gdyby mnie nie skatowali, ale wszystko wyszłoby na jaw: mówię o tym, co zrobiłem… Skończyłbym ze sobą sam. Palnąłbym sobie w łeb. Honorowo. Ale popełniłem błąd, bo dałem im się zaskoczyć. Gdyby nie przyjechali, zrobiłbym swoje w tej pieprzonej willi, a później rozwaliłbym ich po cichu, nawet gdybym nie znalazł laptopa. Ale znalazłem i dlatego można rozwalać kolejnych. Tylko że Iwona byłaby już poza tym. Nikt by nie wiedział, co zrobiła. Ułożylibyście sobie jakoś życie. Wróciłbyś do niej i jakoś to posklejał. Może byście wyjechali? Nawet tutaj otworzyli pensjonacik dla turystów. W policji nie ma przyszłości. – Rozkaszlał się nagle, a kiedy skończył, przez kilkanaście sekund dochodził do siebie, rzężąc nieludzko.

– Ja też już nie mam przyszłości, Matt – odpowiada mu cicho, ledwie sam siebie słyszy.

Na zewnątrz wciąż wieje wiatr, słychać go nawet tu, w piwniczce. Słychać, jak jego porywy uderzają w dach, jak gwiżdże w szparach stryszku, którego

nigdy nie zdążyli uporządkować.

– Pierdolisz – prycha lekceważąco Matt, a potem poważnieje i patrzy na niego w skupieniu. – Dokończysz to?

– Przecież to już koniec. – Wzrusza ramionami. – Już po wszystkim.

Matt zerka w kąt. Na małym warsztatowym stoliku, na którym kiedyś, dawno temu, w dawnym życiu, które się skończyło, i jeszcze zanim urodził się Michaś, naprawiali z Iwoną okiennice. Leży na nim zdobycz Matta, laptop.

– To tylko mój koniec, Krzysztof. Ty zostajesz. I ty musisz to dokończyć.

– Nie… – protestuje słabo.

– Tak. Któryś z tych skurwieli odpowiada bezpośrednio za śmierć Kai. Masz ich podanych na talerzu. Są tam… – Z trudem unosi ramię i wskazuje niezdarnie w kierunku stolika. – Masz ich ryje i nazwiska, widzisz ich kutasy kalające ciała bezbronnych dzieciaków. Wiesz, kim są i gdzie powinni trafić. Czego jeszcze ci trzeba, co?

– Matt…

– Niech moja śmierć nie pójdzie na marne. – Mimo zastrzyku Matt wyraźnie słabnie. – Ani moja, ani tego policjanta. To ludzkie śmieci, Krzysiek. Trzeba je zutylizować. Jak najszybciej. Posprzątać świat. Jesteś dobrym człowiekiem, zawsze byłeś. Wiem, że to, co stało się w Łodzi, złamało cię. Ale to nie twoja wina. Jeśli już, to moja. Mieć ludzkie życie na sumieniu to potworna sprawa, ale to nie byli ludzie. I nie są nimi ci, którzy zostali. Gdybyś widział, że na twoich oczach jakieś zwierzę chce zabić bezbronne dziecko, i miałbyś narzędzie, żeby temu zapobiec, co byś zrobił? Zawahałbyś się?

– Nie trzeba od razu zabijać, Matt – mówi cicho.

– Normalnego zwierzęcia nie, Krzysiek, to prawda. – Matt kiwa głową i nagle jakby odzyskuje siły. – Ale takiego bydlaka jak najbardziej. A wiesz dlaczego? Bo zrobi to jeszcze raz. I jeszcze raz. Tak jak tamci: Golczewski i Chyła. Też kiedyś zrobili to pierwszy raz i nie poprzestali na nim. Bezkarność, Krzysztof, popchnie tych zwyrodnialców do powtórzenia tego w przyszłości, może nawet w jeszcze bardziej wynaturzonej formie. Dlatego eliminuj ich z hukiem. Pierwszego załatw bombą, a wieść rozniesie się szeroko. Ci, którzy w tym tkwili, będą wiedzieć, dlaczego zginął. I dobrze, i o to chodzi. Niech się boją. Niech wiedzą, że w końcu po nich przyjdziesz. Niech żyją w strachu i nawet jeśli nie będą żałować tego, co zrobili

dzieciakom, niech przynajmniej się boją. Niech strach będzie obecny w ich zasranym, wystawnym życiu, niech zatruwa ich powoli i to właśnie strach powstrzyma ich przed powtórzeniem tego, co zrobili. Lecz nie na długo, pamiętaj. Nie mogą poczuć się bezkarni, bo strach minie, wróci pewność siebie. I dlatego w końcu uderzysz. Zutylizujesz następnego. Potem kolejnego. Piekło za piekło, Krzysiek. Niech trafią do piekła za to, że urządzili piekło komuś innemu. A ja tam na nich będę już czekał. – Odpoczywa chwilę, potem oblizuje spierzchnięte wargi i kontynuuje: – W moim plecaku są dwa ładunki. Masz też mojego HK, dwa magazynki i kilka pudełek amunicji. To ci powinno wystarczyć. Jest też sporo forsy, na oko ze sto tysięcy zabrałem tym gnojom. Nie zostawaj tutaj, tu nie jest już bezpiecznie. Iwona przyjedzie tu w końcu jeszcze raz, nie może cię tu być. Za te pieniądze wynajmij coś, znajdź dobre miejsce na kryjówkę i zaszyj się tam. I kończ plan. Zrobisz to? Zrobisz to dla mnie? Dla Lidki, a przede wszystkim dla Kai?

Długa tyrada wyczerpuje go, znów słabnie, ma jeszcze mniej sił, z wyraźnym trudem utrzymuje głowę w pionie.

– Ja… – Krzysiek nie kończy, nie jest mu dane skończyć, zresztą sam nie jest pewien, co chce Mattowi powiedzieć.

– Zrobisz to. – Matt znów przeraźliwie kaszle, zginając się wpół z bólu, potem kuli się w sobie, jakby miał zwymiotować, i z kącika ust spływa mu strużka krwi. – Dasz radę. Wiem, że dasz… – Przerywa nagle i toczy błędnym wzrokiem po piwniczce. – Pobierz mi krew – mówi niespodziewanie, a on myśli, że się przesłyszał.

– Co? – pyta.

– Pobierz mi krew – powtarza Matt.

Ma świszczący, szybki i płytki oddech.

– Ale po co? – pyta Matta zdziwiony.

– Kiedy załatwisz któregoś, zostaw kilka kropel na miejscu. Wszystko będzie na mnie, ale to już nie będzie miało znaczenia. Jeśli ktoś wszystko odkryje, zwalisz wszystko na mnie, rozumiesz? To ja zastrzeliłem w Łodzi tego chłopaka, który był z Iwoną…

– Byłeś wtedy w pracy.

– Nie byłem. – Matt wzdycha.

– Miałeś być? – ni to pyta, ni stwierdza.

– Ale nie byłem. Pomyślałem o wszystkim. Prawie o wszystkim, ale o tym akurat tak. Podaj mi strzykawkę i przynieś coś szczelnego. Później przelejesz to do jakichś maleńkich pojemniczków, najlepiej tych do krwi. Będziesz to trzymał w lodówce i zabierał ze sobą, kiedy już zdecydujesz się wykonać wyrok na tych bestiach. Kilka kropel, to wystarczy. Zostawisz je na miejscu.

– Będą wiedzieć, że to stara krew.

– Nie. To wykazałyby tylko konkretne badania, ale te zwykłe, porównawcze, nie.

– To też sprawdziłeś? – Patrzy na niego uważnie.

– Oczywiście… – Matt znów kaszle. – Pośpiesz się. Nie zostało mi dużo czasu. Prawie nie mogę oddychać.

Bierze więc z kolan Matta apteczkę, kładzie ją na stoliku obok laptopa i zaczyna przygotowywać strzykawki. Rozpakowuje igły, nasadza je na trzpienie, staza jest wciąż przy Matcie. Kiedy się odwraca, Matt jest nieprzytomny. Próbuje go ocucić, ale delikatne poklepywanie po policzku nic nie daje. Sprawdza puls, tętno jest wolne, nieregularne i słabo wyczuwalne. Zdaje sobie sprawę, że Matt odchodzi i że to nie potrwa długo. Zaciska gumowy pasek na jego przedramieniu i czeka, aż jakaś żyła wybrzuszy skórę.

– Zrobię to – szepcze do niego. – Już wiem, że to zrobię. Nie umrzesz na darmo.

Pół godziny później ciało Matta wypręża się, oddech przyśpiesza i nagle ustaje. Jego ciało wiotczeje, a na twarzy gości już spokój śmierci.

PIEKŁO ZA PIEKŁO

Podchodzi do niego i głaszcze go po niemal białej twarzy.

– Żegnaj, Atosie – szepcze i to już nie wydaje mu się ani dziecinne, ani głupie.

Zaczyna płakać. Nie szlocha, nie rozpacza rozdzierająco, ale żal wyciska mu z oczu łzy, które spływają w ciszy po policzkach. Siada pod ścianą obok Matta i opiera głowę na jego ramieniu. Siedzi tak sam nie wie jak długo, ale i tak musi poczekać do zmroku, aż będzie mógł spełnić jego prośbę. Zasypia, a gdy się budzi, jest skostniały z zimna i odrętwiały. Zerka na zegarek: jest po dwudziestej, ale uznaje, że to jeszcze nie czas. Wstaje, rozciera dłonie, potem ramiona i podchodzi wolnym krokiem do stolika. Siada przy nim i otwiera laptop. Przez chwilę jego palce wiszą nad klawiaturą. Kiedy klika w klawisz spacji, ekran rozjaśnia się kolorami. Na tapecie jest czerwone porsche carrera upstrzone ikonkami aplikacji i folderów. Dziwi się, że komputer nie jest zahasłowany, ale potem przypomina sobie słowa Matta: „nie byli jednak tak obsesyjnie ostrożni, jak myślałem". Po kolei otwiera foldery, czując, jak wali mu serce. Dotarli do jądra ciemności.

Zaciska zęby i zmusza się, żeby obejrzeć wszystkie zapisane na twardym dysku filmy. Jest ich czternaście. Czternaście aktów okrucieństwa, lubieżnych i wyuzdanych. Czternaście śmiertelnych ofiar. Na żadnym z filmów nie ma Kai, choć wśród plików w osobnym folderze dostrzega jej zdjęcie. Znów płacze, tym razem głośno. W kolejnych folderach znajduje screeny z korespondencji prowadzonej z klientami. Życzenia dotyczące „obiektów", jak określają swoje ofiary. Adresy mailowe. Imiona i nazwiska. Krótka sesja w internecie wystarcza, żeby dopasować je do twarzy. Z trzema wyjątkami to ludzie często występujący w sieci. Przedsiębiorcy, biznesmeni, jeden celebryta. Archiwum zbrodni, prowadzone ze skrupulatnością nazistowskich urzędników dokumentujących masową eksterminację ludzi, co ich w końcu pogrążyło, bo akta stały się dowodami przeciwko nim samym. A to, co ma przed sobą, też miało pogrążyć kolejnych zwyrodnialców. Zamyka laptop, wstaje od stolika i idzie do apteczki, z której wyciąga parę lateksowych rękawiczek. Zakłada je na dłonie: są

trochę luźne, bo Matt dobrał je pod siebie. Podchodzi do plecaka, obok którego leży pas z ładownicami. Kuca przy nim i otwiera go, potem ostrożnie wkłada rękę do środka i wyjmuje po kolei jego zawartość. Najpierw ogląda ładunki wybuchowe. Przypominają niewielkie paczki z doczepionymi maleńkimi, czarnymi skrzyneczkami z plastiku. Każda ma dwie diody, między nimi jest otwór, w którego wnętrzu widać jakiś metalowy element. Na krótkim druciku dynda coś w rodzaju kluczyka z dziwną końcówką i niewielki przedmiot przypominający pilota do bramy garażowej. Wie, że wystarczy włożyć kluczyk w otwór i zapali się zielona dioda gotowości, a kiedy go przekręci, zapali się czerwona i wtedy już wystarczy tylko wcisnąć guzik na pilocie, żeby nastąpiła eksplozja. Odkłada bomby i znów sięga do plecaka, natrafia na paczki banknotów. Liczy pieniądze, same dwusetki, robi to bez pośpiechu i metodycznie. Jest tego ponad osiemdziesiąt siedem tysięcy, wystarczy, żeby przeżyć jakiś czas. Paczek z nabojami nie wyciąga, widzi pudełka na dnie plecaka. Potem dotyka karabinka, wyjmuje magazynek: jest pusty. Wyciera metal skrajem swetra i odwraca się w stronę Matta, który wpatruje się w niego martwym spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek, a on przypomina sobie wzrok Jończyka i zastanawia się, jak spojrzy w oczy ludziom, których będzie zabijał. Potem dochodzi do wniosku, że zrobi to z przyjemnością. Chce zobaczyć ten strach, kiedy zrozumieją, że to koniec, że za chwilę zapłacą najwyższą cenę za swoje chore, wynaturzone żądze. Taki sam strach oni widzieli wcześniej w oczach swoich ofiar. Matt miał rację jak zwykle: to po prostu trzeba było zrobić. Dokończyć. Podchodzi do Matta, bierze go za rękę, za palec, przytyka opuszkę do boku i ostrożnie wsuwa magazynek do ładownicy na pasie.

Wyczekując północy, siedzi bez ruchu i wraca wspomnieniami nie tylko do momentu, w którym Matt skontaktował się z nim i opowiedział, co przydarzyło się Kai. Od tego wszystko się zaczęło, ale czy na pewno od tego? Sięga pamięcią jeszcze dalej: do Łobza. Widzi siebie, Matta i Piotrka. Widzi Lidkę. Znów czuje to, co wtedy, i też tego nie rozumie: jak nastolatek mógł tak mocno pokochać dziecko. Może widział w niej już wtedy zapowiedź pięknej kobiety, jaką się stanie? Ale czy piękno to wszystko? Może był po prostu wrażliwy? Kochał również Matta i Piotrka. Byli jego braćmi, jedyną rodziną. Wspomina szpital. Pytania lekarzy, testy, swoje konsekwentne milczenie, inne dzieciaki z prawdziwymi problemami, o wiele

poważniejszymi niż szaleńcza miłość i tęsknota za dzieckiem, które stało się jego obsesją. Chwile, kiedy kochali się kilkanaście lat później, wryły się w jego pamięć: wspominał je jako najcudowniejsze w życiu. A tę, w której Lidia powiedziała mu, że jest z nim w ciąży, ale prosi o uszanowanie jej decyzji o wyjeździe i braku kontaktu, jako najgorszą.

Było, minęło. To, co zrobił, zrobił dla niej, dla Matta i teraz już sądzi, że dla siebie również. Tak było trzeba.

Północ.

Wdrapuje się na górę. Już ze schodków obrzuca Matta spojrzeniem, jakby szacował jego wzrost i masę. Wychodzi z chaty, na dworze jest jasna, księżycowa noc. Pełnia, blask księżyca przyćmiewa gwiazdy, których prawie nie widać, poza tymi najjaśniejszymi. Srebrna poświata obleka wszystko dookoła, wykrawa na horyzoncie poszarpany grzebień tatrzańskich szczytów, rzuca cienie, ale on nie boi się, że ktoś go zobaczy. Okolica jest pusta, chata oddziela go od drogi, a u Wawrytki, jedynego sąsiada, jest ciemno. Podchodzi do jabłoni, staje pod nią i unosi głowę. Jasna tarcza miesoncka poprzecinana jest siatką gałęzi, na żółtawym kole otoczonym lisią czapą widać plamy księżycowych mórz. Pochyla głowę i mruczy do siebie: tu będzie dobrze. Wbija szpadel w trawę, metaliczny trzask czerpaka przebijającego się przez grudy ziemi uderza go w uszy. Robi następny sztych, tuż obok, kilka minut później widać już linię. Kiedy są już cztery, układające się w prostokąt, jakieś pół metra na dwa, znów wbija szpadel w tym samym miejscu, w którym zaczął, naciska trzonek i niemal kładzie go na ziemi, podważając czerpakiem fragment trawy. Oddziela go i odkłada na bok, potem robi to samo z następnym i wkrótce w trawiastej nawierzchni łąki zieje czarny, lekko zagłębiony prostokąt. Zaczyna kopać dół, niezbyt głęboki. Wie, że nie starczy mu sił ani czasu na porządny grób. I wie, że to, co stanie się potem, kiedy zostanie odkryty, też już nie będzie miało znaczenia ani dla niego, ani tym bardziej dla Matta.

Dwie godziny później grób jest gotowy, a on jest zgrzany i zmęczony. Wiatr chłodzi mokre czoło i kark. Ociera pot i wraca do chaty po Matta, potem długo patrzy na martwe ciało przyjaciela i czuje pustkę w środku. To ratunek przed tym, co naprawdę dzieje się w jego głowie. Na to przyjdzie czas później, teraz musi spełnić swój obowiązek. Podchodzi do tego metodycznie, bo wie, że nie będzie łatwo. Matt ważył jakieś dziewięćdziesiąt kilo, teraz w dodatku jego ciało jest bezwładne i wydostanie go na górę

może okazać się zadaniem ponad siły. Ma już linę ze sobą, jej gruby zwój wisi mu na ramieniu. Oplata nią Matta pod pachami, przewiązuje w pachwinach i zawiązuje gruby węzeł na karku. Wytężając wszystkie siły, przeciąga ciało pod schodki, które są tak strome, że w istocie są po prostu drabiną ze stopniami. Wdrapuje się na górę, trzymając koniec liny, a kiedy tam już jest, zaczyna Matta wciągać. Gdy po dwudziestu minutach kończy, znów jest mokry od potu, ale Matt leży obok niego na podłodze. Kilka minut dochodzi do siebie, czeka, aż oddech się uspokoi, a mroczki przestaną latać przed oczami. Otwiera tylne drzwi i wyciąga ciało na zewnątrz. Twarz Matta w świetle księżyca jest biała. Chwilę później wrzuca go do grobu, bo nie ma już sił, żeby zrobić to delikatnie. Po prostu spycha ciało i patrzy, jak stacza się i uderza o dno twarzą. Uznaje, że tak nie można i podejmuje ostatni wysiłek: odwraca Matta i dopiero wtedy zaczyna go zakopywać. Zostaje sporo ziemi, którą rozrzuca wokół jabłoni i dalej, ale tak, żeby nigdzie nie zebrało się jej za dużo. Musi zniknąć między rzadkimi źdźbłami trawy. Kiedy już udeptuje tę, która leży nad Mattem, kładzie płaty darni na miejsce i depcze po nich, skacze z jakąś zajadłością. Koniec. Został sam. Nawet przez myśl mu nie przyjdzie, żeby zmówić jakąś modlitwę. Nie ma nikogo, do kogo mógłby ją zanieść, bo gdyby ktoś taki był, nie dopuściłby do tego, co się stało. Takie rzeczy na świecie po prostu by się nie działy.

Patrzy w księżyc i zastanawia się, co powie tym skurwysynom, celując w ich serca. Co powie im tuż przed śmiercią. I choć wie, że to nie będzie miało sensu, bo przestaną istnieć sekundę później, to niech choć przez tę jedną krótką sekundę wiedzą, co ich czeka. Chce to zobaczyć w ich oczach, ten przeraźliwy strach i świadomość nieodwracalnego.

Piekło za piekło, skurwysynu.

To właśnie im powie.

A potem naciśnie spust.

OSTATNI Z MUSZKIETERÓW

– Co teraz? – zapytał Bruś, kiedy Iwona streściła mu przebieg rozmowy z Lidią Juszczak.

– Nie wiem. – Poczuła, że zaraz rozpłacze się z bezsilności. – Kurwa, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że muszę go znaleźć. Czuję, jakbym musiała wszystko zaczynać od nowa, rozumie pan? Wszystko!

– Co z nią? – Bruś wskazał podbródkiem drzwi, za którymi została Juszczak.

– Niech idzie – zdecydowała Iwona, odruchowo się na nie oglądając. – Zostawmy ją w spokoju. Niech chociaż ona ma święty spokój.

Bruś nic nie powiedział, tylko zniknął gdzieś, zapewne poinformować osobę odpowiedzialną za PdOZ, że przywieziona tu osoba może odejść wolno. Iwona nawet nie zamierzała się z nią żegnać. Nie miała ochoty znów jej widzieć ani zamieniać z nią słowa. Wszystko zostało już powiedziane. Kiedy Bruś wrócił jakieś dziesięć minut później, Iwona już zdecydowała.

– Przykro mi – powiedziała cicho.

– Z jakiego powodu? – zapytał.

– To koniec. – Wzruszyła ramionami.

– Koniec?

– Tak, koniec. Doszłam przed chwilą do wniosku, że zaczynanie wszystkiego od nowa nie ma sensu, bo pomijając mój związek z naszym obecnym podejrzanym, ja już po prostu nie mam pomysłów, jak go dopaść. I jestem ostatnią osobą, która powinna go tropić. Albo wpadnie przy kolejnej próbie zamachu, albo… – Urwała nagle, bo nic nie przychodziło jej do głowy.

Miała w niej kompletną pustkę.

– Wraca pani do Szczecina?

– Nie wiem, chyba tak. Wracam przecież do normalnej roboty, prawda? – Spojrzała mu w oczy, szukając potwierdzenia.

– Tak jak się umówiliśmy – potwierdził Bruś.

Milczała przez chwilę.

– Przepraszam, panie komendancie. Tu już naprawdę nic się nie da zrobić. Nie mam pojęcia, gdzie mógł się ukryć. I nie wiem też, co dalej. Mam na myśli śledztwo w sprawie Śmiałej. I nie tylko to, siebie również mam na myśli.

– W końcu dojdą, że trup z pani posesji to inspektor Grzeliński. I że to on dokonywał zamachów, bo tego już z pewnością nie da się zbyt długo ukrywać.

– Zapewne – mruknęła ponuro. – I wtedy będzie po mnie. Znów wylecę, w dodatku trafię do aresztu.

– Jest jeszcze wyjście awaryjne… – powiedział nagle w zamyśleniu Bruś.

– Jakie?

– Pani partner.

– Nie rozumiem? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Pierwszą osobą, jaką w tej sprawie można by podejrzewać, nie jest wcale pani, tylko pani partner. Tak mi się wydaje. On i Grzeliński znali się w przeszłości. Zniknął nagle i bez słowa. Był widziany w waszym domku w Kościelisku. Można snuć różne teorie na temat powodów jego zniknięcia, dlaczego jedną z nich nie może być taka, że chciał się zemścić na Grzelińskim za wyrzucenie pani z policji?

– Sąsiad, który go widział, nie żyje, zmarł niedawno. Powiedział o tym tylko mnie. I to nie Matt mnie wyrzucił z policji. – Pokręciła z powątpiewaniem głową. – To system.

– On osobiście przedstawił pani decyzję o dyscyplinarce. A pani partner, jak pani wspomniała, miał w młodości problemy psychiczne?

– Grubymi nićmi szyte. Zresztą podobno moja dyscyplinarka była przykrywką operacji specjalnej?

– No właśnie, nikt nie wie jakiej. Trochę trudu mnie kosztowało chachmęcenie w papierach. A on tym bardziej o tym nie wiedział. – Bruś podszedł do niej. – Pani Iwono… Ja rozumiem, że chce pani chronić partnera, ale tu chodzi o pani przyszłość. To jest prosty układ: albo pani, albo on. Coś trzeba będzie prokuratorowi w końcu dać. A najlepiej tych, którzy nie żyją, albo się skutecznie ukrywają.

– Krzysztof nie będzie się ukrywać w nieskończoność. Poza tym nie chcę go chronić. – Uniosła się nagle. – Chcę tylko, żeby to się wreszcie skończyło, rozumie pan?!

Bruś wpatrywał się w nią uważnie.

– Powinna pani trochę odpocząć – stwierdził.

– O niczym innym nie marzę – wyszeptała.

– Zacznie pani od przyszłego tygodnia. Przez te parę dni proszę się zrelaksować. Chociaż spróbować. Może niech pani gdzieś wyjedzie?

Zaczęła się histerycznie śmiać.

– Przepraszam. – Otarła łzy i spojrzała zawstydzona na Brusia. – Ja od kilkunastu tygodni nie robię nic innego, tylko gdzieś jeżdżę. I mam już dość. Kiedy znów przez przednią szybę samochodu zobaczę autostradę, chyba się porzygam.

– Rozumiem. A przynajmniej próbuję.

– Doceniam to – mruknęła. – I skoro dał mi pan te kilka dni wolnego, to wykorzystam je. Zrobię wreszcie coś dla siebie.

– Czyli?

– Powłóczę się po górach. Nie robiłam tego od lat. A w poniedziałek melduję się u szefa CBŚP w Szczecinie. Co będzie dalej, pokaże życie.

Na tym skończyli rozmowę, a kilkanaście minut później Iwona była już w drodze. Jak sądziła, ostatniej. Po powrocie do Szczecina miała zrobić to samo co Juszczak: jakoś żyć. Jakoś żyć w oczekiwaniu na to, co przyniesie przyszłość. Wszystko było tak skomplikowane, że istniała jednak realna szansa na to, że nikt nie poskłada tego do kupy. Nie było dowodów, tylko poszlaki, ona i Krzysiek, i może również Bruś byli jedynymi żyjącymi osobami, które znały prawdę lub jej część. Żadnemu z nich nie zależało na tym, żeby wyszła na jaw. I dlatego Iwona nie mogła mieć pewności, czego się spodziewać.

Kiedy dojechała do Stasinki, napaliła w kozie, poczekała, aż ogień się porządnie rozpali i leżąc na kanapie okryta grubym wełnianym kocem, wpatrywała się w rozżarzone bierwiona, aż nadszedł sen. Kiedy się obudziła, była skostniała z zimna. Wciąż okryta kocem znów napaliła w kozie i wyskoczyła do sklepiku po jakieś śniadanie. Pomyślała, że dziś odpuści sobie wyjście w góry, tylko po prostu w spokoju, upragnionej ciszy i samotności poczyta książkę, popijając herbatę i grzejąc się w cieple kozy. I to właśnie robiła do momentu, gdy zadzwoni jej telefon. Oderwana od lektury z niechęcią zerknęła na wyświetlacz. Nieznany numer. Przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać i ciekawość zwyciężyła.

– Halo? – Postarała się, żeby w jej głosie słychać było ostre nuty; chciała na wstępie zniechęcić ewentualnego natręta do dłuższej rozmowy.

– To ja…

Serce jej stanęło na moment, książka zsunęła się z koca i wylądowała na podłodze.

– Ona do ciebie zadzwoniła? – Czuła wściekłość, że Juszczak mogła ją okłamać.

Nie, nie tak: czuła wściekłość, że to ona dała się jej okłamać.

– Kto? – zapytał Krzysiek.

Znała go, więc wiedziała, że mówi prawdę. Zaraz potem zganiła się w myślach za takie myślenie. Znała go kiedyś, teraz już nie. I czy na pewno znała? Nigdy wcześniej jej nie okłamywał, ale to ona zawsze zakładała, że Krzysiek mówi prawdę. Więc skąd, do cholery, miałaby wiedzieć, jak brzmi jego głos, kiedy kłamie?

– Nikt. – Wypuściła powietrze z płuc. – Po co dzwonisz? Żeby znów za chwilę się rozłączyć?

Z pewnością wyczuł w jej głosie wrogość, może obojętność, bo nie mówił nic przez dłuższą chwilę. Iwona już myślała, że faktycznie się rozłączył.

– Jesteś w Stasince, prawda? – Usłyszała znów głos Krzyśka.

– No i co z tego? – prychnęła, zanim w ogóle zaczęła się zastanawiać, skąd on o tym wie.

Bo Krzysiek nie zapytał, czy tam jest, tylko stwierdził.

– Zgubiłem klucz, otwórz mi, proszę – powiedział, a jej ziemia usunęła się spod nóg.

Jak ogłupiała odłożyła komórkę na stół i na sztywnych nogach ruszyła w kierunku drzwi. Kiedy była już przy nich, wyciągnęła rękę, żeby je otworzyć, i zastygła tak na dobre kilka sekund, niezdecydowana, czy to w ogóle zrobić. W końcu się zdecydowała. Przekręciła klucz, chwyciła klamkę i nacisnęła ją, zamykając oczy. Pociągnęła je do siebie i otworzyła oczy. Wtedy przeżyła kolejny szok. Włosy Krzyśka były białe, ale nie od pokrywającego je śniegu. To one były białe jak ten śnieg. Złożyła dłonie, wsunęła w nie nos i usta i zaczęła płakać, nie spuszczając z nich wzroku. Krzysiek wszedł bez słowa do środka, delikatnie ją odsuwając, pod pachą miał laptop, który przyciskał mocno do boku, jakby bał się, że wysunie mu się spod niej i roztrzaska o ziemię. Iwona była pewna, że to TEN laptop. Krzysiek odłożył komputer na ławę, rozebrał się powoli i w milczeniu, nie patrząc na nią. Powiesił kurtkę na haczyku przy drzwiach i widząc, że Iwona nie przestaje płakać, zrobił krok w jej stronę, unosząc ręce z dłońmi

zwróconymi wnętrzem ku sobie. Wyglądał, jakby chciał ją wziąć w ramiona albo ująć w dłonie jej twarz i to Iwonę otrzeźwiło.

Cofnęła się nagle z szeroko otwartymi oczami i z dna jej duszy wyrwało się tylko jedno słowo.

– Dlaczego?

Kilroy was here

W tym jednym, krótkim pytaniu były setki tych, które bała się zadać albo których nie potrafiła sformułować. Chciała znać wszystkie odpowiedzi, a równocześnie bała się je usłyszeć. Od kilkunastu tygodni szykowała się na ten moment, a kiedy wreszcie niespodziewanie nastąpił, w jej głowie była pustka, a w sercu przeraźliwy strach.

– Ja już dłużej nie mogę – poskarżył się jej.

Usiadł na krześle przy stole ze zwieszonymi ramionami i wzrokiem wbitym w blat. Iwona wpatrywała się w niego. Zeszczuplał, a w zasadzie wychudł. Zmizerniał. Skóra jego twarzy poszarzała, podkrążone oczy zapadły się, nie błyszczały już jak kiedyś.

– Ja też, Krzysztof – odezwała się, siadając naprzeciwko niego: bariera, jaką zapewniał blat, stanowiła bezpieczny dystans. – Ja też już dłużej nie mogę. Wiem już prawie wszystko, ale nie wiem najważniejszego. Dlaczego to się wydarzyło?

– Wiesz, czym jest przyjaźń? – zapytał z namysłem. – Taka prawdziwa, na zawsze i mimo wszystko? Taka przyjaźń to miłość bez pociągu fizycznego, a co jesteś w stanie zrobić dla kogoś, kogo kochasz? Wszystko, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że w imię przyjaźni zabijałeś ludzi, że dla przyjaciela zostawiłeś swoją kobietę, z którą byłeś prawie dwadzieścia lat, że sprowokowałeś sytuację, która popchnęła ją na skraj przepaści? Wszystko to w imię przyjaźni? – Odetchnęła głęboko i wytoczyła kolejne działo. – Widziałam się z Lidką. Rozmawiałam z nią. Wiem, że mieliście dziecko, wiem, że ją kochałeś, że kochasz nadal. Nie wiem za to, po co ze mną byłeś. Czemu mnie oszukiwałeś przez tyle lat. – To nie były pytania, tylko stwierdzenia.

– Kocham was obie. Myślisz, że męczyłbym się bez sensu? Nie mogłem mieć jej i pogodziłem się z tym. Ale miałem ciebie.

– Jako substytut! – Uniosła się lekko na krześle, wczepiona palcami w krawędź blatu.

– Nie. – Pokręcił głową, nie patrząc na nią. – Nigdy bym ci tego nie zrobił.

– Jesteś śmieszny, wiesz? Śmieszny! – krzyknęła.

Nigdy wcześniej nie podniosła na niego głosu. On na nią też nie i wiedziała, że teraz też tego nie zrobi. To ją tylko prowokowało, żeby mówić coraz głośniej. Każde kolejne słowo wypowiadała ostrzej i dobitniej.

– Wiem, że cię skrzywdziłem – powiedział, wciąż nie patrząc jej w oczy, i nawet się z tego cieszyła, bo chybaby tego nie zniosła. – Wiem, że choć chciałem dobrze, czasem wychodziło źle. Ale uratowaliśmy wiele ludzkich istnień.

– A ilu niewinnych straciło przy tym życie? Nawet jeśli nie są martwi? Potrafisz wymienić te osoby, Krzysztof? Ja ci je mam wymienić? Chcesz?

– To jak wojna, kiedy wszędzie latają rykoszety, albo zdarza się omyłkowy ostrzał własnych pozycji.

– To ma was tłumaczyć? Wymyśliliście sobie prywatną wojnę?

Krzysztof miał wciąż spuszczoną głowę. Musiała się mocno skupić, żeby zrozumieć, co mówi, bo jego głos był przytłumiony i cichy.

– To była wojna – usłyszała i stwierdziła, że nie ma już siły dalej tego słuchać.

– Zostawmy już to. – Westchnęła. – Proszę cię, dajmy już temu spokój.

– Nie mam nic do ukrycia – odpowiedział. – Jestem z tobą szczery. W końcu rozmawiamy ze sobą ostatni raz, prawda? Cokolwiek się stanie, nigdy więcej się nie zobaczymy.

– A co się stanie, Krzysztof? – Uspokoiła się trochę.

– Koniec. – Spojrzał na nią, a w oczach miał niewyobrażalny smutek. – Stanie się koniec.

Zawsze była w nich jakaś melancholia i Iwona sądziła, że to skutek jego usposobienia, ale teraz wiedziała, że może to skutek przejść z dzieciństwa i tej głęboko ukrytej choroby, której konsekwencje odczuli oboje. Lecz to, co widziała w nich w tej chwili, było bezbrzeżną rozpaczą, nagłym zrozumieniem, że wszystko, co się wydarzyło, było tak naprawdę drogą do tego końca, niczym więcej.

– To nie powinno było nigdy się wydarzyć – szepnęła. – To wszystko…

Krzysiek zgarbił się jeszcze bardziej, ramiona mu obwisły, wpatrywał się tylko w podłogę, gładząc powoli swoje kolana i uda. Skóra dłoni szeleściła o materiał spodni.

– Nie powinni byli jej porywać. Nie powinni byli robić jej tych strasznych rzeczy. Nie powinni jej zabijać. Nawet nie mogę pójść jej odwiedzić, tak jak

Michasia, rozumiesz? Nie ma jej. Jest pyłem, dymem, atomami rozproszonymi w kosmosie. Nie ma imienia ani nazwiska. Nie ma swojego miejsca na cmentarzu. Spalili ją w piecu jak odpad przemysłowy i nawet nie wiem, który z tych skurwysynów jej to zrobił. – Dwie wielkie jak grochy łzy spłynęły mu po policzkach.

Iwona oddychała głośno przez nos, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Wiem, że Matt umiał wpływać na ludzi – zaczęła powoli. – Wiem, że umiał nimi manipulować, bardzo dobrze to wiem. Taki był. Pociągnął cię za sobą, nawet umierając, nie przestał tego robić… Teraz wiem też, że ty jesteś bardzo podatny na wpływ, choć nigdy tego w tobie nie widziałam. Nigdy do niczego cię nie zmuszałam, więc nie miałam pojęcia, jak jest naprawdę. I wiem też, co się czuje po śmierci dziecka, bo sama to przeżyłam.

– Ja straciłem dwoje… – Oczy Krzyśka na ułamek sekundy stały się puste, a ona przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Są granice, Krzysiek – szepnęła w końcu. – Są jakieś granice, a ty je przekroczyłeś…

– Nasze dziecko umarło we śnie. Po prostu zasnęło sobie i się nie obudziło. A Kaja… Ona cierpiała! – Ożywił się nagle niezdrowo. – Katowali ją przez kilka godzin, a potem zabili. Powinniśmy byli ją ochronić! Nie dopuścić do tego!

Zaczął płakać. Ukrył twarz w dłoniach i łkał bezgłośnie. Iwona chciała go przytulić, ale nie mogła się przemóc, żeby wstać i to zrobić, i nienawidziła się za to. Czekała tylko w milczeniu, aż się wypłacze, patrząc w okno, na dom Jaśka Wawrytki. Zabolało ją to porównanie. Kaja mimo strasznego losu, jaki ją spotkał, była dla niej obcą osobą, Michaś był ich synkiem. Czuła zazdrość, że jej partner miał dziecko z inną kobietą, choć to się stało, zanim się poznali.

– A gdybym ci powiedział? – Krzysiek drgnął nagle, spojrzał na nią i pociągnął nosem. – Gdybym powiedział ci o wszystkim?

Miał zaczerwienione oczy, znów błyszczały, choć od łez, długie rzęsy zlepiły się od wilgoci.

– Byłabym w tym z tobą – odparła bez zastanowienia. – Po to jestem, po to byłam. Na dobre i na złe, po to dwoje kochających się ludzi jest ze sobą, prawda?

– I co? Co byłoby dalej? Co byś zrobiła?

– To samo.

W jego oczach było niedowierzanie.

– Odeszłabyś z policji, żeby ich znaleźć i ukarać? Wbrew prawu i wbrew zdrowemu rozsądkowi?

– Najpierw postarałabym się wymyślić coś innego.

– Nie mieliśmy innego wyjścia, Iwona. Gdyby jakieś było, Matt by je znalazł. Próbował, ale nie chcieli go słuchać.

– Nie, Krzysiek. Matt użył siły zamiast rozumu, sam powiedziałeś przed chwilą, że to było wbrew zdrowemu rozsądkowi. On ich nie ukarał, tylko się na nich zemścił. Eliminacja nie była wyłącznie chronieniem następnych potencjalnych ofiar, bo ochroniłby je, wsadzając tych popaprańców do pierdla. Miał wystarczająco dużo dowodów, choćby ten laptop Golczewskiego. A on się zemścił. A ty robiłeś to dalej, za niego. I też nie po to, żeby klienci klubu nie dorwali kiedyś następnych dzieciaków, bo w komputerze były dowody przeciwko nim i też poszliby siedzieć.

– Nie wszyscy zostali nagrani…

Tłumaczył się niezgrabnie i bez sensu.

– Mogłeś eliminować tylko tych, których znałeś z nagrań, prawda? – zapytała cicho. – O reszcie nie wie nikt. Ty też nie, więc o czym mówimy?

– Ale zrobiłaś to dla niego. – Bronił się, atakując tak samo niezgrabnie, jak się przed chwilą tłumaczył.

Teraz Iwona widziała, jak bardzo jest zagubiony. Pozbawiony wsparcia i samotny, mimo inteligencji i wiedzy, jakie miał, stał przed nią bezbronny, usiłując znaleźć wytłumaczenie dla tego, co zrobił. Być może sam do końca nie wiedział, jak to się stało. I dlaczego. Każdy ma jakiś słaby punkt. Niektórym los sprzyja i nigdy nie będą mieli okazji do niego dotrzeć, nic ich nie złamie, ale tylko dlatego, że nie zajdą okoliczności, które by to sprawiły. A w przypadku Krzyśka splot zdarzeń doprowadził do tego, że doszedł tam, gdzie była ona, choć dostała tylko rykoszetem, czy może raczej odłamkiem. Dom dziecka, przyjaźń silniejsza ponad wszystko, niespełniona miłość, paru zwyrodnialców i dobry manipulant. Mieszanka wybuchowa. I iskra, która spowodowała eksplozję. Może była to śmierć Synka? Może to właśnie był moment, w którym Krzysiek nie potrafił już powiedzieć „stop” i dał się ponieść lawinie zdarzeń, a potem w dobrej wierze i z powodu fałszywie pojętej lojalności i miłości pędził już dalej sam?

– Nic nie rozumiesz. – Westchnęła z rezygnacją. – Albo nie chcesz zrozumieć. Pomagałam mu ich wyśledzić, a nie zabić. Poza tym oszukał

mnie, a ciebie nie. Ty znałeś prawdę, ja jej nie znałam. I nie zrobiłam tego dla niego. Przekonał mnie, też mu uległam jak ty, i pewnie wielu innych. Ale nie dla niego to zrobiłam, tylko dla tych dzieciaków. Oraz dla ciebie. Żeby cię odnaleźć, bo od początku czułam, że twoje zniknięcie ma z tym jakiś związek.

Krzysiek milczał.

– Myślę, że powinnaś wiedzieć, że nie zawsze jeździłem do Warszawy służbowo – odezwał się nagle.

– Nie musisz mi nic więcej mówić, Krzysztof. – Znów westchnęła. – Ja już wszystko wiem.

– Ale chcę – powiedział z naciskiem. – Pozwól mi.

– Dobrze, słucham cię.

Uśmiechnął się do niej lekko z aprobatą, ale nie kontynuował, jakby na coś czekał, albo jednak obawiał się wyjawić jej swoją tajemnicę. Kolejną.

– Więc po co tam jeździłeś w sprawach niesłużbowych? – zapytała.

– Popatrzeć na nią. – Opuścił głowę. – Popatrzeć na swoją córkę. Z ukrycia. Choć przez kilka minut. Dotrzymałem obietnicy, że nigdy się nie ujawnię, nigdy nie powiem Kai, kim jestem, nie będę niczego żądał ani wyjaśniał. Ale chciałem na nią chociaż popatrzeć. Chociaż tyle. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała, świadoma, że robi to tylko dla niego.

Podeszła do okna w kuchni i popatrzyła przez nie. Dół, w którym leżał Matt, wciąż był niezasypany.

– Zakopany jak pies, w ogrodzie, bez nikogo, kto by mu towarzyszył w ostatniej drodze… – powiedziała do siebie i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Nie – odparł Krzysiek z jakąś mocą w głosie, podchodząc do niej od tyłu: czuła na swoich plecach bijące od niego ciepło i zaczęła się bać, że zaraz obejmie ją wpół jak kiedyś, oprze podbródek o jej ramię i przytuli policzek do jej policzka. – Byłem z nim. Do końca. I nie zakopałem go jak psa, tylko pochowałem, bo to był mój obowiązek wobec przyjaciela. Sam mnie o to poprosił.

„Przyjaciela, który cię wykorzystał”, chciała dodać, ale powstrzymała się. Bała się odwrócić i spojrzeć mu w twarz z tak bliska. Wyczuł to chyba, bo usłyszała, jak odchodzi od niej. Odetchnęła cicho z ulgą.

– Ta krew to jego pomysł?

– Tak. Przewidział wszystko. Nawet to, że może go zabraknąć.

Iwona przypomniała sobie zdjęcie Matta i Krzyśka znalezione w mieszkaniu tego pierwszego. Może Matt nie przewidział jednak wszystkiego. Zostawił wyraźny trop, zapewne nieświadomie, ale to dawało jej podstawy, by sądzić, że nie liczył się jednak ze wszystkim. Zamierzał wrócić do siebie, ale to się nie wydarzyło.

Krzysiek pokiwał głową w zamyśleniu.

– Wiele razy się nad tym zastanawiałem i wiele razy dochodziłem do wniosku, że… Że on i tak nie widział dla siebie przyszłości.

– Co masz na myśli? – Spojrzała na niego.

– Wiedział, jak to się skończy. W każdym razie dopuszczał taką możliwość. I był na to przygotowany. Poświęcił nie tylko ciebie, mnie, ale i siebie.

– Ze wszystkich, którzy poświęcili się dla tej sprawy, Krzysztof, tylko Matt zrobił to z własnej, nieprzymuszonej woli. Tylko on. A my nie. Bo ty byłeś pod jego wpływem, a ja zostałam okłamana. Tak to wygląda. I niech to wreszcie do ciebie dotrze. – Ostatnie słowa wypowiedziała wyjątkowo ostro.

Krzysztof patrzył w okno, jakby jej w ogóle nie słuchał, i może nawet tak było. Drgnął nagle, spojrzał na swoje palce, poruszał nimi jak pianista rozgrzewający się przed koncertem i powiedział niespodziewanie:

– Pójdźmy w góry, dobrze? Ostatni raz. Ostatni raz razem.

Zerknęła zaskoczona najpierw na niego, a potem w okno.

– Jest już dość późno.

– Nie szkodzi. – Ożywił się nagle, oczy mu zabłysły jak dziecku, które wymyśliło właśnie, że chciałoby pójść do kina i usiłuje przekonać matkę, że to naprawdę świetny pomysł. – Weźmiemy czołówki i raczki. Nie będzie pewnie następnej okazji. Dawno nie byłaś na szlaku, co?

– Dawno…

– Pójdziemy?

– Tak. – Zdecydowała nagle, ale to był impuls i po chwili uświadomiła sobie, że znów zrobiła coś wbrew sobie.

Nie chciała iść w góry. Wycieczka była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, ale uległa Krzysztofowi, bo widziała, jak bardzo mu na tym zależy. Wiedziała, że nigdy więcej nie będzie mu w stanie niczego dać. Już nie. To naprawdę miał być ostatni raz.

OSTATNI RAZ

Ubierali się powoli i osobno; ona w pokoiku, który był kiedyś ich sypialnią, on w kuchni. W szafie wciąż była jej górska odzież, pachniała wilgocią i lawendą, bo starym sposobem babci Stasi wieszali w szafach lniane woreczki z suszonymi kwiatami. Na końcu wyciągnęła z dna szafy buty i raczki. Włożyła buty, raczki schowała do małego plecaka, a potem przyjrzała się sobie w lustrze przykręconym do wewnętrznej strony drzwi szafy. Lata całe tego nie robiła. W oczach stanęły jej widoki z tras, które pokonywali z Krzyśkiem. Schodzili kiedyś całe Tatry.

Drgnęła, kiedy doszedł ją jego głos.

– Gotowa?

Słychać było w nim napięcie. Stał w drzwiach i przyglądał się jej.

– Tak – mruknęła, zamykając drzwi szafy.

Była gotowa, ale tylko do marszu. W drzwiach Krzysiek puścił ją przodem, tak jak robił to zawsze. Zamknął drzwi, obrzucając jeszcze zamyślonym spojrzeniem laptop wciąż leżący na ławie w maleńkim przedsionku, i oddał jej klucz. Wyjęła mu go z ręki i schowała do kieszeni. Tego nie robił nigdy, kiedy jeszcze chodzili w góry razem. On był strażnikiem ich wspólnego gniazda, dbał o nie. Dziś nie mieli już nic wspólnego, chyba tylko na papierze.

– Podjedziemy do Nędzówki autem, dobrze? – zaproponował, a ona skinęła obojętnie głową.

Otworzył jej drzwi zaparkowanego przed chatą niebieskiego volvo, tego samego, które widziała na filmie z zabójstwa Korduli. Wsiadła, zapięła pas i czekała, wpatrując się w przednią szybę niewidzącym wzrokiem. Krzysiek usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył. W milczeniu dotarli do drogi wojewódzkiej numer dziewięćset pięćdziesiąt osiem, do miejsca, gdzie zaczynał się czerwony szlak pieszy. Szli lasem w kierunku szczytów Czerwonych Wierchów. Pokonywali tę trasę wielokrotnie, często gadając ze sobą, jakby poznali się ledwie kilka dni wcześniej i nic o sobie nie wiedzieli. Krzysiek uważany był przez znajomy za milczka, ale im nigdy nie brakowało tematów do rozmów. Kiedy mieli ochotę, milczeli, ale przeważnie gadali jak

najęci. To dawało Iwonie pewność, że przy niej czuje się naprawdę swobodnie i jest po prostu sobą. I że ją kocha.

Szła dwa, trzy kroki za nim i przez cały czas milczeli. Krzysiek odezwał się wreszcie, kiedy po jakichś czterdziestu minutach wyszli z lasu na Miętusią Polanę. Zwolnił, a kiedy się z nim zrównała, powiedział cicho:

– Musiałem zamienić samochody, więc kiedy już pochowałem Matta, pojechałem do Warszawy odebrać volvo i zostawić jego bmw. Przejechałem obok tej willi, żeby zobaczyć na własne oczy to gniazdo zła. Widziałem zgliszcza, te sterczące, osmalone krokwie, okopcone ściany, dziury po oknach. Wyobrażałem sobie, jak ich rozwalacie, i, przepraszam, że to powiem, ale zazdrościłem wam. Wtedy przeraziłem się tego uczucia, ale już dwa dni później, kiedy podłożyłem ładunek w samochodzie pierwszego zwyrodnialca z listy, zrozumiałem, że nie ma się czego wstydzić. Że należy się wręcz tym szczycić. Nie każdy ma w sobie tyle siły, żeby zdobyć się na zabicie człowieka, nawet jeśli jest gnidą, ludzką glistą. Ty miałaś w sobie tę siłę…

– Nie, Krzysiek – przerwała mu nagle. – To nie kwestia tej siły, jak ją nazywasz. Nie miałam wyjścia, rozumiesz? Gdybym ich nie zabijała, zginęłabym ja. To jest proste i zrozumiałe. A to, co mówisz, już niekoniecznie.

– Odkryłem ją w sobie – kontynuował, jakby nie usłyszał, co mówiła, albo jakby wręcz te słowa w ogóle nie padły. – Ten widok sprawił, że poczułem ją z pełną mocą. – I kiedy stanąłem przed drugim i popatrzyłem mu prosto w oczy, nie miałem już żadnych wątpliwości. Żadnych. Najmniejszych.

– A Krępicz? – zapytała. – Dlaczego wtedy płakałeś?

Spojrzał na nią zagadkowo, przez chwilę zatrzymując wzrok na jej twarzy, a potem wrócił nim na drogę.

– Bo płakałeś, prawda? – dociekała.

– Każdy ma jednak jakieś granice – odparł, wzruszając lekko ramionami. – Być może dotarłem do swojej. A może miałem słabszy moment. W końcu wątpić jest rzeczą ludzką.

– Przyjechałeś jednak do mnie, a niedawno powiedziałeś, że to koniec – stwierdziła, słysząc to. – Zamierzasz jednak do tego wrócić? Myślisz, że ci pozwolę?

Szedł przez chwilę wpatrzony w drobne kamyczki pokrywające ścieżkę.

– Już nie ma powrotu – odezwał się w końcu i zadrżał, jakby się wzdrygał. – To był mój słaby punkt, każdy taki ma, nawet Matt pewnie miał swój. Kiedy coś w tym miejscu pęka, już nie da się naprawić i jestem tego świadomy. Niektórzy nie mają świadomości nadchodzącego końca. Ja mam.

Iwona milczała, wspominając słowa Brusia, który tak właśnie się wyraził, kiedy oglądali miejsce zabójstwa Krępicza: słaby punkt.

Wkrótce znów pochłonął ich las, który skończył się przy Kobylarzowym Żlebie, i przez cały ten czas Krzysiek nie odezwał się ani słowem. Zaczęli piąć się pod górę na otwartym terenie i kiedy dotarli do Małołączniaka, Iwona była już bardzo zmęczona. W skalnych zagłębieniach leżał śnieg, jednak biegnąca granią ścieżka była czysta, tylko mokra. Było nieco powyżej zera, wiał wiatr, który targał włosy Krzyśka. Kilka razy korciło ją, żeby zapytać go, czemu nie włożył czapki, ale nie zrobiła tego. Nigdy mu niczego nie narzucała, nie poprawiała go, szanowała jego przyzwyczajenia. Teraz patrzyła na jego plecy: czerwoną plamę kurtki i te białe włosy, które tak ją wystraszyły i zasmuciły, aż wybuchnęła płaczem.

Krzysiek szedł wolniej niż zwykle, ostrożniej. Zwykle niemal biegł, miał świetną kondycję i wprawę, tak jak ona kiedyś. Dziś jej wprawa i kondycja były tylko wspomnieniem i wyglądało na to, że u niego też. Kilka razy wydawało się jej też, że szczęka zębami, ale nie zapytała go, czy jest mu zimno. Zawsze obsesyjnie dbał o staranne przygotowanie się do wyjścia w góry, szykując się na każde możliwe, a nawet niemożliwe warunki. Tak już miał. Tak miał, kiedy był jeszcze jej Krzyśkiem.

Dotarli w końcu w milczeniu do Czerwonych Wierchów. Szli granią, chłonąc przestrzeń, zacinał lekki deszczyk, który momentami ustawał, a potem znów zaczynał siąpić. Drobne, lodowate igiełki kłuły ich w policzki i czoła, ale oni szli wytrwale, podziwiając widoki. To ich też łączyło: zachwyt. W pewnej chwili Krzysiek zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Tutaj odpoczniemy, dobrze? To jest dobre miejsce…

Zdziwiła się. Bardzo. Byli dopiero w okolicach przełęczy pod Kondracką Kopą.

– Myślałam, że chcesz iść na Zawrat – powiedziała, z trudem ukrywając zawód.

Tam się poznali. To tam, latem, na zatłoczonej przełęczy, w punkcie widokowym, kiedy odpoczywała oparta o swój „garb”, podszedł do niej młody, przystojny chłopak, zapytał, czy może usiąść obok niej, a ona

niechętnie się zgodziła. Nie był natrętny i to ją przekonało, a kiedy dalej się nie odzywał, wrodzona przekora spowodowała, że go zaczepiła. I tak się zaczęło.

– Musielibyśmy zejść najpierw do Murowańca – powiedział, a ją zakłuło serce.

Kiwnęła tylko na te słowa głową. Po obrywie skalnym sprzed paru lat droga ze Świnicy na Zawrat była jednokierunkowa, choć o tej porze spokojnie można było zaryzykować przejście pod prąd. Na usta cisnęły się jej słowa: zabiłeś kilku ludzi, a obawiasz się złamać przepisy TPN? Ale taki właśnie był Krzysiek. Zawsze w zgodzie z prawem, szanujący ludzi, twierdzący, że prawo jest po to, żeby go przestrzegać. Tkwiła w nim sprzeczność, a Iwona nie podejmowała się już tego, żeby ją zrozumieć. Już nie.

– Chciałem – przyznał w końcu Krzysiek, odwracając głowę do tyłu. Białe, targane wiatrem włosy otoczyły jego twarz. – Chciałem, ale nie dam rady. Przepraszam…

– Nie musisz przepraszać – powiedziała, dodając w myślach: „A na pewno nie za to”.

Krzysiek usiadł na skale, nie przejmując się, że jest mokra. Objął kolana ramionami, oparł o nie podbródek i zaczął się przyglądać dolinom.

– Świat jest taki piękny – stwierdził nagle, a w jego głosie było jakieś niezrozumiałe dla Iwony zdziwienie, które wyjaśniły kolejne słowa. – Po co są na nim ludzie?

– Żeby miał kto ten świat podziwiać – odparła bez zastanowienia, siadając obok niego, a właściwie nie obok, tylko w pobliżu. – Inaczej to nie miałoby sensu. Piękno byłoby puste. Nie byłoby pięknem, takim jak to przed nami, tylko zwykłą kupą skał.

– Nie zasługujemy na niego. – Zmarszczył nos i brwi. – Na ten świat. – To dobrze, że my umieramy, a on nie. Inaczej już dawno przestałby istnieć. Człowiek jest jak wirus, bezmyślny byt nastawiony na niszczenie. Albo jak gangrena. Niszczy zdrową tkankę, doprowadza do śmierci cały organizm.

– Nie wszyscy tacy są – zwróciła uwagę, czując się jak nauczyciel dyskutujący z uczniem, od którego dzieli go różnica dziesiątek lat doświadczeń.

– Kaja taka nie była. – Pokiwał głową.

Iwona nie odpowiedziała, tylko też wbiła wzrok w zapierający dech widok. Ostre szczyty gór po słowackiej stronie, za ich plecami i otwarta aż po zatarty chmurami horyzont przestrzeń po polskiej, Giewont i okoliczne szczyty, ich zbocza, postrzępione linie grani i plamki skalnych okruchów w żlebach. Dopiero teraz poczuła, jak jej tego brakowało i ile straciła, nie przyjeżdżając tu tyle lat.

– Gorąco mi – powiedział w pewnej chwili Krzysiek.

Patrzyła ze zdumieniem, jak zdejmuje z siebie kurtkę.

– Co ty robisz? – zawołała. – Jest niecałe pięć stopni!

– Gorąco mi… – powtórzył z naciskiem, jakby chciał ją przekonać.

Zobaczyła, że pod kurtką ma tylko termoaktywną bieliznę.

– Krzysiek…

Odłożył kurtkę obok siebie, starannie. Miał błędny wzrok. Zrozumiała, co się dzieje.

– Masz hipotermię. Jezu… Ubierz się, proszę cię. Musimy wracać! Natychmiast!

– Kocham cię. – Jakby jej nie słyszał, skupiony na ściąganiu butów. – Kocham was obie. Podobno nie da się kochać dwóch kobiet jednocześnie, ale to nieprawda. Zawsze was kochałem…

W skupieniu wyciągał sznurówki spod haczyków. Miał białe palce, prawie tak białe jak jego włosy, falujące wciąż na wietrze.

Iwona w tej samej chwili zrozumiała, że zrobił to specjalnie.

Od dawna planował, że nie wróci do Stasinki. Nie wtedy, kiedy zaproponował jej wycieczkę w góry: wiedział to już w momencie, gdy do niej zadzwonił, stojąc przed drzwiami. Wiedział to, jadąc do Kościeliska, skądkolwiek wyruszył. Może nawet wiedział to już, stojąc nad umierającym Krępiczem? Nie miał po co wracać tam, na dół. Nie miał do czego. Stracił wszystko, a jedyne, co go czekało, to obskurne cztery ściany i towarzystwo złych, nieczułych i niewrażliwych na nic ludzi, z którymi miał spędzić resztę życia. Do jego końca miał patrzeć na niebo poszatkowane kratami albo siatką rozpiętą nad spacerniakiem, oddychać zatęchłym powietrzem przesyconym smrodem potu, papierosowego dymu i tanich środków czystości. Miał wegetować bez cienia szansy na zmianę losu, żywy na zewnątrz, ale martwy w środku.

Krzysiek odchodził.

Odchodził na swoich warunkach, złamany i pokonany przez swoją słabość, która była jego siłą, choć zupełnie nieprzydatną w świecie, w którym przyszło mu żyć. Dokonał wyboru i Iwonie nie pozostawało nic innego, jak go zaakceptować. W imię miłości, szacunku i podziwu, które mimo wszystko czuła do tego człowieka. Do miejsca, gdzie miał odejść; przełęczy, z której rozpościerał się tak cudowny widok, doprowadziły go zdarzenia, którym nie był winny. Przypadek i świadome działania, choć innych ludzi, a nie jego.

To on zdecydował, jaki będzie ich ostatni raz razem.

Zdjął z siebie górę bielizny i rzucił ją na kurtkę, tym razem z jakimś zniecierpliwieniem. Iwona patrzyła na jego nagi tors, szczupłe ramiona, znamiona, które tak dobrze znała, mimo że tak naprawdę nie znała człowieka, który je nosił na skórze.

– Coraz bardziej mi gorąco – poskarżył się jej Krzysiek.

Widziała, że robi się senny, jego wzrok spod przymrużonych powiek błądził po skałach i chmurach, głowa chwiała się, drżące ramiona szukały mocniejszego oparcia. Odchylił ją do tyłu i wpatrywał się w lekko zachmurzone niebo, nieczuły na porywy wiatru i zimno. Jego skóra poczerwieniała.

– Musisz już iść – powiedział do niej z zamkniętymi oczami. – Musisz zdążyć przed zmrokiem. Przepraszam cię. Jeszcze raz przepraszam cię za wszystko.

– I tak już nie zdążę – szepnęła, czując, jak w gardle rośnie jej wielka gula, i zastanawiając się, czy warto dokądkolwiek stąd iść. – Zostanę z tobą. Do końca.

– Już jest koniec. – Westchnął. – Ktoś tu idzie…

Rozejrzała się, ale szlak był pusty.

– Nikogo tu nie ma.

– Płacze jakieś dziecko. – Głowa Krzyśka opadła.

– To tylko wiatr – tłumaczyła mu.

– Nie, to dziecko – upierał się – Płacze. Muszę się położyć, nie mam siły.

– Usiądę obok ciebie. – Zrobiła krok w jego stronę.

– Nie, proszę, idź. – Machnął ręką niezbornym ruchem i jego pozbawione stabilnego podparcia ciało zachwiało się.

Patrzyła na niego wilgotnymi od łez oczami. Położył się już, jego pierś unosiła się miarowo i opadała, falując w rytm szybkiego, płytkiego oddechu. Krzysiek całe życie był jak kot. Chodził własnymi ścieżkami, sam wybierał,

do kogo lgnąć, a kogo omijać szerokim łukiem. I teraz chciał umrzeć jak kot, samotnie. Wybrał ustronne miejsce, pozwolił się tam odprowadzić najbliższej osobie, ale teraz przyszedł czas, żeby zostawiła go samego.

Zebrała się w sobie.

– Kocham cię – powiedziała, nie ruszając się z miejsca. – Zawsze kochałam.

Jej słowa zagłuszył mocniejszy podmuch wiatru i Iwona nie była pewna, czy Krzysiek ją usłyszał, a jeśli tak, to czy zrozumiał, co mówi. Nie była w stanie tego powtórzyć. Po prostu nie potrafiła.

– Musimy wywieźć gruz ze Stasinki. Poproś Jaśka, żeby zadzwonił do tego kolegi od kontenera…

Zaczynał majaczyć.

Iwona odwróciła się i ruszyła przed siebie, czując, że rozpada się na kawałki. Szloch wezbrał i wyrwał się z jej gardła niepowstrzymaną falą, a pierwszy krok kosztował ją więcej sił niż wejście tutaj. Obejrzała się tylko raz. Była już zbyt daleko, żeby widzieć szczegóły. Zauważyła tylko ciało Krzyśka i czerwoną plamę kurtki leżącej obok niego. Nie wiedziała, czy jego serce już się zatrzymało i przeszedł na drugą stronę, czy tylko stracił przytomność, a może wciąż jeszcze był świadomy, co się dzieje, wpatrywał się w ciemniejące niebo prześwitujące spomiędzy chmur i czekał, aż przyjdzie ukojenie. Pomyślała, że to piękna śmierć dla człowieka, który ukochał góry tak jak Krzysiek. Jak aktor marzący o śmierci na scenie. Po prostu zasnąć z najcudowniejszym widokiem, jaki mógł sobie wyobrazić, który zostaje pod powiekami i towarzyszy w ostatnich chwilach życia, w odejściu w nicość. A potem zastanowiła się, czy ma to jednak jakiekolwiek znaczenie. Czy jej matka, przechylając się przez parapet szpitalnego okna, zastanawiała się nad tym w ogóle, czy tylko chciała skończyć swoją egzystencję, resztkami świadomości objętego chorobą umysłu zdając sobie sprawę z beznadziei sytuacji, w której się znalazła?

Wróciła wzrokiem na szlak i ruszyła dalej. Było jeszcze dość płasko. Jej stopy miarowo stąpały po skale, a każdy krok, głuche mlaśnięcie wibramowych podeszew na mokrym kamieniu, rezonowało w jej głowie nazwiskiem albo pseudonimem.

Jończyk.

Krok.

Knobl.

Kolejny krok.
Grzeliński.
Chlapnięcie wody zebranej w niewielkim zagłębieniu.
Kura.
Krok.
Horau.
Damiano.
Roksi.
Golum.
Romek.
Chyła.
Golczewski.
Kordula.
Gąsienica.
Rzechulak.
Juszczak.
Matka.
Krępicz.
I Reinert.

Prawie wszyscy nie żyli, kilku zabiła sama. Ostatnie parę miesięcy jej życia znaczyły trupy i ludzkie nieszczęścia. Zapewne nigdy się nie dowie, czy Roksi ułożyła sobie życie, czy pozbierała się po tym, co przeszła na farmie w Falentach, czy nie przeklina Iwony każdego dnia, kiedy tylko rano otworzy oczy, żeby się z tym zmierzyć. Co stanie się z Lidią Juszczak, D'Artagnanem? Co będzie z nią samą?

Idąc, Iwona zaciskała pięści, aż poczuła ból stawów i skóry, w którą wrzynały się paznokcie. Przez chwilę ogarnęło ją uczucie strachu; strachu przed tym, co mogłaby teraz zrobić. To było takie proste. Wystarczyłoby zejść ze szlaku; wystarczyłby jeden krok w bok, w stronę stromizny, a potem musiałaby się tylko pochylić i grawitacja zrobiłaby resztę. Chwila bólu, a później ciemność i spokój na zawsze.

Nie zrobiła tego, choć przestrzeń kusiła zapomnieniem, zapraszała swoim bezmiarem, wołała wiatrem. A Iwona parła przed siebie, czując, jak w jej żyłach płynie lodowate zimno. Mięśnie jej drżały, powieki same się zamykały, chroniąc oczy przed wiatrem, ale czuła, jakby ktoś sypnął jej w nie drobnym piaskiem.

– Nie – powiedziała do siebie, zaciskając zęby.

Na ciemność zawsze był czas. Mogła rzucić się w jej objęcia w dowolnym momencie, ale najpierw musiała wszystko wyczyścić. Chciała, żeby Bruś poznał całą prawdę, chciała mu oddać laptop i opowiedzieć wszystko, naprawdę wszystko. Wyrzucić to z siebie, może dzięki temu chociaż odrobinę zdoła się oczyścić z tego brudu, niech to będzie rodzaj psychoterapii. I niech Bruś zdecyduje, co z tą prawdą zrobić. Komu i ile policzyć, zważyć i podzielić.

Szła, robiło się coraz ciemniej. Była skoncentrowana, nazwiska gdzieś uleciały, choć Iwona była pewna, że będą wracać, pewnie codziennie. Pamięć mięśniowa zatarła się: kiedyś, kilkanaście lat temu, jej wytrenowane stopy odruchowo ustawiały się pod właściwym kątem, schodzenie było mniej męczące i łatwiejsze. Teraz, pomijając warunki pogodowe i porę, czuła, ile pracy i wysiłku musi wkładać w każdy krok. Czuła w kostkach i kolanach tępe ukłucia, po mięśniach ud rozlewał się nieprzyjemny ucisk. Wiatr duł i gwizdał, a ona szła w dół prowadzona wąskim snopem światła czołówki, skupiona na czubkach swoich butów, otoczona szarością, samotna jak rozbitek na bezludnej wyspie pośrodku oceanu, bez szansy na spotkanie kogokolwiek i kiedykolwiek.

Chłód wciskał się pod odzież, wiatr smagał twarz, wilgoć osiadała na rzęsach i brwiach, krew tętniła w skroniach.

Została sama. Nie miała już nikogo.

Szczecin / Pilchowo, 16.11.2022 – 01.03.2023

OD AUTORA

To koniec tej opowieści. Jeśli Iwona Banach jeszcze się pojawi w nowej historii, zapewne nie będzie chciała wracać do tych wydarzeń, choć z pewnością naznaczyły ją na zawsze. To chyba jedna z moich najmroczniejszych powieści, jeśli chodzi o emocje i ogrom zła, jakie się w niej wydarzyło w ciągu tych kilku miesięcy. Jak zwykle kilku osobom należą się ogromne podziękowania. Składam je dopiero tutaj, a nie na końcu *Wybranej,* bo mimo wszystko ta historia tworzy z tamtą nierozerwalną całość. A więc, moi drodzy, dziękuję Wam z całego serca za udzieloną pomoc i wsparcie, bo bez Was to nie byłoby to. To po kolei, tak jak leci w fabule:

Jacek Bruś – za ogromną, nieocenioną pomoc, inspiracje, cebeesiowe historie i pogaduchy przy gorącej czekoladzie: myślę, że można Cię uznać za współautora tej historii!

Olek Wiśniewski – za garść przydatnych informacji o pracy policji i detali dotyczących gór, które tak kochasz,

Szymon Diering (genialny instruktor, który nauczył mnie strzelać) – za konsultacje dotyczące broni strzeleckiej,

Tomek Rędzia – za stałe wsparcie i za tatrzańskie inspiracje, pogadalibyście chyba sobie z Olkiem,

Agnieszka Maślak, pedagog Publicznego Ośrodka Adopcyjnego w Szczecinie – tu już chyba wiadomo za co!

Sławek Zacha, ortopeda – za konsultacje, a jakże, ortopedyczne,

Bożena Sembaty, kierowniczka laboratorium Medis – za szczegóły dotyczące krwi,

Andrzej Ossowski, antropolog sądowy – za jak zwykle szalenie interesujące rozmowy dotyczące ludzkich zwłok.

Betaczytacze: Sylwia Depa, Ania Nadolna, Monika Wilczyńska, Iwona Wiśniewska oraz wspomniani wyżej Tomek i Jacek: Wam oczywiście dziękuję za cenne rady, bystre oko i za nieustanne wsparcie. Bezcenne.

Za wszystkie błędy, które być może tu wystąpiły, odpowiadam wyłącznie ja, a wszystkie postacie, które pojawiły się w obu opowieściach, są

wytworem mojej wyobraźni i nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi.

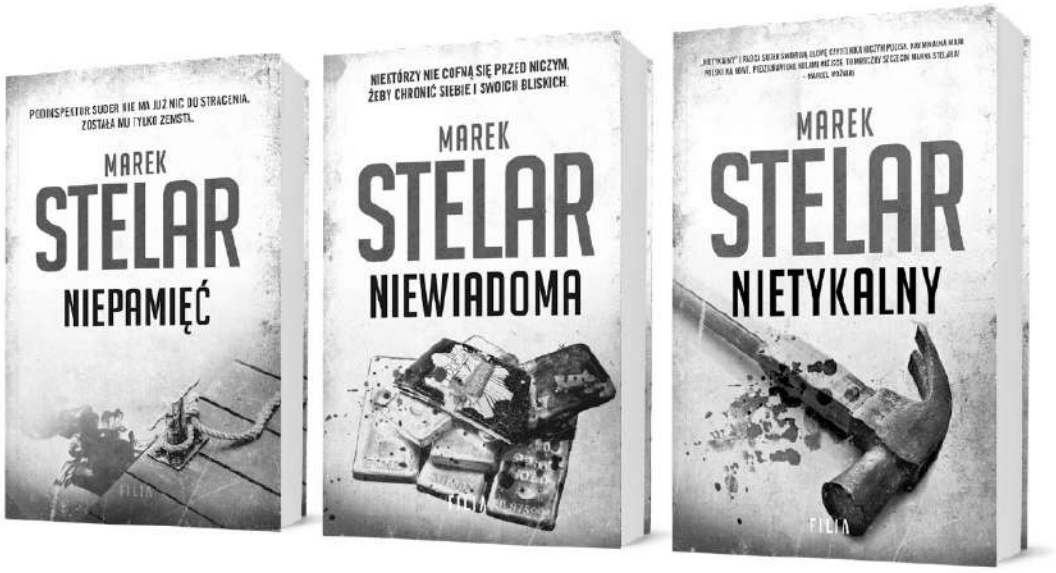

Bestsellerowa seria z Dariuszem Suderem!

Szczecin jeszcze nigdy nie był tak mroczny.

FILIA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

NA SAMYM DNIE
SŁONECKO JUZ ZASŁO
BRUŚ
SĘDZIA I KAT
GEJ
DOM
TRZEJ MUSZKIETEROWIE
PUNKT WSPÓLNY
HOLZ
SOŁTYK
MATKA
ROSZAK
DOROTA KORDULA
MARKUS BENNER
MATKA
ANETA KOŁODYŃSKA
EWELINA RZECHULAK
BARTOSZYLAS
BEZ WYJŚCIA
POGRZEB
D'ARTAGNAN
UDERZENIE
LIDKA
PIERWSZY ŚNIEG
PODEJRZANA
BLIŹNIAK

KAJA
PIES (WCZEŚNIEJ)
DWOJE
ŚMIERĆ MUSZKIETERA (WCZEŚNIEJ)
PIEKŁO ZA PIEKŁO
OSTATNI Z MUSZKIETERÓW
OSTATNI RAZ
OD AUTORA

Reklama
Karta redakcyjna

Copyright © by Marek Stelar, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Zdjęcie na okładce: © malshak_off / Adobe Stock

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-789-9

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.